

HEATHER

GRAHAM

TAJEMNICE

NOWEGO ORLEANU

Tytuł oryginału

Ghost Walk

PROLOG

Dziecko obudziło się, lecz nie wiedziało dlaczego. Słyszało dobiegające z salonu głosy, których ton od razu wydał mu się dziwny, lecz one nie mogły go obudzić, były po prostu zbyt ciche.

Chłopiec leżał, zastanawiając się, co się właściwie stało.

A potem poczuł to coś.

Nie wiedział, czym „to” było. Na pewno nie wywoływało w nim lęku. Przeciwnie, wydało mu się miłe jak ciepły koc i przyjemne jak muśnięcie dużym miękkim piórem. Spowijało go życzliwością, przyjaźnią, troskliwością. A nawet mocą.

Widział w swoim pokoju jakby delikatną mgłę i naraz przypomniał sobie różne baśnie i opowieści, jakie usłyszał od rodziców. Pomyślał o Wielkim Duchu, o którym wiedział od taty. Wydało mu się, że słyszy dobiegające z wielkiej dali smutne zawodzenie. To banshee, irlandzki upiór, o którym opowiadała mu mama.

Wcale się nie bał, ponieważ czuł, że nie ma czego.

Cokolwiek to było – mgiełka czy też jakiś widmowy kształt – dotykało go z czułością, zapewniając o swojej miłości. Pocałowało go w czoło. Zrozumiał, co chciało mu przekazać. Wszystko będzie dobrze. To wcale nie było coś, tylko ktoś, odgadł nagle. Ktoś, kto go kochał, kto pragnął, by chłopiec poczuł tę miłość. Ktoś, kto był...

Kolejny pocałunek w czoło i kolejna fala potężnej wszechogarniającej miłości.

...już w innym świecie i powiedział o tym chłopcu, chociaż wcale nie słowami.

Kiedy cicho otworzyły się drzwi jego sypialni, nie poruszył się i nie otworzył oczu. Usłyszał szept dziadka:

– Śpi. Nie ma potrzeby go budzić.

Miał ogromną ochotę wstać, podejść do niego, przytulić się i powiedzieć, że cokolwiek się stało, wszystko będzie dobrze. On to wie. Coś jednak kazało mu nadal udawać sen. Dobiegł go ściszony głos wujka:

- To dzielny dzieciak. Da sobie radę.
- Ma dopiero pięć lat – odparł dziadek. – Będzie taki samotny...
- Nie będzie, rodzina jest duża, może liczyć na każdego z nas.

Ich głosy były zmienione, pełne smutku i powagi. Chłopiec słuchał, niemal nie śmiejąc oddychać, by nikt się nie zorientował, że on nie śpi i już zaczyna przeczuwać, jaka tragedia wstrząsnęła dorosłymi. Gdyby się odezwał lub poruszył, przestałby odczuwać ten cudownie kojący dotyk, który otulał go miłością.

Wreszcie głosy umilkły i drzwi sypialni zamknęły się.

Rano dziadek, opanowany jak zwykle, postawił chłopca przed sobą, by mu wytłumaczyć pewne rzeczy. Istnieje Wielki Duch, Bóg, Stwórca wszystkiego. Każdy, kto żyje na ziemi, w pewnym momencie odchodzi do niego. Nieważne, jak szybko odchodzi, ważne, jak żył. Tylko to się liczy. Oprócz naszego świata jest też inny świat. Tam właśnie udali się rodzice chłopca. Nie będzie więc mógł ich zobaczyć, przynajmniej nie w najbliższym czasie. Jest im tam dobrze. Ten, kto ich stworzył – wszystko jedno, jak chcemy Go nazywać – nie opuści ich nigdy i będzie o nich dbał.

Dziadek był bardzo mądrym człowiekiem, jednak chłopiec przeczuwał z rosnącym zdziwieniem, że on rozumie więcej. Dziadek tylko wierzył, chłopiec zaś wiedział. Dlatego w oczach pierwszego widniał smutek, a drugiego – głęboki spokój.

Wsunął małą dłoń w dużą, silną dłoń dziadka, drugą zaś dotknął jego poranej zmarszczkami brązowej twarzy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział po prostu z niewzruszoną pewnością, że jego rodzice nie tylko nadal żyją w jego sercu, ale również troszczą się o niego z tamtego, innego świata.

– Kochany chłopcze – szepnął dziadek, przytulając go mocno do siebie.

Tak, rodzicom na pewno jest dobrze i już nic złego im się nigdy nie stanie, pomyślał chłopiec. Ale on nie spotka ich przez długi czas.

Tata już nie podrzuci go do góry, nie zagra z nim w piłkę, nie nauczy, jak rozmawiać z Wielkim Duchem.

Mama już nigdy się nie zaśmieje, nie otuli go kołdrą, nie opowie na dobranoc kolejnej dziwnej legendy pochodzącej z dalekiej zielonej wyspy.

Rodzice nie będą go już otaczać głęboką, bezwarunkową miłością...

Nie, to akurat nieprawda.

Prawdziwa miłość trwa wiecznie. Miał pięć lat, a mimo to wiedział takie rzeczy, ponieważ owa czuła obecność w środku nocy wlała mu w serce wiele mądrości. I właśnie ona stała mu się pociechą i pomagała znieść bolesne poczucie straty.

Jednak istniały na świecie również inne odwieczne siły.

Oprócz miłości – nienawiść.

Obok wdzięczności – pragnienie zemsty.

Chłopiec przeczuwał to wszystko, a jeszcze wyraźniej przeczuwał, że otrzymał dar. Wyjątkowy dar.

Jednak nie tylko tak piękne doświadczenia jak to właśnie przeżyte były mu pisane. I już niedługo miał się o tym przekonać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Sześć – powiedziała Nikki DuMonde. – Prosiłyśmy o sześć. – Wskazała tacę, na której stało pięć filiżanek kawy *au lait*.

Wraz z Andrea Ciello stały przy ladzie w swoim ulubionym lokalu „Madame D'Orso”. Obsługiwała je jakaś młoda dziewczyna, która wyglądała na odrobinę rozkojarzoną, może po prostu była przemęczona. W końcu dopiero minęła pora lunchu, pewnie przez kawiarnię przewinęło się sporo osób. Nikki rozejrzała się. Prawie wszystkie stoliki na tarasie były zajęte, we wnętrzu siedział tylko jeden gość. Opierał się ramieniem o ścianę, głowę miał zwieszoną. Na moment podniósł wzrok i wtedy ujrzała przystojną twarz, inteligentne spojrzenie, wysokie, pięknie rzeźbione kości policzkowe. Jednak mężczyzna był zarośnięty i potargany, a ubranie miał tak wygniecione, jakby w nim spał.

– Sześć kaw i sześć pączków – dodała Andy i uśmiechnęła się szeroko, gdy na tacę trafiło sześć ciastek, cieszących się zasłużoną sławą w całym Nowym Orleanie. Spojrzała na Nikki, mrużąc piękne, ciemne oczy. – Dzisiaj ja stawiam. Zgoda?

– Nie wygłupiaj się.

– Nie wygłupiam się, chcę ci w ten sposób podziękować. Odkąd mnie przyjąłeś, moje życie zmieniło się nie do poznania. Wszyscy jesteście dla mnie tacy mili. Zwłaszcza ty.

Andy pracowała jako przewodniczka w firmie Tajemnice Nowego Orleanu od czterech tygodni.

– Daj spokój. Musimy tworzyć zgrany zespół, ponieważ zawsze pracujemy parami lub trójkami, a teraz ty stanowisz jego część. I całkiem dobrze sobie radzisz.

– No, nie wiem... – Andy przerzuciła długie ciemne włosy przez jedno ramię. – Znam wszystkie historie i kiedy je opowiadam, czasem przebiegają

mnie ciarki, aż mam ochotę się odwrócić i sprawdzić, czy naprawdę nikt za mną nie stoi, rozumiesz. Ale ty to co innego. Sprawiasz wrażenie, jakbyś naprawdę widziała duchy, o których mówisz!

Nikki wzruszyła ramionami.

- Może to naturalna cecha rodowitych nowoorleańczyków. Chodziłam do szkoły z połową kapłanek wudu i chiromantów, którzy dzisiaj mają lokale w Dzielnicy Francuskiej, oferując przepowiednie, amulety, magiczne wywary i co tylko chcesz. Tutaj człowiek rozwija w sobie pewną... wrażliwość na miejsca, w których coś się wydarzyło... - Zmarszczyła brwi, szukając właściwych słów.

- Nawiedzone? - podsunęła Andy.

- Nie, to nie to. Widzisz, w miejscu, gdzie stało się coś przejmującego, coś ważnego, pozostaje specyficzna aura. Weź na przykład Opactwo Westminsterkie w Londynie. Wchodzisz tam i...

- ...czujesz się jak na cmentarzu - dopowiedziała Andy, niezaliczając się do grona wielbicieli takich zabytków.

Nikki roześmiała się.

- Tak, ale akurat nie o to mi chodziło. Chcę powiedzieć, że w pewnych miejscach coś się unosi, coś jakby pamięć dawnych wydarzeń, ludzkich emocji, pamięć czyjegoś życia, czyjejs śmierci...

Andy pokiwała głową.

- Ty rzeczywiście widzisz duchy.

- Nie. To nie ma nic wspólnego z widzeniem.

- No to wyczuwasz je.

Nikki wydawała się coraz bardziej zakłopotana.

- Nie. Mówię ci, to tylko świadomość, że to miejsce ma swoją historię, że... tam coś zostało. Każdemu czasem się zdarza poczuć coś podobnego.

Andy zastanawiała się przez chwilę.

- Hm, właściwie jest parę takich zakątków na cmentarzach, które... sama nie wiem. Jest tam jakoś... inaczej. I ta stara katedra wydaje się dość... niesamowita.

- No widzisz. - Nikki chciała wziąć tace, lecz ponieważ Andy ją uprzedziła, obróciła się, by wrócić do stolika, i naraz omal nie krzyknęła z przestraszenia.

Siedzący pod ścianą oberwaniec podniósł się nie wiadomo kiedy i stał tuż przed nią. Poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć i wyciągał do niej rękę. Cofnęła się odruchowo, ale on i tak zdołał musnąć dłońmi jej ramiona.

Złękła się, że mu słabo i zaraz się na nią przewróci. Włóczęga jednak nie upadł. Nadal próbował coś powiedzieć, lecz miał z tym wyraźne trudności.

Pewnie chce pieniędzy, pomyślała. W miejsce odrazy pojawiło się współczucie i Nikki szybko sięgnęła do portmonetki.

– Proszę. – Wcisnęła mu banknot do ręki. – Niech pan sobie kupi coś do jedzenia. Nie alkohol, nie narkotyki, tylko jedzenie.

Jeszcze raz poczuła lekki dotyk na plecach, gdy go mijała, lecz oddaliła się szybko w stronę stolika, gdzie czekali pozostali. Zanim tam dotarły, Andy zdążyła powiedzieć:

- Bardzo ładnie postąpiłaś.
- Ten biedak i tak pewnie się za to upije albo da sobie w żyłę.
- Nie wyglądał mi na ćpuna.
- No, dobrze, nie ćpun, tylko zwykły menel.
- Gdyby nie łut szczęścia, dzisiaj wyglądałabym tak samo jak on...

Nikki zerknęła na nią ciekawie i cicho westchnęła. Andy nie ukrywała przed nią, że miała kiedyś poważny problem z narkotykami, lecz od paru lat nie brała. Praktycznie nie tykała też alkoholu, sięgając po kieliszek tylko wtedy, gdy zdarzała się jakaś naprawdę specjalna okazja. Ponieważ właśnie doszły do stolika, rozmowa się urwała. Nie mogły dyskutować o takich sprawach przy Patricii, Nathanie, Mitchu i Julianie.

Pracowali w sześcioro dla firmy oferującej zwiedzanie Nowego Orleanu z wykwalifikowanym przewodnikiem. Konkurencja w mieście była ogromna, lecz radzili sobie całkiem nieźle. Maximilian Dubois, który założył firmę, najpierw zatrudnił Nikki. Spodobały mu się jej artykuły zamieszczane w jednej z lokalnych gazet. Uznał, że owa DuMonde ma prawdziwy talent do opowiadania historii.

On sam wspaniale nadawałby się na przewodnika oprowadzającego po nawiedzanych przez duchy miejscach, ponieważ jego wygląd przywodził na myśl wampira. Max miał kruczoczarne włosy, był bardzo wysoki i chudy. Nie lubił się jednak przemęczać. Wystarczyło mu pieniędzy na rozkręcenie interesu i zatrudnienie paru osób, które będą na niego pracowały. Nikki została jego prawą ręką, odpowiadała za nabór nowych przewodników i wdrażanie ich do obowiązków. Najpierw przyjęła do pracy Juliana, swego najlepszego przyjaciela, niezrównanego gawędziarza, a po nim zjawili się następni. Max aprobował wybory Nikki, wtrącał się rzadko, gdyż skoro firma prosperowała dobrze, mógł zajmować się tym, co kochał najbardziej – podróżowaniem. Aktualnie pojechał obejrzeć Wielki Kanion Kolorado.

- Trochę wam to zajęło – zauważyła Patricia Broussard, podobnie jak Andy ciemnowłosa i ciemnooka, o psotnym uśmiechu.

- Bo Nikki podrywała takiego jednego – zażartowała Andy.

- Naprawdę? Opowiedzcie!

- Dałam żebrakowi dolara, to wszystko.

- Dałaś mu dwadzieścia dolarów – skorygowała Andy.

Nikki podchwyciła zaskoczone spojrzenie Juliana.

- Wyglądał na takiego, który naprawdę ich potrzebował – wyjaśniła.

- Przede wszystkim był całkiem, całkiem, trzeba by go tylko ogolić, uczesać i porządnie ubrać – dodała Andy z niewinną miną.

- Kochana, to ty musisz chyba dorabiać na boku, skoro stać cię na takie hojne datki – zauważył Mitch, blondyn z Pittsburga, jedyny Jankes w ich towarzystwie. – Facet musiał być naprawdę przystojny!

- Zejdźcie ze mnie, dobrze?

- Nie, dlaczego, bardzo ciekawy temat – zaproponował Nathan, który mieszkał z Patricia. – W kółko tylko pracujesz i pracujesz, czas, byś pomyślała o prywatnym życiu.

- A faceci nie wiedzą, że jesteś do wzięcia, bo mają was za parę. – Patricia wskazała Nikki i Juliana.

- Co za pomysł! – jęknął Julian.

Przyjaciółka łypnęła na niego.

- Dzięki – skwitowała.

- O rany, przecież wiesz, dlaczego tak zareagowałam.

- Wiem – zapewniła go i spojrzała na Patricię. – Widzisz, my dwoje znamy się za długo i za dobrze. Za nic już nie moglibyśmy zostać parą, staliśmy się raczej jak brat i siostra. A teraz, skoro wyjaśniliśmy sobie sprawy prywatne, przejdźmy do kwestii związanych z pracą.

- Robota nie zając, nie ucieknie. – Nathan z szerokim uśmiechem pochylił się ku niej nad stolikiem. – Trzeba ci wreszcie kogoś znaleźć, Nikki.

- Dziękuję, obejdzie się. Nikogo nie potrzebuję.

- Jej ostatnia wyprawa w krainę Amora nie zakończyła się pomyślnie – rzekł Julian z rozdzierającym westchnieniem. – A przecież ostrzegałam, żeby nie umawiała się z tym palantem.

- Nawet nie wiedziałem, że ona w ogóle się z kimś widuje – zdumiał się Mitch.

- Bo się nie widuje. Już od roku – zdradził niezawodny przyjaciel.

- To można tyle wytrzymać?

Nikki jęknęła.

- Przestańcie! A Greg wcale nie był palantem. Po prostu chciał jechać do Hollywood po pieniądze i sławę.

- A ty miałaś jechać z nim i w tak zwanym międzyczasie go utrzymywać - dopowiedział z dezaprobatą Julian. - Dupek!

- Cóż, niestety w tym jednym punkcie dochodziło między nami do istotnych kontrowersji. Owszem, lubię Kalifornię, ale nie chciałabym tam mieszkać na stałe. I nie nazywaj go tak brzydko, z łaski swojej.

- Fakt, nie był skończonym dupkiem - wtrąciła Patricia. - Miał też kilka zalet. Był naprawdę przystojny i całkiem romantyczny.

- Romantyczny? - zainteresował się Mitch.

- No wiesz, przynosił kwiatki, otwierał przed kobietą drzwi, takie tam...

- Tak, ale między nimi od początku nie było tego czegoś - zawyrokował Nathan. - A jak nie ma, to nic nie pomoże.

- Ale czy trzeba zawsze czekać, aż to coś się pojawi? - zaproponował Mitch. - Gdybym tak robił, spędzałbym samotnie jeszcze więcej nocy niż teraz. Wcale się nie dziwię, że po roku ascezy Nikki jest taka spięta.

- Nie jestem spięta - rzekła przez zaciśnięte zęby.

- Ty, lepiej to odszczekaj, bo inaczej każe Maksowi cię wylać - ostrzegła go przyjaźnie Patricia.

- Hau, hau! - powiedział natychmiast Mitch.

- Czy możecie wreszcie przestać? - poprosiła Nikki. - Naprawdę muszę omówić z wami parę rzeczy.

Julian obrócił się do Andy.

- Czy rzeczywiście ten włóczęga byłby całkiem do rzeczy, gdyby go doprowadzić do porządku?

- Owszem. Nie wyglądał mi zresztą na prawdziwego włóczęgę, tylko na kogoś, kto ma przejściowe kłopoty.

- Dosyć zabawy, kochani - zadeklarowała stanowczo Nikki. - Nie mam ochoty spotykać się z obdartusem, choćby i przystojnym, nie brakuje mi Grega, a jak będę chciała umówić się z kimś, to poradzę sobie bez waszej pomocy. Nie jestem spięta, nie czuję się ascetką i nic mi nie brakuje.

- Nie? Słuchajcie, może ona w takim razie nocami pracuje w klubie jako striptizerka? - podsunął Mitch, lecz szybko uniósł ręce w geście poddania się, gdy ujrzał wymowne spojrzenie zielononiebieskich oczu Nikki. - W porządku, już będę grzeczny, obiecuję.

Wyjęła notes.

- Mam wam przekazać coś od Maksa. Mitch, możesz dodawać nowe historie, ale muszą pochodzić z wiarygodnego źródła. Julian, jeśli znowu jakaś turystka postawi cię w dwuznacznej sytuacji, powiedz, że jesteś żonaty. Najlepiej napomknij o tym na samym początku, podczas przedstawiania się grupie. Dobrze?

- A jeśli w tej grupie zauważę kogoś, kto mi się spodoba i kogo chętnie bym poderwał? - zaprotestował. - W dodatku jak się rozniesie, że jestem żonaty, to już żadna babka się ze mną nie umówi. Skończę podobnie jak ty.

- Zdaje się, że mieliśmy więcej o mnie nie rozmawiać.

- A jednak jest spięta - rzucił Julian, patrząc na Nathana. - Może chodźmy po tego faceta, któremu odpaliła tyle kasy za sam wygląd.

- Zejdźcie ze mnie!

- My tylko próbujemy ci pomóc - bronił się Nathan.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy - warknęła. - Czemu dla odmiany nie zajmiecie się Andy?

Cała czwórka jak na komendę obróciła się ku najnowszej osobie w ich grupie. Andy roześmiała się.

- Za mało o mnie wiesz, nie jestem aż tak wdzięcznym celem.

- W dodatku ona chętnie gada o facetach, bo to flirciara. - Nathan tylko machnął ręką.

- O? - zdziwiła się Andy.

- To nie wiedziałaś? - spytał Mitch.

Zachichotała.

- Dobrze, niech wam będzie. Uwielbiam flirtować.

- W takim razie jestem do usług - zaoferował się Julian. - Flirtuj ze mną, kiedy tylko najdzie cię ochota.

- A gdybyś wolała prawdziwego Jankesa... - Mitch sugestywnie zawiesił głos.

Andy smutno potrząsnęła głową.

- Mama zawsze powtarzała, że praca to praca, a zabawa to zabawa i że by nigdy nie mieszać tych dwóch rzeczy.

- Nie musimy się bawić, możemy sypiać ze sobą na poważnie - odparł Mitch.

- Hej, poznaćajcie się teraz nad Nikki, dobrze? - zażądała Andy.

- Nie wiem, czy to kogoś interesuje, ale jutro wieczorem świętujemy - rzuciła w powietrze Nikki.

- Jak to? Wycieczki są odwołane? - zdumiał się Julian.

- Nie. I nie przerywaj, to szybciej się dowiesz. W zeszłym miesiącu wypracowaliśmy największy jak dotąd zysk. Max jest zadowolony, zaprasza nas na swój koszt do pubu Pata O'Briena, po ostatniej turze. Stawia wszystkim i kolację, i drinki.

- Bomba! - Mitch klasnął w dłonie.

W tym momencie zjawiała się właścicielka, jak zwykle przez chwilę krążąc pomiędzy stolikami, zamieniając parę słów z gośćmi i dolewając im świeżej kawy z dzbanka. Przewodnicy cieszyli się specjalnymi względami Madame D'Orso, gdyż ich wycieczki zaczynały się zawsze sprzed jej lokalu, co przysparzało jej klienteli.

- Chyba jest mniej ludzi niż zazwyczaj o tej porze? - zagadnęła Nikki.

- Tak, ale nie narzekam, bo podczas lunchu mieliśmy prawdziwy najazd. Zbliżają się wybory, więc wszędzie aż czarno od polityków, działaczy, obrońców tego, obrońców owego i naprawiaczy świata wszelkiej maści. - Wy-mownie machnęła ręką.

- A widziała pani tego włóczęgę? Podobno całkiem do rzeczy - wtrącił Mitch. - Myśli pani, że Nikki mogłaby się z nim umówić?

- Jakiego włóczęgę? - zdziwiła się Madame D'Orso.

- Nie zauważyła go pani? - spytała Andy. - Był tu niedawno. Naprawdę interesujący, chociaż zaniedbany.

- W tym tłumie, jaki się tu dziś przewalił, nie zauważyłabym nawet samego prezydenta. - Oddaliła się z uśmiechem.

Mitch westchnął.

- No i dalej nie wiemy, jak on wyglądał i czy warto byłoby w niego nieco zainwestować.

- Jeszcze jedno słowo na ten temat, a jutro Max nie postawi ci kolacji - ostrzegła Nikki.

- Milczę jak grób!

Wstała, gdyż przed lokalem zebrała się już spora grupka turystów.

- Julian, pora zaczynać. Następną grupę bierze Andy z naszym elokwentnym Jankesem. Patricia i Nathan ruszają z trzecią.

Dwadzieścia minut później stała na legendarnej Bourbon Street przed barem, w którym ongiś mieściła się kuźnia i które to miejsce miał nawiedzać duch pirata Jeana Lafitte'a. Pirat był wyjątkowo malowniczą postacią, w pewnym momencie okazał się zagorzałym patriotą, a historia jego życia obfitowała w wiele niespodzianek i dotąd niewyjaśnionych zagadek. Nikki lubiła o nim opowiadać i zawsze odnosiła wrażenie, że duchowi Jeana Lafitte'a też

sprawia to przyjemność. Wyraźnie wyczuwała w powietrzu coś szelmowskiego, nawet trochę niecnego, lecz zarazem dziwnie sympatycznego.

Tak. Nowy Orlean nie cierpiał na brak duchów – unosiły się między neonami obiecującymi „gorące dziewczyny” a sklepikami, gdzie oferowano talizmany wudu, między ulicznymi muzykami a stoiskami pełnymi lokalnych przysmaków.

Nikki dobrze się z nimi czuła.

Tom Garfield desperacko starał się zachować świadomość. Przychodziło mu to z wielkim trudem, ale był mężczyzną, i musiał walczyć do końca.

Dziewczyna. Czy zdołał do niej dotrzeć? Nie bardzo mógł sobie przypomnieć. Mimo wysiłków jego umysł wciąż zasnuwała mgła. Tom pograżał się w niej, gubił.

Chyba miał szansę.

Tak, ale nie udało mu się nic powiedzieć. A potem...

Potem było za późno. Śledzono go.

Cóż, stoczył zacieklą walkę. I zrobił wszystko, co w jego mocy. Może coś do nich dotrze. Tak bardzo próbował jej to powiedzieć...

Poczuł szarpnięcie i wiedział, co to oznacza. Ktoś właśnie się nim „zajmował”. Ale to już go nie obchodziło. Jego myśli rwały się coraz bardziej, majaki wypierały rzeczywistość. Widział...

Widział dziewczynę. Nie, kobietę. Piękną jak księżniczka z bajki. Długie jasne włosy, oczy zielone i niebieskie jednocześnie... Delikatna jasna twarz jak z porcelany. Prawdziwe współczucie w jej wzroku.

Pieniądze... Dała mu pieniądze. Znacznie więcej, niż daje się żebrakowi.

Ale on nie był żebrakiem. Kiedyś...

Przypłynął do niego inny obraz. Może to był sen. On sam, w garniturze. Nie, w smokingu. Czysty, ogolony. Idzie przez pokój. Jest kobieta...

Znów poczuł szarpnięcie, obrazy znikły. To jej dobroć tak go poruszyła. Bardziej niż uroda.

Poczuł ukłucie igły. To oznaczało sny, kolejne sny...

Nie miał już nic przeciw snom. Umierał.

I nagle poczuł żal, lecz tylko z powodu jednej rzeczy. Nikt nie pozna prawdy.

Chyba że ona zrozumie, co otrzymała, co jej przekazał w tym samym momencie, gdy jej dotknął...

To już koniec. Czyżby przegrał? Nie, to niemożliwe. Nie mógł umrzeć zupełnie na darmo. Boże wielki, spraw, żeby jego wysiłki nie poszły na marne. Ona musi zrozumieć...

Mgła. Mgła, coraz więcej mgły, wreszcie...

Śmierć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy zwiedzanie dobiegło końca i przewodnicy odpowiedzieli już wyczerpująco na wszystkie pytania turystów, Julian wrócił do domu, zaś Nikki poczekała na Andy i razem udały się do centrum. Max w dowód uznania nie tylko zaprosił swoich pracowników do pubu, ale też dał Nikki premię, co należało natychmiast wykorzystać, udając się na zakupy. Miała upatrzone sklepienie, a w nim pewną rzecz, o której od dawna marzyła. Przyjaciółka powiedziała, że chętnie potowarzyszy Nikki, o ile ta nie ma nic przeciwko temu.

Po drodze wstąpiły do domu, w którym mieszkała Andy, by upewnić się, jak się czuje jej wiekowa sąsiadka i czy nic nie potrzebuje. Pani Montobello była Włoszką, która prawie sześćdziesiąt lat wcześniej przyплыnęła do Ameryki za narzeczonym. Jej mąż już nie żył, dzieci również, wnuki zaś mieszkały daleko, bo aż w Nowym Jorku. Andy zaopiekowała się nią, a staruszka w zamian raczyła ją barwnymi opowieściami o wydarzeniach sprzed ponad pół wieku. Tego dnia naszło ją na wspomnianie dawnych chiromantów, kapłanek wudu, jasnowidzów, specjalistów od stawiania tarota. O współczesnych, oferujących swe usługi turystom, miała jak najgorsze zdanie.

- Banda oszustów - powtarzała, gwałtownie potrząsając siwą głową. - Dawniej wudu uprawiali czarni niewolnicy, którzy dzięki temu mieli coś własnego i w dodatku mogli odegrać się na swoich panach, a teraz co? Udawanie dla pieniędzy! Ale kiedyś naprawdę były tu kobiety obdarzone specjalną mocą. Na przykład słynna Marie Laveau...

- Przykro mi, lecz „specjalna moc” Marie Laveau polegała głównie na podsłuchiowaniu i zbieraniu informacji o innych - odparła Nikki.

- Drogie dziecko, chyba mi nie powiesz, że należysz do niedowiarków? Przecież jesteś znakomitą przewodniczką po nawiedzonych miejscach - wiem to od Andrei. Przy tobie ludzie czują obecność duchów. To dlatego, że ty je widzisz, prawda?

Nikki potrząsnęła głową.

- Nie, ja po prostu znam doskonale te historie, wczuwam się w atmosferę miejsc, gdzie coś się wydarzyło. Jednak jestem osobą twardo stąpającą po ziemi. Pracuję jako przewodniczka, opowiadam o intrygujących wydarzeniach i ludziach, przy okazji próbując zarobić jak najwięcej pieniędzy dla firmy. I nie wierzę w żadne wróżby z kart i z dłoni ani w żadne szczególne umiejętności, chyba że psychologiczne, które umożliwiają błyskawiczne rozszyfrowanie klienta.

- Niech pani jej nie słucha, pani Montobello - wtrąciła Andy. - Kiedy pracuję z nią w parze i słucham jej opowieści, dostaję gęsiej skórki. Ona mówi, jakby wiedziała coś, o czym inni nie mają zielonego pojęcia.

- Czyli nie widzisz ich, ale rozmawiasz z nimi? - Włoszka przyglądała się Nikki z zadziwiającą powagą.

- Nie.

- Rozumiem. Ty do nich nie mówisz, ale one mówią do ciebie.

- Boże broń! Dostałabym ataku serca, gdyby coś podobnego mi się przydarzyło. - Nagle uśmiechnęła się przekornie. - Widać one dobrze o tym wiedzą, bo siedzą cicho.

- Może któregoś dnia się odezwą - mruknęła pani Montobello. - Tak samo jak my muszą najpierw mieć coś do powiedzenia. Jednak z całą pewnością wierzysz w nie, ja to czuję.

Nikki przebiegł zimny dreszcz. Tak, wierzyła w duchy, chociaż nie, nie w duchy jako takie, ale w pewien rodzaj wspomnień i emocji, które pozostawały po konkretnych ludziach w konkretnych miejscach. Nie zamierzała jednak o tym rozpowiadać.

- W moim wieku więcej się dostrzega, może dlatego, że jest się coraz bliżej przekroczenia ostatecznej granicy - dodała staruszka.

Wciąż przyglądała się uważnie Nikki, która z niewiadomego powodu nie była w stanie odwrócić wzroku.

A jednak faktycznie coś w takich miejscach widzę, pomyślała nagle. Coś jakby mgiełkę, widmowy kształt, ślad czyjejś obecności... Odgaduję ich emocje. Wiem, kiedy coś straciły, kiedy czegoś szukają, kiedy się smucą. Są łagodne, nie chcą nikogo skrzywdzić. Tak naprawdę są tylko przeczuciem, czymś, co dotyka mojej wyobraźni, a może mojego serca.

Otrząsnęła się i zaczęła rozmawiać o czymś innym. Wypiły u pani Montobello herbatę, a potem zaczęły zbierać się do wyjścia. Wiekowa Włoszka jeszcze raz popatrzyła przenikliwie na Nikki.

- Idźcie na zakupy i bawcie się dobrze. Ale trzymajcie się z dala od tych wszystkich oszustów. Pamiętaj!

W drodze do sklepu Andy zatrzymała się nagle przy jednym z niezliczonych lokalików, w których przyjmowali chiromanci.

- Zabawne, naszła mnie ochota, żeby ktoś poczytał mi z dłoni. Pani Montobello zabroniła nam chodzić w podobne miejsca, ale aż mnie korci. Hm, jestem jak dziecko, marzę o tym, co zakazane. To co? Wchodzimy?

- Daj spokój, wiesz, że oni wcale nie czytają z ręki, tylko plotą, co chcą i wyciągają pieniądze od naiwnych.

- No dobra, to niech mi ktoś postawi tarota.

Nikki zawahała się.

- Jeśli rzeczywiście bardzo ci zależy, to po zakupach mogę zaprowadzić cię w jedno miejsce. To sprawdzona i zaufana osoba.

- Naprawdę?

- Tak. I nie przyznamy się pani Montobello.

Nikki ogromnie lubiła niewielki butik, gdzie upatrzyła sobie uroczy gorset, ponieważ każdy model był szyty ręcznie i niepowtarzalny. Niestety nie mogła się dłużej porozglądać i nacieszyć oczu pięknymi rzeczami, gdyż Andy cały czas ją poganiała. Kupiły więc gorset i powędrowały na Conte Street.

Napis głosił, że przyjmuje tam Hrabina Moodoo Hoodoo Voodoo. Nazwa była pretensjonalna aż do bólu, toteż Andy bez słowa przewróciła oczami. Nikki jednak dobrze знаła właścicielkę niewielkiego sklepiku i lubiła ją. Kapłanka wudu – a według niektórych zwykła wróżka – nie była ani Kreolką, ani Metyską, ani Mulatką, ani... Właściwie nie dało jej się zaklasyfikować, ponieważ jej przodkowie należeli do wszystkich ras, co nie zdarzało się często nawet w Nowym Orleanie. Nikt nie znał jej prawdziwego imienia, gdyż nigdy go nie używała. Nazywano ją po prostu Hrabina.

Już dawno zdradziła Nikki, że sprzedawane przez nią eliksiry miłosne to jedynie mieszanki ziół z dodatkiem witamin, a wróżenie z reki polega na mówieniu ludziom tego, co chcieliby usłyszeć.

Weszły do sklepiku. Nikki poprosiła o eliksir z dużą zawartością witaminy E, po czym przedstawiła Andreę.

- Czy mogłaby pani postawić mojej przyjaciółce tarota?

Potęźnie zbudowana kobieta obrzuciła czarnowłosą dziewczynę dość obojętnym spojrzeniem. Miała zdumiewające oczy, tak wielobarwnie cętkowane, że właściwie nie sposób było ustalić ich koloru. Najczęściej wydawały się orzechowe, lecz czasami zdawały się prawie niebieskie, kiedy indziej szare,

były też momenty, gdy stawały się ciemne i nieodgadnione. Nikki ostatecznie doszła do wniosku, że przypominają mieniący się żakard.

– Chodźcie.

Hrabina poprowadziła je na tył sklepienia, gdzie zasłona ze szklanych paciorków odgradzała kąt, w którym paliło się słodko pachnące kadzidełko. Usiadła przy stoliku i wskazała Andy miejsce naprzeciwko. Między nimi znajdowała się piękna kryształowa kula. Nikki wiedziała od Hrabiny, że to tylko dla efektu.

Wróżka wzięła talię kart i kazała je Andy przełożyć, po czym potasowała je i zaczęła rozkładać. Ledwo odkryła pierwszą, zawahała się. Andy z ciekawością dotknęła następnej, lecz Hrabina szybko zgarnęła wszystkie z powrotem.

– Dzisiaj karty nie chcą mówić.

Nikki spojrzała na nią ze zdziwieniem. Przyprawiała do niej ludzi, gdyż wiedziała, że zawsze usłyszą coś, co im pomoże lub podniesie ich na duchu. „Czeka cię bardzo ważna decyzja, nie podejmuj jej pochopnie, daj sobie czas do namysłu i rozważ wszystko starannie”. „Spotkała cię przykrość ze strony pewnej osoby. Postaraj się jej przebaczyć, dzięki temu odzyskasz spokój serca”. „Widzę przed tobą jasną przyszłość. Idź śmiało do przodu”.

– To może poczyta mi pani z ręki? – zaproponowała Andy i wyciągnęła dłoń.

Hrabina pochyliła głowę, zeszywniała, ujęła smukłą dłoń i wpatrywała się w nią długo. Andy wesoło mrugnęła do przyjaciółki, pokazując, że docenia aktorski talent wróżki, Nikki nie odniosła jednak wrażenia, by tamta cokolwiek udawała. Wreszcie Hrabina z westchnieniem puściła rękę Andy i z ogromną powagą spojrzała dziewczynie w oczy.

– Musisz być ostrożna. Bardzo ostrożna.

– Czemu?

– Po powrocie do domu. zawsze zamykaj za sobą drzwi. Na wszystkie zamki. Nie rozmawiaj z obcymi. I...

– I co? – naciskała Andy, gdy tamta milczała.

– Jest jeszcze coś... – wymruczała wróżka z ociąganiem.

– Ach. pewnie zobaczyła pani moją ciemną przeszłość? – rzuciła lekkim tonem Andy. – Tak, miałam kłopoty. Ćpałam. Ale to już historia.

– Zawsze zamykaj drzwi. I trzymaj się z dala od nieciekawych typów, słyszysz?

– Tak, proszę pani. Dziękuję za radę. Czy coś jeszcze? Zakocham się?

Hrabina wpatrywała się w Andy swoimi niesamowitymi oczami, już nie patrzyła na jej rękę.

– Każdy z nas prędzej czy później się zakocha – stwierdziła. – No. dobrze, dosyć tego. Sio, już was tu nie ma. I nie zapomnij zamykać drzwi!

Praktycznie wygoniła je ze sklepiku.

– Ale ja jeszcze pani nie zapłaciłam! – protestowała Andy.

– Nie jesteś mi nic winna. A teraz zmykaj, życie jest piękne, spiesz się!

Drzwi zamknęły się za nimi z cichym brzękiem dzwoneczków. Andy wybuchnęła śmiechem.

– Faktycznie ty i pani Montobello macie rację. To tylko nabieranie klientów. Mówiła do mnie jak matka, a nie jak wróżka. Zamykaj drzwi, gdy jesteś sama w domu, nie rozmawiaj z nieznajomymi, nie zadawaj się z łobuzami. Ale przynajmniej dobrze się bawiłam. Dzięki, że mnie do niej przyprowadziłaś.

Nikki w milczeniu skinęła głową. Nie podzielała rozbawienia przyjaciółki, czuła się dziwnie nieswojo.

– Wiesz, ciekawa rzecz – ciągnęła Andy. – Dałabym głowę, że ona wiedziała o moim ćpaniu. – Nagle zaniepokoiła się. – Słuchaj, czy gdyby Max dowiedział się o tym, wywaliłby mnie z roboty?

– Nie. Zresztą, kto wie. jaką przeszłość ma za sobą Max? – zażartowała, lecz potem spoważniała. – Andy, Hrabina dała ci dobrą radę. Wyrwałaś się z nałogu, musisz strzec się ludzi, którzy będą próbowali znowu cię w to wciągnąć.

– Czasem trudno się ustrzec. Niektórzy z nich są bardzo uparci i wytrwali, dobrze znają twoje słabości... Paliłaś kiedyś?

– Masz na myśli papierosy czy trawę?

Andy zaśmiała się.

– Zwykle papierosy.

– Tak, zaczęłam w szkole średniej, po paru latach rzuciłam.

– I jak ci poszło to rzucanie? Byłaś uzależniona?

– No pewnie! Żułam gumę jak szalona, chodziłam do hipnotyzera, wyprawiałam cuda.

– Podobno najtrudniej rzucić właśnie palenie. Możesz kilka lat nie palić, a potem nagle na widok kogoś z papierosem aż cię skręca, żeby znów się zapalić. Niestety na jednym papierosie się nie skończy, choćbyś się nie wiem jak zarzekała. Znów zaczniesz palić na całego. Z innymi nałogami jest tak samo. Czasem marzę, żeby odlecieć jeszcze jeden jedyny raz, ale wiem, że mi nie wolno.

- I nie złamiesz się? – zatroskała się Nikki.

- Nie. Za dużo widziałam. Przypominam sobie, jak skończyli inni i to przywołuje mnie do porządku. Natychmiast. Pomaga mi też bardzo, że mam fajną pracę, miłych znajomych. Za dużo do stracenia, rozumiesz.

Nikki uśmiechnęła się.

- Miło mi to słyszeć. Och, zobacz! – powiedziała nagle, ścisząc głos. – To znowu ten człowiek, którego widziałyśmy u „Madame D'Orso”.

Andy spojrzała na drugą stronę ulicy, gdzie przy wejściu do popularnego baru rzekomo nawiedzanego przez ducha jednego z legendarnych jazzmanów jak zwykle stała grupka turystów.

- Nie widzę go.

- Jest tuż przy tych ludziach, pewnie wyszedł z baru. Nie wydał tych pieniędzy na jedzenie, tylko poszedł się upić – rzekła z rozczarowaniem Nikki.

Włóczęga stał lekko pochylony do przodu, patrząc wprost na nią i znów poruszając wargami, jakby koniecznie chciał jej coś powiedzieć. Andy wciąż rozglądała się bezradnie, nie zauważając go. Turyci ruszyli dalej, śmiejąc się i rozmawiając głośno, przesłaniając na moment włóczęgę, a gdy przeszli, już go nie było. Z baru dobiegło przejmująco smutne solo trąbki, zaś Nikki nagle zadrżała z zimna.

Kolejny dzień.

Kolejny trup.

Jakiś ćpun leżący pod wiaduktem autostrady, prawie zupełnie schowany pod stosem starych gazet i innego śmiecia. Przy nim wałała się zużyta strzykawka. Detektyw Owen Massey i jego partner przybyli obejrzeć denata, wezwani przez patrol, który zabezpieczył teren wokół zwłok. Zjawili się też eksperci od medycyny sądowej i stwierdzili, że zgon nastąpił ledwie kilka godzin wcześniej z powodu przedawkowania heroiny.

Po powrocie na posterunek Massey przystąpił do wypełniania formularza, w połowie, ze znużeniem zerknął na zegarek. No, już niedługo pójdzie do domu. Całe szczęście, bo ten dzień dał mu trochę w kość. Ledwo wrócił do pisania, do biurka podszedł jego partner.

- Słuchaj, mamy tożsamość denata, system dopasował odciski palców. Tom Garfield. Agent FBI.

- Co?!

- Federalne Biuro Śledcze – powtórzył Marc Joulette. – Gość od trzech miesięcy rozpracowywał po cichu jakąś sprawę.

Massey jęknął. No to koniec. Powrót do domu i odpoczynek odsuwały się w jakąś bliżej nieokreśloną przyszłość.

- Zawiadomiliśmy federalnych, przysłał nam tu kogoś – dodał Julette.

Massey jęknął jeszcze głośniejszym głosem i w akcie kompletnej rozpaczki walnął głową o biurko. Partner nie zwrócił na to uwagi, gdyż obok nich właśnie przeciągała spora grupa policjantów, głośno rozprawiających na tematy polityczne. Massey uniósł głowę, pomasażował czoło i łypnął na nich ponuro.

- Co jest, do cholery?

- Jest jakiś kolejny wiec przed wyborami na senatora, trzeba zapewnić ochronę.

- Politycy – prychnął ze wzgardą Massey. – Luizjana ma chyba najbardziej nieuczciwych ze wszystkich.

- Hej, no nie przesadzaj – zaprotestował Julette. – Niektórzy naprawdę starają się zrobić coś dobrego.

- Tylko że każdy ma inną wizję, jak to coś dobrego miałoby wyglądać i kończy się kompletnym bałaganem – mruknął ponuro poirytowany Massey.

Podszedł do nich Robinson z patrolu miejskiego.

- Chłopaki, może to was zainteresuje. Jakies pół godziny temu facet wyrwał babce torebkę, za późno narobiła rabanu, nie zdołałem go dopaść. Ale mam coś. – Położył na stoliku portret pamięciowy mężczyzny. Zobaczyli twarz Toma Garfielda, nieżyjącego agenta FBI. Massey zmarszczył brwi.

- Co to niby ma być?

- Ta kobieta nie widziała twarzy gościa, który wyrwał jej torebkę, ale tuż przedtem zauważyła jakiegoś podejrzanego wyglądającego typa, opisała go dokładnie, a ponieważ przedtem byłem tu rysownikiem, zrobiłem portret. Wypisz – wymaluj ten wasz federalny.

- Robinson, to niemożliwe. Tamten nie żyje od dobrych kilku godzin.

- Ona przysięga na wszystko, że go dopiero co widziała.

- Czyli co? Martwy agent lata po mieście i wrywa kobietom torebki? – zakpił Julette.

- Raczej po mieście lata jego sobowtór – rzekł cierpliwie Robinson. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale pomyślałem, że na wszelki wypadek wam powiem.

- Pokazałeś to staremu? – spytał Massey, a gdy tamten skinął głową, spytał jeszcze: – Możesz mi to zostawić?

- Nie. Miałem dla ciebie kopię, ale stary ją wziął. Zrobię nową i podrzucę ci.

Kiedy odszedł, detektyw westchnął ciężko. Zapowiadała się długa noc.

Brent Blackhawk starał się obudzić, ponieważ wiedział, jaki sen się zbliża i co on zapowiada. Niestety, nie udało mu się. Otoczyła go gęsta mgła, potem wyłonił się z niej dziadek. I znów był ten dzień, kiedy stali na polu bitwy, gdzie w 1876 sprzymierzeni wojownicy z różnych plemion zmiotli w proch i pył żołnierzy generała Custer. Widział ich.

Był dzieckiem i był przerażony. Czuł w nosie i ustach kwaśny zapach prochu. Słyszał wystrzały, dzikie okrzyki, jęki konających. Widział mundury kawalerzystów, widział nacierających Indian, widział krew, widział śmierć.

Nie poprawiał przewodnika, chociaż tamten się mylił, wskazując różne miejsca, podając nieprawidłowe liczby. Brent miał przed oczyma prawdziwy przebieg bitwy, ale milczał, bo kto by mu uwierzył? Potem okazało się, że dziadek wie o jego zdolnościach.

- Czy mam je dlatego, że jestem w części Indianinem? – spytał chłopiec.

- Nie wiem. Twoja mama pochodziła z Irlandii, wyspy, o której powiadają, że jest przesiąknięta magią. W jej rodzinie zdarzali się jasnowidze. Może masz to po niej. W każdym razie otrzymałeś specjalny dar i nie otrzymałeś go na darmo. On ma czemuś służyć. Czemuś dobremu.

Akurat to ostatnie jak dotąd się nie sprawdziło. To jest, owszem, dzięki swoim szczególnym umiejętnościom Brent mógł czasem pomóc innym ludziom, ale dla niego samego oznaczało to najczęściej koszmary.

- Znów nadszedł czas – powiedział we śnie dziadek.

- Wiem. Wyczułem to.

Dziadek skinął głową. Brenta znowu otoczyła mgła i wyczuł dotknięcie miłości, dla której nie był przeszkodą ani upływ czasu, ani przestrzeń, ani nawet ciemny próg śmierci – a potem się obudził.

Przez okno wpadały promienie słońca. Westchnął. Cóż, będzie dalej robił to, co miał do zrobienia. Adam sam go znajdzie, jeśli zajdzie potrzeba.

Nikki obudziła się wczesnym rankiem dziwnie zmęczona. Bardzo źle spała, przez całą noc dręczyły ją koszmary. Nie mogła sobie przypomnieć żadnych szczegółów, lecz pozostało jej poczucie zagrożenia, jakby te sny stanowiły jakieś ostrzeżenie.

Próbowała otrząsnąć się z tego wrażenia. Słońce zaglądało do jej sypialni, był kolejny piękny dzień. Wstała, odsunęła zasłony. To pewnie przez tę rozmowę z panią Montobello i wizytę u Hrabiny. Normalnie Nikki nie odczuwała

podobnych sensacji, chociaż codziennie opowiadała o duchach. To jednak było co innego. Lubiła nowoorelańskie duchy, a raczej to, co duchami nazywano. Lubiła to „coś”, unoszące się w powietrzu w pobliżu pewnych miejsc. Nadawało miastu niepowtarzalną atmosferę.

Poszła do łazienki, ochlapała twarz zimną wodą, by do końca oprzytomnieć i nagle nie miała odwagi się wyprostować i spojrzeć w lustro. A jeśli oprócz swojego odbicia ujrzy jeszcze coś? Czyjaś twarz?

Ale przecież musiała w końcu się poruszyć, nie mogła spędzić całego dnia zgięta nad umywalką! Zerknęła w lustro i poczuła się jak idiotka, ponieważ oczywiście zobaczyła tylko samą siebie. Nieco uspokojona, wyszykowała się szybko i wyszła z domu.

A jednak przeczucie zagrożenia nie opuściło jej, otaczało ją jak szara, zimna i wilgotna mgła.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Na początku człowiek wędrował po ziemi, nie myśląc o tym jak powinien żyć, co jest dobre, a co złe i dokąd pójdzie potem. Któregoś dnia dwaj wojownicy ruszyli na łowy i pojawiła się przed nimi niezwykła kobieta. Wielka Biała Bawolica. Była ogromnie piękna, ubrana w strój z białej skóry, a na plecach coś niosła. Jeden z wojowników pomyślał: „Chcę ją mieć w moim tipi” – opowiadał Brent Blackhawk swoim młodym słuchaczom.

Któryś ze starszych chłopców zachichotał domyślnie.

– Czy chciał się z nią umówić na randkę? – upewniła się jedna z dziewczynek.

– Mniej więcej. Ale to nie była zwyczajna kobieta. Wielka Biała Bawolica odgadła myśli mężczyzny i kiwnęła na niego palcem. Zbliżył się do niej śmiało. Wtedy otoczyła ich mgła, a kiedy się rozplynęła, ten, który miał się za wielkiego wojownika, był już tylko leżącą na ziemi stertą kości, wśród których pełzały węże.

– Fuj! – pisnęła jakaś dziewczynka.

– I co? I co dalej? – dopytywali chłopcy.

– Drugi z myśliwych bardzo się zdumiał na ten widok i przestraszył. Kazała mu iść do wioski i powiadomić innych, że ona przyjdzie przekazać im coś ważnego i każdy ma to usłyszeć. Wrócił więc szybko, opowiedział, co się stało, a wtedy wszyscy, od wodza po najmniejsze dziecko, włożyli najpiękniejsze

stroje i udali się do największego tipi, w którym odbywały się zgromadzenia. Wtedy zjawiała się Wielka Biała Bawolica, niosąc w ręku to, co przedtem miała na plecach.

- Co to było? - spytał niecierpliwie chłopiec, który przedtem śmiał się znacząco.

- Tobolek, z którego najpierw wyjęła kamień, a potem fajkę. Główkę fajki zrobiono z czerwonej gliny i kobieta wyjaśniła, że ta glina oznacza całą ziemię. Na główce wyrzeźbiono ciele bawołu i ono oznaczało wszystkie zwierzęta. Cybuch był z drewna i oznaczał wszystko, co rośnie. Dla ozdoby zwieszaly się z niego piękne pióra i oznaczały wszystko, co lata w powietrzu. Kiedy Wielka Biała Bawolica wytłumaczyła im to wszystko, powiedziała, że każdy, kto zapali tę fajkę, wejdzie w związek z całą ziemią, zwierzętami, tym, co rośnie i tym, co fruwa. Zrozumie, że to jest święte i ma to otaczać szacunkiem. Wejdzie też w związek z wielkim przodkiem Wakantanką, i ze wszystkimi swoimi przodkami, i ze wszystkimi swoimi potomkami, i ze wszystkimi swoimi krewnymi. Będą na zawsze związani i będą się nawzajem szanować.

- Ale przecież nie powinno się palić! - powiedział z powagą ten sam chłopiec.

Brent uśmiechnął się.

- Ty jesteś Michael, prawda? - Zawsze starał się pamiętać wszystkie imiona.

- Michael Tiger - rzekł z wielką dumą.

- Masz rację, palenie to bardzo zły nałóg. Niszczy zdrowie i dużo kosztuje.

- No to jak można palić świętą fajkę? - dopytywała jakaś dziewczynka.

- W plemieniu Lakota pali się ją podczas specjalnych ceremonii. Wtedy wolno.

- Ale co się stało dalej? - chciał się dowiedzieć inny ze słuchaczy.

- Wielka Biała Bawolica pokazała im w kamieniu siedem nacięć, które oznaczały właśnie tych siedem specjalnych okazji, kiedy należy palić fajkę, by sobie przypomnieć to, czego ich nauczyła. Od tej pory ludzie nie chodzą już po ziemi bezmyślnie jak zwierzęta, ale wiedzą, że mają ją czcić, gdyż są złączeni ze wszystkim, co żyje. A kiedy już nauczyła ich troski o świat wokół nich, odeszła parę kroków i zmieniła się w białobrazowe ciele bawołu. Po paru krokach zmieniła się w ciele zupełnie białe, a po kilku następnych w wielkiego czarnego bawołu. Opuściła tipi, weszła na wzgórze, pokłoniła się na cztery strony świata i znikła.

- To po co w ogóle przychodziła, skoro potem znikła? - spytał z rozczarowaniem Michael.

- Żeby ludzie dowiedzieli się, jak należy postępować. Nauczyła ich szanować się nawzajem, szanować ziemię, zwierzęta, ptaki, rzeki, a nawet kamienie. - Wstał, uśmiechając się do dzieciarni. - To jest legenda Indian Lakota o Wielkiej Białej Bawolicy.

Odbывał się właśnie doroczny festyn kultury indiańskiej na Florydzie, gdzie zjeżdżali przedstawiciele różnych plemion. Zapewniono również dodatkowe atrakcje, takie jak sprzedaż pamiątek czy występy grup rockowych, które pewnie zszokowałyby Wielką Białą Bawolicę. Brent grał na gitarze w zespole Wild Chiellains, ale został też poproszony o opowiadanie najmłodszym uczestnikom i gościom legend swego plemienia. Festiwal cieszył się coraz większą popularnością, więc wśród jego słuchaczy byli nie tylko mali Indianie z różnych szczepów, ale również Afro-Amerykanie, Kreole, Metysi i białe dzieci z Europy, które rozpoznawał po brytyjskim i niemieckim akcencie.

- Podobną legendę można usłyszeć w prawie każdym plemieniu. Takie opowieści znajdziecie też na całej kuli ziemskiej. Ktoś uczy człowieka, jak ma postępować. Jedni nazywają tego kogoś Wielkim Duchem, inni Bogiem, a jeszcze inni Allahem. Nauka jest zawsze taka sama, szanujmy się i bądźmy dobrzy dla siebie nawzajem i otaczajmy troską całą ziemię - wyjaśnił z uśmiechem, który nagle znikł z jego twarzy, gdy Brent zauważył znajomą sylwetkę w gronie dorosłych stojących półkolem za gromadką dzieciarni.

- Ale ty nie możesz być Lakotą - odezwała się najmniejsza z dziewczynek. - Masz zielone oczy.

- Oj, Heidi! - Michael westchnął z wyższością, ponieważ jako starszy i jako chłopiec, oczywiście wiedział więcej. - Moja nowa siostra ma niebieskie oczy, bo moja nowa mama jest do połowy Niemką.

- Czy twoja mama jest w połowie Niemką? - spytała Brenta Heidi.

Uśmiechnął się.

- Nie, była całą Irlandką.

- Ale za to twój tata jest w całości Lakotą, prawda? - Michael patrzył na Brenta z nadzieją.

- Mój dziadek, wódz Czarny Jastrząb, był w całości Lakotą. Może być?

Brent czuł na sobie wzrok Adama Harrisona, widział też rozbawienie mężczyzny, gdy ten słuchał, jak dzieciaki brały go na spytki. Heidi z namysłem ściągnęła brwi.

- A czy to łatwiej, czy trudniej być takim Indianinem w kawałku, a nie całym?

Zapominając na chwilę o Adamie. Brent przykucnął przed dziewczynką.

- Miejmy nadzieję, że już niedługo nie będzie miało żadnego znaczenia, czy ktoś jest czerwony, czarny, biały czy żółty, czy jest mężczyzną czy kobietą, chłopcem czy dziewczynką, czy wierzymy w Buddę, Boga-Stwórcę czy Wielkiego Ducha. Ważne, żebyśmy byli mądrzy i dobrzy dla innych, prawda?

- Prawda!

Brent wyprostował się, pożegnał ze wszystkimi uśmiechem i skinieniem głowy, po czym oddalił się. Odprowadziły go oklaski.

- Masz talent do takich gadek – zauważył Adam, doganiając go.

- Bez przesady. Wszystkie dzieciaki uwielbiają, kiedy im się coś opowiada, będą zachwycone, nawet jak nie wyjdzie ci to najlepiej. – Przystanął. – Dobra, czego chcesz ode mnie tym razem?

- Żebyś poleciał do Nowego Orleanu.

Brent jęknął w duchu. Unikał tego miasta jak zarazy z paru powodów. Jednym z nich było to, że taki człowiek jak on powinien omijać miejsca, gdzie wydarzyło się zbyt wiele ponurych historii.

- We wtorek czekają na mnie w rezerwacie Pinc Ridge.

- Wiem, jakie uczucia budzi w tobie myśl o podróży do Nowego Orleanu.

Nie prosiłbym cię o to, gdyby to nie było ważne.

- Tam zginęła Tania – przypomniał cicho Brent.

- Pamiętam, ale to naprawdę ważne.

- Wiele rzeczy jest ważnych. Poślijcie kogoś innego.

- Rząd potrzebuje właśnie ciebie.

- A czy mógłbyś wyjaśnić czemu to muszę być ja?

- Zginął agent FBI.

- Cóż, to przykre – rzekł nieco zaskoczony Brent. – Ale agenci wiedzą, na co się narażają, podejmując taką pracę. Niektórzy przypłacają swój wybór życiem.

- Tak, ale tego agenta widziano na mieście już po jego śmierci.

Brent uniósł brew.

- Rozumiem, że powiesz mi coś więcej na ten temat?

- Powiem ci wszystko, co wiem – zapewnił Adam.

- I zapewne mam już bilet na samolot?

- Wylatujesz jutro wieczorem.

- Nowa dzielnica Storyville jest bardzo ciekawym miejscem, w którym każdy znajdzie coś dla siebie – opowiadała z werwą Nikki otaczającym ją turystom. – Wspaniałe jedzenie, równie wspaniała muzyka i niezapomniany nastrój. Nie znajdziecie tu już tylko państwo tego, z czego ta część miasta ongiś słynęła i co próbował zwalczyć radny Alderman Sydney Story. Chodzi o tak zwany najstarszy zawód świata. Nie mogąc się go pozbyć z miasta, starał się go przynajmniej ograniczyć i wytyczył niewielki kwartał ulic, przeznaczony na dzielnicę uciech. Poza tym terenem nie wolno było prowadzić podobnych lokali. Radny Story nie byłby chyba zachwycony, gdyby się dowiedział, że właśnie ta część Nowego Orleanu otrzymała nazwę na jego cześć.

Parę osób roześmiało się.

- Wiele historii jest związanych z tym miejscem, bo obfitowało w domy schadzek, umiejscowione zarówno w nędznych suterrenach, jak i w okazałych rezydencjach. Można było wybierać wśród kobiet w każdym wieku, od zupełnie młodziutkich i niedoświadczonych, po bardzo dojrzałe panie. Prawdziwą królową prostytutek okazała się Josie. Urodziła się pod koniec wojny secesyjnej, została wychowana w głęboko religijnej rodzinie i uwiedziona w bardzo młodym wieku. Obdarzona nie tylko płomiennymi włosami i ognistym temperamentem, ale również zmysłem do interesów, otworzyła wkrótce własny dom uciech, w którym zgromadziła najbardziej krewkie z dziewczyn. Słynął z awantur, bijatyk i dantejskich scen. Kiedy miała dość, przekwalifikowała się i zajęła obsługą śmietanki towarzyskiej. Na ścianach jej domów publicznych wisiały obrazy olejne, gościom podawano najlepsze wina, a towarzystwa dostrzymywały im „siostrzenice pani domu”, pochodzące z podupadłych dobrych rodzin. Zbiła na tym majątek, potem kupiła sobie pałacyk w najmodniejszej części miasta i zadawała szyku. Wraz z upływem czasu jej obsesją stała się śmierć. Nie myślcie jednak państwo, że Josie zaczęła się martwić o swoją duszę. Nic podobnego! Chciała po śmierci robić równie wielkie wrażenie jak za życia. Kazała wybudować okazały grobowiec, ozdobiony kolumnami, urnami i rzeźbionymi pochodniami. Na pierwszy stopień schodów wstępuje piękna kobieta i wyciąga rękę w stronę drzwi. Josie umarła i została pochowana. Niestety spadkobierca roztrwonił majątek, jej pałacyk i grobowiec zostały sprzedane. Tak, ten drugi też, ponieważ w Nowym Orleanie po upływie roku i dnia od pochówku można przenieść zwłoki w inne miejsce. To, gdzie jest teraz pochowana królowa Storyville, stanowi jeden z najlepiej strzeżonych sekretów cmentarza. Ale podobno duch Josie lubi się wślizgiwać w swoją marmurową podobiznę, która wciąż stoi u wrót grobowca. Jeśli zobaczą państwo, że rzeź-

ba się porusza, proszę się nie niepokoić. Josie nie robi awantur, ani rzuca się na nikogo, ona po prostu odwiedza dawnych klientów, pochowanych na tym samym cmentarzu.

- To znaczy, na którym? – zainteresowała się jedna z turystek.

- Na Metairie. Można go odwiedzić z naszymi przewodnikami, znajdą to państwo w wykazie wycieczek i tras, który państwo od nas otrzymaliście. Nasze zwiedzanie dobiegło końca, bardzo dziękuję za wspólnie spędzony czas i serdecznie zapraszam do skorzystania z pozostałych wycieczek, są równie ciekawe! Jeżeli mają państwo jakieś pytania, to ja, Andrea i Julian chętnie na nie odpowiemy.

Nastąpiła zwyczajowa rundka pytań, pod jej koniec Nikki dyskretnie zerknęła na zegarek, choć zazwyczaj tego nie robiła. Wreszcie uwolniła się od ostatnich żadnych dodatkowych informacji turystów, skinęła na przyjaciół i cała trójka udała się w stronę pubu Pata O'Briena.

- O rany, w życiu nie widziałem przed wyborami takiej liczby plakatów – skomentował Julian, gdy mijali płot jakiejś budowy, z którego przyglądały im się dziesiątki podobizn obecnego senatora, Harolda Granta. – Podobny do ciebie, Nikki – przekomarzał się Julian. – Stanowczo za poważny. Może faktycznie przyda się świeża krew. Widziałyście plakaty tego drugiego? No, jak mu tam?

- Billy Banks – przypomniała Andy. – Dynamiczny facet, ma sporą charyzmę i dobrą prezencję. Biedny stary Harold pewnie nie ma z nim szans.

- Niektórzy nie głosują na prezencję i charyzmę – zauważyła Nikki.

- To w takim razie na co głosować, skoro obaj obiecują, że spadnie przestępczość, bezrobocie i tak dalej? – spytał Julian. – Któremu wierzyć?

- Żadnemu – skwitowała Andy.

Julian zapomniał o politykach, ponieważ właśnie zbliżali się do pubu.

- Ale ludzi się zwaliło...

Pub cieszył się wielką popularnością wśród miejscowych i wśród turystów, lecz na przewodników czekał wolny stolik. Max miał chyba szósty zmysł, ponieważ po pierwszej kolejce zadzwonił na komórkę Nikki z pytaniem:

- I co? Zalałaś się już?

- Ha, ha, jakie śmieszne – powiedziała do telefonu.

Usłyszała cichy śmiech.

- Wyluzuj, dziewczyno, raz możesz się zabawić. Zstąp ze swoich wyżyn i zniż się do poziomu zwykłych śmiertelników.

- Kto to? – zainteresował się Mitch, przekrzykując panujący dookoła gwar.

- Czy to Max? – dopytywał Julian.

- Tak. Pyta, czy już się upiliśmy i każe nam się dobrze bawić.

- Powiedz mu, że ja się staram jak mogę, skoro to on płaci – wrzasnął Nathan, otaczając ramieniem Patricię. – Tricia też za kołnierz nie wylewa, pilnuje!

Julian mrugnął do nich.

- O, gorąca nocka w planach?

Patricia roześmiała się.

- Do tego Nathan nie musi mnie upijać!

- Nie muszę, ale będziesz weselsza – przekomarzał się Nathan, przytulając ją.

- Hej, przestańcie mówić o seksie, przynajmniej dopóki reszta też kogoś sobie nie przygrucha – zaproponował gwałtownie Mitch. – Nikki, będziesz pamiętać, że Max kazał nam się zabawić?

- Bardzo śmieszne – odparła.

Max coś mówił, ale nie słyszała go w tym hałasie. Próbowwała uciszyć pozostałych, bezskutecznie.

- Ja na razie nie będę sobie nikogo szukać, nie ma mowy – oznajmiła Andy. – Wróżka kazała mi trzymać się z dala od obcych.

- A kto ci każe szukać obcych?

Nikki spiorunowała ich wzrokiem.

- Max, nie słyszałam, co powiedziałeś.

- Wygraliśmy w rankingu ogłoszonym przez jeden z magazynów poświęconych turystyce. Jestem z was dumny, dzieciaki. Upijcie się w trupa, wszyscy!

Naraz poczuła, że dobrze by jej to zrobiło. Na stole, nie wiedząc kiedy, pojawiła się druga kolejka. Nikki sięgnęła po swoją szklaneczkę. Nie miała pojęcia, co najbardziej wytrąciło ją z równowagi – ten wólczyga u Madame D'Orso? Nieprzespana noc i niepokojące przecucie, które nie chciało jej opuścić? A może po prostu wykończyło ją prowadzenie jednej wycieczki za drugą? Gdy tylko Max wróci, trzeba będzie na nim wymusić zatrudnienie jeszcze kilku przewodników.

- Wspaniała wiadomość, Max. Zaraz przekażę reszcie.

- Co nam przekażesz? – zaciekawiała się Patricia.

Nikki uciszyła ją machnięciem ręki.

- Kiedy wracasz? – spytała szefa. – Chciałam z tobą omówi...

- Jeszcze nie wiem. W razie czego zadzwoń, masz przecież mój numer. A na razie zapomnij o pracy, dziewczyno. Dziś wieczorem masz pić, jeść i dobrze się bawić. Pogadamy kiedy indziej.

Zaczęła protestować, lecz rozłączył się.

- I co powiedział? – chciał wiedzieć Julian.

Powiedziała im o wygraniu rankingu, wszyscy zaczęli klaskać, hałaśliwie wzniesli toast.

- Czy my w ogóle zamówiliśmy coś do jedzenia? – zaniepokoiła się nagle Nikki.

- Ooo, ktoś się chyba upił – zawołała ze śmiechem Patricia.

- Pytam poważnie.

- A ja poważnie odpowiadam. – Julian zaczął wyliczać: – Zamówiliśmy na przystawkę krewetki po kreolsku, potem zupę cebulową, a na główne danie wieprzowinę z czerwoną fasolą i ryżem, dziewczyno – zakończył, do złudzenia naśladowując głos Maksa.

Odetchnęła z ulgą.

- No, to całe szczęście.

- Święte słowa – przytaknął Nathan i wzniosł kolejny toast: – Za najlepszych przewodników w Nowym Orleanie i za Nikki, naszą jasnowłosą piękność.

- Nie patrzcie, ale ten facet przy barze wyraźnie ma ochotę poderwać którąś z was – oznajmiła Patricia.

- Na pewno nie mnie – stwierdziła Andy. – Gapi się na Nikki.

Nikki zerknęła w stronę baru. Mężczyzna miał ciemnoblonde włosy, był całkiem atrakcyjny. Wyglądał na studenta.

- Nie, właśnie na ciebie.

- Nie chcę was rozczarować, drogie panie, ale on patrzył na mnie – zadeklarował Mitch.

Po następnej kolejce Nikki zaczęło szumieć w głowie, lecz nie przejmowała się tym zupełnie. Od czasu do czasu rzeczywiście musiała, jak to powiedział Max, „wrzucić na luz”. W ten sposób ładowała akumulatory.

Samolot wzniosł się w powietrze.

Brent spoglądał na oddalającą się ziemię. Miasta jarzyły się w ciemności jak wielkie dendryty, połączone drogami neuronów, ale spora część połu-

dniowej Florydy tonęła w zupełnej czerni, to było królestwo rzek, bagien, aligatorów, węży kryjących się w pięknej zielonej trawie.

Mieszkał w południowej Florydzie od jakiegoś czasu, przedtem jego domem był Nowy Orlean w Luizjanie. gdzie żyli jego irlandzcy dziadkowie ze strony matki i to oni wzięli go do siebie, odkąd zaczął chodzić do szkoły. Z kolei wszystkie wakacje i ferie spędzał w Dakocie Południowej u swego indiańskiego dziadka.

Wracał więc do domu.

Cholera, dałby wiele, żeby tego uniknąć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Pomóż mi! Nikki, obudź się i pomóż mi!

Wyrwana z ciężkiego snu, z trudem uniosła powieki.

- Nikki. błagam, na miłość boską... Nic nie mam... Ja naprawdę nic nie mam. Powiedz im. Musisz im powiedzieć!

Zamrugła oczami, próbując oprzytomnieć i coś dostrzec. Ponieważ po powrocie do domu nie chciało jej się zaciągać zasłon, do pokoju wpadał odblask latarni, co prawda dość słaby, gdyż ulica znajdowała się dopiero za ogrodem, na który wychodziły okna jej sypialni, lecz wystarczający, by Nikki ujrzała Andy.

Stała u stóp jej łóżka, ubrana jedynie w długi T-shirt z nazwą słynnej drużyny piłkarskiej New Orleans Saints. Jej długie ciemne włosy były potargane, jakby dopiero co zerwała się z pościeli.

- Co ty tu robisz? O czym ty mówisz? - Nikki zerknęła na fosforyzującą tarczę budzika. Punkt czwarta rano.

Rozstała się z przyjaciółmi dopiero przed drugą, po kilku kolejkach wszyscy byli mocno wstawieni. Po ledwie dwóch godzinach snu oczywiście nadal czuła wpływ alkoholu, w dodatku zaczęła boleć ją głowa. Kac murowany.

- Andy, zejdź mi z oczu, to ty zamawiałaś kolejne drinki - jęknęła z wyrzutem.

- Ten włóczęga, którego spotkałyśmy w kawiarni, nie żyje!

Nikki potrząsnęła głową, co okazało się kiepskim pomysłem, gdyż ból niemal rozsądził jej czaszkę.

- Skąd mogłabyś o tym wiedzieć? Przecież go nie znamy. - Przez chwilę próbowała pozbierać myśli i zrozumieć, co się dzieje, ale nie szło jej to naj-

piej. – Jak ty się tu w ogóle dostałaś? To jakiś głupi kawał, tak? Próbujecie mnie nastraszyć? Czy to Julian cię do tego namówił? Oooch, wszystko jedno. Idź już. I nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi.

– Pomóż mi!

– Tak, tak, znakomity żart, ja też się ubawiłam, ha, ha, a teraz idź sobie, bo ledwo żyję.

– Na miłość boską, obudź się, oprzytomnij! Oni szukają... Moim zdaniem chodzi im o ciebie!

– Wracaj do domu, Andy. Czy wyście wszyscy powariowali? Co to w ogóle za pomysł pętać się po nocy po ulicach, w dodatku tylko w koszulce? A jeśli inni chichoczą tam za drzwiami, to powiedz im, żeby też sobie poszli. Zamknę teraz oczy, a kiedy je otworzę ma cię tu nie być, dobrze ci radzę!

Zacisnęła powieki, a kiedy po chwili je uniosła, Andy faktycznie już nie było, co zresztą nieco zaskoczyło Nikki.

– Koniecznie zamknijcie za sobą drzwi! – krzyknęła w stronę schodów.

Westchnęła. Właściwie powinna wstać i sprawdzić, czy to zrobili. I zaciągnąć zasłony, bo rano słońce będzie świecić jej prosto w oczy. Powinna wstać. Powinna...

Zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, zupełnie nie pamiętała o tym, co przydarzyło się w nocy. Raziły ją promienie słońca, głowa jej dosłownie pękała. Nikki zwlokła się z łóżka, w łazience wyjęła z apteczki parę tabletek aspiryny, popiła wodą z kranu. Zeszła do kuchni. Kawy, inaczej nie przeżyje! Kawa, a po niej gorące tosty.

Potem wróciła do sypialni, otworzyła przeszklone drzwi i wyszła na maleńki balkonik. Pod sobą miała niewielki ogród należący do kamienicy, w której mieszkała. Dom był stary, lecz pięknie odnowiony. Nikki wynajmowała w nim malownicze dwupoziomowe mieszkanie utworzone z dawnych służbówek. Na piętrze miała dwa nieduże pokoiki. W wychodzącym na ogródek urządziła sypialnię, a w tym od ulicy gabinet do pracy, spełniający też rolę sypialni dla gości. Na parterze znajdowała się kuchnia oraz pokój dzienny. W odróżnieniu od pozostałych lokatorów, Nikki cieszyła się przywilejem oddzielnego wejścia, które było dawnym wejściem dla służby. Wszyscy korzystali z głównej bramy od frontu i wspólnego holu, ona wchodziła do siebie z drewnianej werandy biegnącej wzdłuż domu.

Stojąc na balkonie, poczuła lekki wiatr. Powoli zbliżała się jesień, ulubiona pora mieszkańców Nowego Orleanu, gdyż mniej parna od pozostałych. Tu-

ryści robili wielkie oczy, gdy słyszeli, że jesienią jest chłodno i sucho, przy czym „chłodno” oznaczało mniej więcej dwadzieścia pięć stopni, a „sucho” wilgotność powietrza w granicach osiemdziesięciu procent...

Nikki wróciła do środka, wzięła prysznic i ubrała się, chociaż miała wolne aż do dwudziestej, gdyż w tym dniu tygodnia firma oferowała jedynie wycieczki wieczorne, za to trwające do późna. Czuła jednak, że prędzej wyleczy kaca, jeśli zmobilizuje się do działania, zamiast snuć się po domu w piżamie. Zeszła na dół, zaparzyła sobie następną kawę i postanowiła wyjść na powietrze. Dopiero na widok zamkniętej zasuwy i założonego łańcucha przypomniała sobie nocną wizytę Andy. Czyli przyjaciele nie zrobili jej kawału, coś jej się przywidziało. To musiał być tylko sen, choć zdawał się bardzo realny.

Och, ależ będą się śmiali, gdy Nikki im to opowie, a najbardziej Andrea. Albo nie, lepiej nic nie mówić, bo najpewniej zaczną się z niej nabijać i nie będzie końca żartom, jak to jej życie stałoby się ciekawsze, gdyby od czasu do czasu strzeliła sobie kielicha. Mitch ani chybi wysnuje teorię na temat wpływu ascezy seksualnej na zdrowie psychiczne.

Otworzyła drzwi i podniosła leżącą przed nimi gazetę, którą gazeciarsz po prostu ciskał na werandę, nie zsiadając z roweru. Z pierwszej strony spojrzały na nią twarze obu kandydatów na senatorów. Po lewej widniał dostojny Harold Grant, po prawej charyzmatyczny Billy Banks.

- Jak można głosować na faceta, który nazywa się Billy Banks? - mruknęła sceptycznie Nikki i usiadła na jednym ze stojących na werandzie wiklinowych foteli.

Znów pomyślała o Andy. Kiedy się lepiej poznały, przyjaciółka nie mogła się nadziwić, czemu Nikki wciąż mieszka w Nowym Orleanie.

- Nie przesiadujesz po klubach, praktycznie nie pijesz, a przede wszystkim nie lubisz tłumów. To jak ty tu wytrzymujesz?

- Po prostu kocham to miasto - wyjaśniła Nikki.

- No dobrze, a co robisz w Mardi Gras?

Nikki pomyślała o słynnej nowoorleańskiej paradzie na koniec karnawału, o rzeszach turystów, jakie ścigały zewsząd, by hucznie świętować, o szaleństwie, jakie wszystkich ogarniało, o kobietach, które na zatłoczonych ulicach ścigały bluzki i bieliznę...

- Uciekam do przyjaciół w Biloxi - zdradziła, na co Andy wybuchnęła śmiechem.

Na wspomnienie tamtej rozmowy zaświtał jej nagle pomysł, by raz zostać i w Mardi Gras urządzać u siebie przyjęcie dla wszystkich współpracowników. Andrea się ucieszy. Tak, koniecznie musi to zrobić.

Zaskrzybiały deski werandy: ktoś się zbliżał. Nieoczekiwanie Nikki poczuła lodowaty dreszcz i wróciło przecucie, które dręczyło ją przez cały poprzedni dzień. Spojrzała na nadchodzącego. Chociaż miał na sobie cywilne ubranie, odgadła natychmiast, że to policjant, który w dodatku przynosi złe wieści. Po prostu wiedziała to.

Odstawiła filiżankę na podłogę, podniosła się.

– Pan... Pan jest z policji – wyrzuciła z siebie, gdy stanął przed nią. – Coś się stało, prawda?

Skinał głową, odchrząknął.

– Panna DuMonde, tak? Jestem detektyw Owen Massey.

Patrzyła na tego dużego niedźwiedziowatego mężczyznę o sympatycznej twarzy, czując, jak napinają jej się wszystkie mięśnie. Przypomniał jej się sen z ostatniej nocy. Nie. Cokolwiek się stało, ona się na to nie zgadza.

– Musiała zejść jakaś pomyłka.

– Przykro mi, ale nie. Chodzi o Andree Ciello. Zaalarmowała nas jej sąsiadka, starsza kobieta nazwiskiem Montobello, twierdząc, że panna Ciello zawsze zachodzi do niej rano, a dziś tego nie zrobiła. – Policjant wykonał bezradny gest. – Podobno pani jest przyjaciółką Andrei? Tak mi przykro... Czy możemy wejść do środka?

– Niech pan powie, co się stało!

– Może...

– Niech pan mi natychmiast powie, co się stało!

– Przedawkowanie heroiny. Zapewne przypadkowe, lecz oczywiście muszą to potwierdzić nasi eksperci. Potrzebujemy kogoś do oficjalnego zidentyfikowania zwłok.

Na moment zapało jej dech.

– Zwłok?!

– Tak. Ogromnie mi przykro, panno DuMonde...

– Nie! To niemożliwe! – Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. To jakaś pomyłka. To jakiś idiotyczny żart. Andy, pełna życia i humoru Andy nie mogła być martwa.

– Naprawdę bardzo współczuję. Jednak pani przyjaciółka wzięła za du...

– Ona nie brała narkotyków od kilku lat – przerwała mu ostro.

– Nie wątpię, że starała się uwolnić od nałogu, ale...

- Nie! Ona naprawdę nie tykała tego świństwa. Za nic by tego nie zrobiła, rozumie pan. Za nic!

Jednak poważne spojrzenie policjanta przekonało ją, że nie mogło być mowy o żadnej pomyłce lub żarcie. Andy zmarła w nocy z powodu przedawkowania heroiny. I... I zjawiała się u Nikki, błagając ją o pomoc. Albo właśnie umierała, albo już nie żyła. A Nikki nie zrobiła nic.

Zawiodła ją. Ale... Ale jak to możliwe? Przecież takie rzeczy się nie zdarzają. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Andrea Cielo zerwała z nałogiem, jestem tego absolutnie pewna. Nie mogła zatem przedawkować. Ktoś ją zamordował.

Detektyw przyglądał jej się, ściągając brwi.

- Proszę mi wierzyć, to musiało być morderstwo - przekonywała z żarem. - Jeśli pan mi nie uwierzy, to... to...

To co? Już widziała jego minę, gdyby opowiedziała mu, co jej się dzisiaj przyśniło.

- Panno DuMonde, jest pani wstrząśnięta, to rozumiem. Może wejdziemy do środka, usiądzie pani, a ja zadzwonię po kogoś z pani rodziny lub przyjaciół, dobrze?

Nie słuchała go, rozgniewana jego uporem. Jak mógł podejrzewać jej przyjaciółkę?

- Andy na pewno niczego sobie nie wstrzyknęła. Skoro znaleziono coś w jej krwi, ktoś inny musiał ją naszprycować, żądam przeprowadzenia szczegółowego śledztwa. Chcę się zobaczyć z oficerem z wydziału zabójstw.

- Ja jestem z wydziału zabójstw - rzekł łagodnym tonem. - Dochodzenie właśnie się toczy, to zwykła procedura w przypadku każdej śmierci, która nie następuje z przyczyn naturalnych.

Ta informacja spowodowała, że Nikki spojrzała na niego z nieco mniejszym gniewem.

- O której została zamordowana? - spytała z trudem.

- Raczej o której zmarła - poprawił ją spokojnie Massey.

- Och, niech pan nie bawi się ze mną w słówka! No dobrze, o której... zmarła? Proszę mi powiedzieć.

Zawahał się, gdyż nie wiedział, czemu aż tak bardzo zależało jej na uzyskaniu tej informacji.

- Według opinii naszych ekspertów zgon musiał nastąpić około czwartej rano.

Wszystko wokół niej zawirowało, zbladło, usłyszała w głowie ostatnie błagalne słowa przyjaciółki i nim policjant zorientował się, co się święci, runęła bez czucia na deski werandy.

- No, szybciej już teraz nie pojedziemy, nie moja wina - rzucił taksówkarz, gdy znaleźli się na wąskich uliczkach zabytkowej Dzielnicy Francuskiej, zwanej też Vieux Carré.

- Nie szkodzi - odparł Brent.

Tu zawsze jeździło się wolno. Sporo ulic w ogóle wyłączono z ruchu kołowego, inne blokowały się, gdy tylko jakiś wóz dostawczy stanął trochę nie tak jak trzeba, zajmując cenne centymetry. W dodatku wszędzie przewalały się tłumy turystów, nie zważających na powoli pełznące samochody.

- Co tu się, u licha, dzieje? - spytał nagle, gdy patrol policji zupełnie zatrzymał ruch.

- Znowu jakiś wiec albo inna debata.

- Jaka debata?

Kierowca machnął ręką.

- A żebym to ja wiedział. Są wybory i oczywiście każdy z kandydatów wciska kit, jak to będzie pięknie, kiedy to on zostanie senatorem. Ten dotychczasowy pewnie gada, ile to już zrobił, a robi jeszcze więcej, bo przecież ma już doświadczenie, a ten drugi pewnie twierdzi, że stary nie zrobił zupełnie nic, więc potrzebni są nowi ludzie, nowe metody i takie tam, wie pan. Polityka. Każdy przyrzeka rozwiązać wszystkie problemy, a jak się już dorwie do stołka, to zapomina, co obiecywał. - Spojrzał na klienta we wstecznym lusterku i mrugnął porozumiewawczo.

- Ale liczba przestępstw chyba faktycznie spadła?

- Raz spada, raz rośnie... Tak naprawdę nic się nie zmienia, zawsze to samo jak świat światem. Biedni skubią bogatych, bo też marzą o dostatnim życiu, normalka, nie? Chyba żeby udało się zmienić ludzką naturę, co niemożliwe, albo całkowicie zlikwidować nędzę. Oczywiście obaj kandydaci zamierzają to zrobić, a jakże! Koniec jest taki, że człowiek głosuje na tego, od którego mniej go odrzuca. No, ale przynajmniej tym razem obaj wydają się nie tacy najgorsi. Którykolwiek wygra, miasto nie powinno wyjść na tym źle. Kocham stary dobry Nowy Orlean. Pan u nas pierwszy raz?

- Nie.

- A często pan przyjeżdża?

- Też nie.

- Skąd pan jest?

Miał ochotę powiedzieć, że właściwie zewsząd, ale zmienił zdanie.

- Stąd.

- A, to witamy w domu!

Brent nie podzielał jego entuzjazmu.

W końcu dojechali do niewielkiego hoteliku i kwadrans później Brent rzucał się na łóżko, by odespać lot. A może nawet nie tyle samą podróż, co powrót do Nowego Orleanu. Miał wrażenie, jakby wraz z przyjazdem utracił wszystkie siły. Kiedyś kochał to miasto, ale to było dawno.

Cóż, przyzwyczai się. Potrzebuje tylko trochę czasu.

Wcale nie chciał się przyzwyczajać, ale nie miał wyboru.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rok i jeden dzień.

Ta myśl nieustannie powracała do Nikki podczas całego pogrzebu. Andrea nie pochodziła z Nowego Orleanu, ale nigdzie indziej też nie miała żadnej rodziny, gdyż podobnie jak Nikki była sierotą i dorastała w kolejnych rodzinach zastępczych. Musiała mieć jakichś znajomych czy przyjaciół na uniwersytecie, z którego ją wyrzucono dwa lata wcześniej, lecz mimo wszelkich wysiłków nie dało się ustalić, jak się nazywają i jak się z nimi skontaktować.

W tej sytuacji Nikki nie tylko postanowiła zająć się pogrzebem, ale i pochować przyjaciółkę w swoim rodzinnym grobowcu, w którym znajdowało się jeszcze sporo miejsca. DuMonde'owie zamieszkali w mieście już pod koniec osiemnastego wieku, a w połowie dziewiętnastego nabyli działkę na cmentarzu i wybudowali okazałe mauzoleum. Wejście zamykała ozdobna, ręcznie kuta brama z żelaza, a po obu jej stronach trzymały straż ogromne kamienne anioły. Nad wejściem wykuto wielkimi literami nazwisko rodu.

Ostatnimi, za którymi zatrzasnęła się brama, byli przed paroma laty dziadkowie Nikki, a wcześniej jej rodzice, zabici w wypadku samochodowym. Ledwo zaczynała wtedy raczkować. Zostały jej jedynie zdjęcia i dość mizerne strzępki wspomnień.

Rok i jeden dzień.

W nowoorleańskim klimacie tyle wystarczyło, by po każdym zostało naprawdę niewiele. Po tym czasie prawo zezwalało zebrać pozostałości do urny lub specjalnego pojemnika i wmurować w niewielką niszę. W ten sposób po-

wstawalo miejsce dla nastepnych... W tym przypadku taka koniecznosc nie zachodzila, gdyz z rodziny DuMonde pozostala tylko Nikki, a potezny grobowiec mial az dwanaście krypt. Miejsca az nadto.

Zdecydowala, ze Andy nie spocznie w osobnej krypcie, lecz razem z jej rodzicami. Oczywiscie przyjaciolce nie robilo rozniczy, czy bedzie lezec sama, czy tez w towarzystwie. Nikki zrobila to wylaczenie dla siebie. Wiedziala, ze dzeki temu bedzie sie czula troche lepiej.

W koncu tak naprawde pogrzeby sa przede wszystkim dla zywych.

Julian opiekuńczo otoczył ją ramieniem. Wszyscy wiedzieli, że wciąż znajdowała się w stanie ogromnego szoku. Mylili się tylko co do powodu.

Owszem, ogromnie polubila Andree i szybko sie zaprzyjaznily, choc znaly sie ledwie kilka tygodni. Bedzie jej brakowalo Andy. Jednak nie to najbardziej wytracalo ja z rownowagi, gdyz cierpienie i smierc stanowiły naturalną część życia. Bardziej wstrzasnal ją fakt morderstwa. I to, ze przestepca pozostawal bezkarnie na wolności. Ale nawet nie to bylo najgorsze. Najstraszniejszy ze wszystkiego byl tamten sen...

– Juz zaraz koniec – szepnal jej do ucha Julian. – Poloz swój kwiatek na trumnie.

Skinela glowa, polozyla na wieku pojedyncza rose.

Pogrzeb sporo kosztowal, a Nikki nie miala dosc pieniedzy, by pokryc wszystkie wydatki. Na szczescie przyjaciele okazali sie naprawde wspaniali, zrobili zrzutke, kazdy dal, ile mogl, zas Max powiedzial, zeby wziala brakujaca sume z firmowej kasy.

Odwrocila sie. Oszklony, zaprzegnity w kare konie karawan stal pusty w alejce. Zaczal grac niewielki zespól, miedzy grobami poplynal jazz, jak przystalo na prawdziwie nowoorleański pogrzeb. Nikki miala nadzieje, ze Andy bylaby zadowolona. Nie wiadomo, skad pochodzila, ale teraz juz na pewno byla stada. Znalazla swoje miejsce na ziemi.

Od tamtego tragicznego wydarzenia minely cztery dni. Chociaz sekcja zwlok nie rzucila nowego swiatla na przyczyne zgonu. Nikki nadal przekonywala detektywa Owena Maseya, ze maja do czynienia z morderstwem i policja powinna szukac winnego. Na szczescie nie radzil jej, by pogodzila sie z faktem, ze wbrew zapewnieniom przyjaciolka wrocila do nalogu. Nawet jesli nie uwierzyl w wersje Nikki, przynajmniej przeprowadzil dochodzenie.

Feralnej nocy Andy rozstala sie z przyjaciolmi pod pubem Pata O'Briena za kwadrans druga. Policja znalazla ciało niedlugo po dziewiatej, zaalarmowana telefonem od sasiadki, pani Montobello. Andrea zawsze zagladala do

niej rano, by się upewnić, czy wszystko w porządku i czy nie pobiec po sprawunki. Kiedy nie zjawiała się, wiekowa Włoszka natychmiast nabrała podejrzeń. Przekonała policjantów, że powinni wyważyć drzwi i sprawdzić, co dzieje się z jej młodą przyjaciółką.

Andy nie była ubrana tak, jak przyjaciele widzieli ją w pubie – w modną spódniczkę i bluzeczkę bez ramiączek. Miała na sobie długi T-shirt z nazwą słynnej drużyny piłkarskiej New Orleans Saints i nic poza tym.

Obok niej znaleziono strzykawkę z igłą i inne utensylia. Jedyne odciski palców, jakie udało się zebrać w jej niewielkim mieszkaniu, nieliczne zresztą, należały wyłącznie do denatki i jej kilkorga nowych przyjaciół. Wiele rzeczy wytarto do czysta, zdaniem policjantów niedługo wcześniej Andrea Ciello robiła generalne porządki. Ku uldze Nikki nawet Masseyowi to wytłumaczenie wydało się nieco podejrzane.

Niestety poza tym nic nie wskazywało na morderstwo. Zamek nie został wyłamany, nikt też przy nim nie majstrował. Nie było śladów walki ani niczyjej obecności. Eksperci przeszukali mieszkanie i nie znaleźli absolutnie nic.

Przyjaciele Nikki nie podzielali jej przekonania o przyczynie śmierci Andy, ale też żadnemu z nich zmarła nie przyśniła się ubrana dokładnie tak, jak ją znaleziono... Mimo to starali się być pomocni. Spędzili godziny na przesłuchaniach, próbując przypomnieć sobie, czy ostatnio ktoś nie śledził Andy, nie narzucał się zbyt, nie wszedł z nią w spór. Dziewczyna była piękna, mężczyźni często gapili się na nią. Ale co w tym dziwnego? Wszyscy zapamiętali płowowłosego młodego mężczyznę z pubu, lecz doszli do wniosku, że wpatrywał się w Nikki. Mógł też obserwować całą szóstkę, ponieważ byli pijani i zachowywali się bardzo głośno i swobodnie.

Wracając myślami do tamtej nocy. Nikki miała nadzieję, że przyjaciółka przynajmniej nie cierpiała.

Czy ktoś za nią poszedł do domu? Ktoś, kto ją wypatrył w barze? A może na ulicy?

A jeśli przyjaciele mieli rację, uważając, że Nikki nie ma odwagi spojrzeć prawdzie w oczy? Andy złamała się, znów zaczęła ćpać. Co za problem? W tym mieście można było dostać każdy narkotyk.

Nie, to nie tak. Ktoś musiał jej przemocą wstrzyknąć śmiertelną dawkę heroiny.

Pani Montobello nie słyszała nic podejrzanego tamtej nocy, lecz ona w ogóle nic nie słyszała bez aparatu słuchowego, a przecież w nim nie sypiała. Stała teraz przy trumnie, łkając cicho w haftowaną chusteczkę. Kochana An-

drea była dla niej zawsze taka dobra! Zachodziła do niej codziennie, przynosiła łakocie, opiekowała się nią. Rodzona wnuczka nie zajmowałaby się nią lepiej.

Przesłuchanie pozostałych sąsiadów też nic nie dało. Mieszkający nad Andy pracownik banku przebywał służbowo w Nowym Jorku, a samotna matka z mieszkania naprzeciwko niego akurat tę noc spędziła u swoich rodziców, ponieważ jedno z dwójki jej małych dzieci zachorowało i potrzebowała pomocy.

Zamieszczona w gazecie prośba o dostarczanie informacji o podejrzanych osobach mogących mieć związek z tą sprawą miała ten skutek, że na policję zgłosiło się ileś osób, by opowiedzieć o różnych dziwnych typach, które widziały na mieście. Nowy Orlean obfitował jednak w ekscentryków, więc co drugi człowiek wydawał się dziwny...

Policja nie miała żadnego punktu zaczepienia, zaś Nikki oczywiście nie przyznawała się do swego snu, niewiele zresztą z niego pamiętała oprócz tego, że Andy stała przy jej łóżku w koszulce, w której potem znaleziono ją martwą i prosiła o pomoc. Jeśli policyjni eksperci trafnie określili czas zgonu, działo się to wtedy, gdy umierała – lub tuż potem. Przyjaciółka chyba coś jeszcze mówiła, coś, co wydawało się ważne. A może Nikki tylko ubzdurała to sobie pod wpływem przeżytego wstrząsu?

Policja zamierzała zakończyć śledztwo wbrew jej naleganiom. Owen Massey co prawda zapewniał, że nie zapomni o tej sprawie, ale zarazem ostrzegł, by Nikki nie liczyła na zbyt wiele. Odnalezienie mordercy z reguły musi trochę potrwać, czasem są to miesiące, czasem nawet lata. Nie dodał, lecz sama o tym wiedziała, że niektórzy przestępcy nie zostają nigdy schwytani.

Zacząła się zastanawiać, czy w takiej sytuacji nie powinna komuś opowiedzieć o swoim śnie. Do zwierzeń wybrała oczywiście najlepszego z przyjaciół, lecz Julian popatrzył na nią z takim niedowierzaniem, że natychmiast poczuła się jak ostatnia idiotka. Ostrzegł ją przed chodzeniem z podobnymi rewelacjami na policję, by nie wyszła na szurniętą albo – co gorsza – podejrzaną.

Przestała o tym opowiadać, lecz nie potrafiła zapomnieć o niezwykłym śnie. Jego wspomnienie dręczyło ją nieustannie. Umierająca Andy przyszła prosić o pomoc, a ona nic nie zrobiła.

Wybacz mi, Andy, zawiodłam cię.

Nikki zacisnęła powieki, desperacko próbując sobie przypomnieć szczegóły snu. To przecież mogło być ważne! Naraz poczuła na ramieniu lekki dotyk, otworzyła oczy i ujrzała zgnębioną twarz Patricii.

- Chodź. Nic tu po nas. Dajmy im dokończyć.

Nikki skinęła głową i rozejrzała się dookoła. Na pogrzeb nie przyszło zbyt wiele osób, ale jednak trochę ich było. Oprócz nich zjawili się sąsiedzi Andrei, zjawili się nawet kilku sklepikarzy, u których często robiła zakupy, a także Madame D'Orso. Ponadto jak zwykle do konduktu dołączyło paru ciekawskich i garstka turystów.

Na przewodników czekała zamówiona limuzyna, gdyż nie zmieściliby się do zwykłej taksówki, a w tej trudnej chwili chcieli być wszyscy razem. Tak, pora wracać. Nikki po raz ostatni spojrzała za siebie. Robotnicy wnieśli już trumnę do mauzoleum, by zamurować ją w odpowiedniej krypcie. Muzycy skończyli grać.

Cała piątka wróciła do Dzielnicy Francuskiej i udała się na stypę, urządzoną przez Madame D'Orso, która chciała w ten sposób uczcić pamięć Andrei. Polubiła Andy od pierwszego spotkania. Madame, czyniąc honory domu, była wyraźnie w swoim żywiole. Wysoka, z bujnym biustem, ze srebrnymi włosami spiętymi na czubku głowy w wytworny kok, umiała porozmawiać z każdym z gości i sprawić, by nikt nie poczuł się pominięty. Nikki uświadomiła sobie w pewnym momencie z lekkim zaskoczeniem, że pewnie była jedną z niewielu osób, które znały jej prawdziwe nazwisko – Debra Smith. Oczywiście rzekomy francuski rodowód przysparzał Madame klienteli.

Wszyscy starali się robić to, co zwykle robi się w podobnej sytuacji – wspominali zmarłą, mówiąc o niej same dobre rzeczy. W tym przypadku nie wszystkim przychodziło to łatwo, ponieważ ich zdaniem Andy, niestety, sama sprowadziła na siebie śmierć. Po co znów sięgnęła po narkotyki? Owszem, żalowali, że tak marnie skończyła, lecz szybko o niej zapomną. Nikki nie miała co do tego najmniejszych złudzeń. Prawdopodobnie tylko ona jedna będzie długo wspominać zmarłą.

Wkrótce żałobnicy zaczęli się powoli rozchodzić. Madame D'Orso przysiadła na krześle obok Nikki i ze współczuciem pogłaskała ją po rękę.

- Nie martw się aż tak bardzo, dziecko. Andy nie chciałaby, żebyś była smutna.

- Pewnie ma pani rację – rzekła zgaszonym tonem Nikki.

Madame odsunęła jej z twarzy opadające pasmo jasnych włosów.

- Ależ ty jesteś blada, dziewczyno! Zupełnie jakbyś zobaczyła ducha.

Stojący w pobliżu Julian obejrzał się i spojrzął z troską na przyjaciółkę. Nie zwróciła na niego uwagi.

- Czy pani pamięta ten dzień, gdy ostatni raz byliśmy tu z Andy?

- Trudno mi powiedzieć. Zachodzicie do mnie tak często, że nie sposób odróżnić, kiedy co się wydarzyło.

- Tak, domyślam się, ale akurat tamtego dnia kręcił się tu taki dziwny włóczęga. Gdyby się ostrzygł i wykapał, byłby naprawdę przystojny.

Madame wydawała się zdezorientowana.

- Na pewno pani go widziała – upierała się Nikki. – Pytaliśmy o niego, pamiętam, więc gdy wróciła pani do środka, na pewno zwróciła pani na niego uwagę.

- Nie przyglądam się każdemu, kto tu zachodzi, bo mam dużo pracy. Co innego, gdyby ten człowiek zemdlał albo przeszkadzał gościom, wtedy natychmiast wezwałabym policję. I na pewno bym mu się przyjrzała.

- Widać siedział tu i poszedł sobie akurat wtedy, kiedy pani nie zaglądała na salę – mruknęła Nikki. – Albo pani go nie pamięta.

Madame uśmiechnęła się.

- Z moją pamięcią nie jest aż tak źle, bo pamiętam co innego. Twoi przyjaciele żartowali, że trzeba cię z kimś umówić.

- Właśnie o niego chodziło! – wykrzyknęła triumfalnie Nikki.

- Naprawdę chętnie bym ci pomogła, chociaż nie rozumiem, czemu jakiś włóczęga jest dla ciebie aż taki ważny, ale nic nie pamiętam. Przykro mi.

Julian, poważnie zaniepokojony, usiadł naprzeciwko nich.

- Podejrzewasz, że on mógł śledzić ciebie i Andy? Może trzeba powiedzieć o tym policji?

Nim zdążyła odpowiedzieć, na kolejnym wolnym krześle przysiadła Patricia. Ona również pogłaskała Nikki po rękę.

- I co? Trzymasz się jakoś?

- Staram się. Na pewno przełożyłaś wszystkie dzisiejsze wycieczki?

- Tak. Zrobiłam, co mówiłaś. Zadzwoiłam do Maksa... A, właśnie, przepraszam, ale nie mógł przyjechać na pogrzeb. Z odwołaniem imprez nie było żadnego problemu, sporo ludzi widziało nekrolog w gazecie, wiele osób przekazało wyrazy współczucia... – Patricia spojrzała jakoś dziwnie na Juliana. – Niektórzy potrafią się zachować.

- No. A niektórzy nawet jeszcze bardziej – odparł, w odpowiedzi łypiąc na nią ponuro. – Uważają, że odtąd będziemy najlepszą tego typu firmą w całym mieście.

- O czym wy mówicie? I czemu patrzycie na siebie spode łba? – zaniepokoiła się Nikki.

Patricia zawahała się, po czym westchnęła.

- Nic do siebie nie mamy, nie obawiaj się. Po prostu przypomnieliśmy sobie taką jedną babę, która nas próbowała pocieszyć. Powiedziała, że taka śmierć wyjdzie na dobre naszym interesom, bo tylko nam będzie towarzyszyć duch zmarłej przewodniczki, więc przebijemy konkurencję.

- Okropne! - wykrzyknęła z oburzeniem Madame.

- Niestety, i tacy ludzie się zdarzają - skomentował Mitch, przysuwając sobie jedno ze zwolnionych krzeseł. - Ale z drugiej strony nasza biedna Andy faktycznie przyczyni się do powstania legendy wokół naszej firmy. Ludzie będą pytać o ducha przewodniczki, czy nam się to podoba czy nie.

- O, nie! - Nikki zaprotestowała gwałtownie. - Nie włączymy Andy do naszego programu. W żadnym wypadku!

- Nie mówię, żeby robić to specjalnie, ale przecież wiesz, że w naszym zawodzie pewnych rzeczy nie da się uniknąć - przypomniał jej, z uśmiechem rozkładając ręce.

Patrzyła na niego bez słowa. Nie posiadał talentu aktorskiego, jakim dysponowali Julian i Nathan, nie potrafił opowiadać w dostatecznie dramatyczny sposób, jednak posiadał ogromną wiedzę na temat miasta i jego historii, umiał odpowiedzieć chyba na każde pytanie i jako opalony niebieskooki blondyn o typowo amerykańskiej urodzie był ulubionym przewodnikiem grup, w których przeważały nastolatki.

Pod wpływem jej spojrzenia spoważniał, skinął głową.

- W porządku - zgodził się. - Nigdy ani słowa o Andy. Przepraszam, zapomniałem, że byłaś z nią bliżej niż reszta z nas... Dobrze się czujesz?

Skinęła głową, lecz nie wyglądał na przekonanego.

- Moim zdaniem któreś z nas powinno pomieszkać trochę z tobą - oświadczył.

- Dzięki, ale nie trzeba. Zresztą Julian dotrzymywał mi towarzystwa. - Popatrzyła na ich zatroskane twarze. - Dobra, nadal uważam, że Andy została zamordowana. Czuję się z tym podle. To jednak nie powód, by przyjaciele siedzieli ze mną po nocach, jakbym była dzieckiem. Oczywiście bardzo dziękuję, że o tym pomyśleliście.

- Ja tam nie wiem, jak możesz mieszkać sama po czymś takim. - Patricia przerzuciła przez ramię długie ciemne włosy i zerknęła na Nathana, który właśnie żegnał przy drzwiach ostatniego z żałobników. Uśmiechnęła się nieoczekiwanie. - Bałam się, że może popełniliśmy błąd, kiedy tak szybko zamieszkaliśmy razem, lecz ostatnio pozbyłam się wątpliwości. Nie chciałabym

być teraz sama. Za nic. Dziękuję Bogu, że mam Nathana. W ogóle już sobie nie wyobrażam innego życia.

- Wy dwoje jesteście dla siebie stworzeni - stwierdziła z przekonaniem Nikki. - Ja jednak mogę mieszkać sama. Na razie jestem wytracona z równowagi, ale jakoś się pozbieram. Dajcie mi trochę czasu, w końcu minęło dopiero kilka dni. Szybko dojdę do siebie, bo mam masę roboty. Nie spocznę, dopóki nie przekonam policji, że Andy została zamordowana i dopóki nie ujmą tego drania. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. I nie patrzcie na mnie w ten sposób. To naprawdę było morderstwo.

- Właściwie zgadzam się z tobą. Czy wstrzyknięto jej tę Herę, czy namówiono na zakup, ktoś przyczynił się do śmierci Andy - stwierdził Mitch. - Dla dobra wszystkich mieszkańców dzielnicy powinniśmy dowiedzieć się, kto za tym stoi. Tak więc od dziś mamy oko na dealerów i podobnych łajdaków, zgadzacie się?

Skinęli głowami.

- Nikki, a przy okazji... - zaczął Julian. - Śpię dzisiaj u ciebie.

- Nic mi nie jest!

- Mnie też - zapewnił. - Dlatego jak będziemy razem, to też nam nic nie będzie.

- Kanapa w gabinecie jest twarda jak skała. Sam tak powiedziałaś - przypomniała mu.

- Wszystko jedno. Lecę z nóg, dzisiaj mógłbym się przespać i na łożu fakira.

Już miała znów zaprotestować, lecz nagle westchnęła i poddała się.

- W porządku. Chyba faktycznie dzisiaj milej będzie mieć towarzystwo. Dzięki.

Wyszli z kawiarni jako ostami. Julian zdecydował, że najpierw powinni odprowadzić Madame D'Orso, chociaż ona nie widziała takiej potrzeby. Zbliżała się północ, wcale nie aż tak późna pora jak na Nowy Orlean. Na ulicach wciąż było sporo rozbawionych turystów, w dodatku regularnie krążyły patrole policji. Julian jednak stwierdził, że spacer dobrze im robi i w końcu Madame przystała na propozycję.

Noc była piękna, ciepła, lecz na szczęście nie tak parna i wilgotna, jak zazwyczaj.

- Balsamiczne powietrze - rzekł z błogością Julian. - Aż chce się żyć! - zawołał wesoło, po czym gwałtownie zakrył usta dłonią, uświadamiając sobie, że mógł sprawić przykrość przyjaciółce.

Nikki ujęła go pod ramię.

– Hej, nie przejmuj się. Nie trzeba przy mnie chodzić na paluszkach i zważać na każde słowo. To naprawdę przepiękna noc. I naprawdę aż chce się żyć.

Odprowadzili Madame, pożegnali się i ruszyli w stronę Bourbon Street.

– Może chcesz gdzieś wstąpić na jednego? – zaproponował Julian.

– Nie. Po tym, jak się wtedy upiliśmy, miałam straszliwego kaca i akurat wtedy dowiedziałam się o Andy... Jakoś nie mam ochoty na żaden alkohol, przynajmniej na razie. Wolałabym wrócić prosto do domu i spróbować odpocząć. Ostatnio nie śpiam za dobrze.

– Rozumiem. I tak cię podziwiam, że tak dobrze funkcjonujesz bez żadnych środków uspokajających. W końcu przyjechałaś ją do pracy, zaprzyjaźniłyście się, a teraz miałaś na głowie pogrzeb i jeszcze szukałaś ludzi, których powinno się zawiadomić... Trudno unieść takie brzemię. Do tego jeszcze dochodzi świadomość, że ktoś, kogo znałaś, został... – zawahał się – ...zamordowany.

– Reszta z was znosi to lepiej.

– Bo nikt z nas nie zdążył się z nią mocniej zaprzyjaźnić. Andy tak samo jak ty była sierotą, może dlatego tak szybko nawiązałyście nić porozumienia?

– Może... Ja przynajmniej miałam dziadków, ciotki i wujków, dorastałam mimo wszystko wśród rodziny. Andy była jej pozbawiona.

– Miała nas. My byliśmy jej rodziną – zapewnił. – To znaczy, bylibyśmy, gdybyśmy zdążyli...

Dotarli na miejsce. W otaczającym dom ceglany murze znajdowała się furta z kutego żelaza.

– Czekaj, wiem, że tu jest jakiś trik, ale nie pamiętam – rzekł Julian.

– Nie ma zamka, od tamtej strony jest zasuwka, trzeba wsunąć rękę między pręty, znaleźć zasuwkę i otworzyć od środka.

Miała ochotę zrobić to sama, byłoby szybciej, ale Julian wyraźnie nie życzył sobie, by go wyręczała. Mruczając coś pod nosem, po omacku szukał zasuwki, więc Nikki skrzyżowała ramiona i zaczęła się przyglądać temu, co działo się na ulicy. A w nocy na słynnej Bourbon Street działo się zazwyczaj całkiem sporo, podobnie zresztą jak w całej zabytkowej dzielnicy.

Zawsze ją zdumiewało, jak naturalnie życie toczy się dalej, chociaż tuż obok wydarzyła się tragedia. Jakaś czule objęta para spacerowała chodnikiem. Dziewczyna była biała, chłopak czarny. Nikki uśmiechnęła się. Kiedyś, właściwie jeszcze nie tak dawno, na Południu taki widok nie byłby możliwy.

Hałaśliwa grupa podchmielonych nastolatków przystanęła po przeciwnej stronie ulicy, gdyż akurat natknęli się na znajomych, równie głośnych i równie wstawionych. Niektórzy nieśli duże plastikowe kubki z piwem i popijali po drodze.

- Co za cholera - mamrotał pod nosem Julian, obmacując kratę od środka. - Nie poddam się tak łatwo!

Nikki nie słuchała go. Wyprostowała się nagle, ponieważ w grupie młodzieży dostrzegła mężczyznę, który wyraźnie odstawał od pozostałych. Był o wiele starszy, miał na sobie znoszone i pomięte ubranie. Pod niechlujnym zarostem kryła się wyraźnie przystojna twarz. Patrzył na Nikki, jakby ją rozpoznawał.

Ona z całą pewnością rozpoznała jego.

Obróciła się gwałtownie i chwyciła przyjaciela za ramię.

- Szybko, popatrz. On tam jest.

- Kto? Gdzie? - Spojrzał na nią zaskoczony, nic nie rozumiejąc.

- Ten zarośnięty włóczęga, który wtedy kręcił się u Madame D'Orso. Stoi wśród tych chłopaków naprzeciwno.

Julian uważnie zlustrował młode, roześmiane twarze pozbawione zarostu.

- Gdzie? - powtórzył.

- W samym środku - odparła, szybkim krokiem przecięła ulicę i bez namysłu weszła pomiędzy podpitych nastolatków.

- Ooo, jaka cizia - ucieszył się jeden z nich.

- Cześć, malutka - zabełkotał drugi, obejmując ją.

- Trzymaj łapy przy sobie - zażądał gniewnie Julian, który podążył za przyjaciółką.

Nikki nie zwracała na nich uwagi.

- On... on tu był! - wykrzyknęła, rozglądając się ze zdumieniem.

Z drugiej strony przysunął się do niej jakiś jasnowłosy chłopak.

- Kto tu był, złotko? - Miał wyraźny nowojorski akcent. - Ja ci nie wystarczę?

- Zostaw ją - ostrzegł ostrym tonem Julian.

- Taa? A ty co? Jej alfons? - spytał któryś z rechetem.

Julian zamachnął się, grzmotnął tamtego w szczękę. Chłopak upadł.

- Przegiąłeś, dupku - wycedził nowojorczyk, ciskając na bok kubek z resztką piwa. Postąpił krok w stronę Juliana. Reszta zrobiła to samo.

Nikki uznała, że pora interweniować.

- Przestańcie! Macie się wszyscy natychmiast uspokoić, bo zawołam policję – powiedziała głośno i dobitnie, lecz nikt jej nie słuchał.

Jeden z chłopaków doskoczył do Juliana, który zdołał wykonać unik, ale zaraz potem zaliczył cios od drugiego.

- Dosyć! – Zdesperowana Nikki niewiele myśląc, skoczyła najbliższemu z napastników na plecy i zaczęła okładać go pięściami po głowie. – Przestańcie!

Niefortunnie wybrała największego z nich, który chyba nawet nie poczuł jej razów i z łatwością zrzucił ją z siebie. Wylądowała na siedzeniu, a chłopak obrócił się ku niej. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Julian poradziłby sobie z dwoma napastnikami, ale przeciwko dziesięciu nie mieli szans. Potrzebowali pomocy policji, natychmiast. Nabrała powietrza w płuca, by wrzasnąć z całych sił.

- Hej!

W tym głębokim i dźwięcznym głosie, jaki się nagle rozległ, brzmiał taki autorytet, że wszyscy, nie wykluczając Nikki, zamarli. Do znieruchomiałej grupy podszedł bardzo wysoki brunet ubrany w koszulkę polo i dżinsy. Widać było, jak dobrze jest zbudowany.

Złapał za ramię rudzielca, który właśnie zamierzył się na przytrzymywanego przez innych Juliana.

- Co tu się dzieje, do cholery?

Nieznajomy wzbudzał taki szacunek, że rudy nawet nie próbował się stawiać.

- To on zaczął – powiedział, jakby miał sześć lat, a nie szesnaście.

- Nie chcieli się odczepić od Nikki – wyjaśnił Julian.

Brunet spojrzał twardo najpierw na jednego, potem na drugiego.

- Ma tu być spokój, jasne?

- Bo co? – spytał zaczepnie najbardziej pijany z nastolatków, który ledwo trzymał się na nogach.

Mężczyzna popatrzył na niego bez słowa i to wystarczyło.

- Co, spytać nie wolno? – wymamrotał nastolatek i odwrócił się. – Idziemy, chłopaki.

Zaczął się oddalać, za nim ruszyli pozostali.

Nieznajomy podszedł do Nikki, która wciąż siedziała na chodniku i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

I wtedy ujrzała jego twarz.

Ze smagłą, niemal miedzianą cerą kontrastowały przejrzyste zielone oczy. Rysy wyglądały jak wykute dłutem i podobnie jak ciemne, idealnie proste włosy zdradzały indiańskie pochodzenie. Nie dałoby się go zaliczyć do typowych przystojniaków, jednak Nikki nigdy nie widziała równie atrakcyjnego mężczyzny. Emanowały z niego poczucie siły oraz spokój. Szacunek wzbudzał nie tylko jego wzrost i szerokość barków, ale również kocia miękkość ruchów, zdumiewająca u kogoś o podobnej posturze.

Gdy podała mu rękę, poderwał Nikki z ziemi z taką łatwością, jakby ważyła mniej niż piórko, jednak właściwie nie to zrobiło na niej największe wrażenie.

Poczuła to, ledwo dotknęła jego dłoni. Energia. Strumień energii buzującej jak ogień przepłynął między ich ciałami. Od niego do niej.

Postawił ją na ziemi, spojrzał jej prosto w oczy i nagle coś w nich zobaczył. Nie wiedziała co. Natychmiast ją puścił i odstąpił od niej, nie przestając jednak przyglądać się Nikki szczególnym wzrokiem. Nie patrzył z pożądaniem. Ani z niechęcią. Ani z brakiem zainteresowania.

Patrzył tak, jakby... ją rozpoznał.

- Nic się pani nie stało?
- N-nie, nic... - zająknęła się.

Spojrzał na Juliana.

- A panu?
- W sumie też nie, chociaż mało brakowało... Jesteśmy pana dłużnikami. Może da się pan zaprosić na drinka?

Nieznajomy potrząsnął głową.

- Nie jesteście mi państwo nic dłużni. - Naraz uśmiechnął się lekko, a jego surowa twarz odmieniła się. Teraz wyglądał bardzo przystojnie. - Ale na przyszłość nie wdawajcie się w bójkę z nikim, kto ma taką przewagę liczebną, dobrze?

Skinał im ręką, odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nowy Orlean. Unikalne, najbardziej europejskie miasto Ameryki. Niepowtarzalna architektura i jeszcze bardziej niepowtarzalny nastrój. Przedziwne historie zdumiewających ludzi. Gorąco, wilgoć, wirujące nad ziemią opary. Przepiękne ogrody, jazz, radość życia, wudu. No i talent na talencie, niemal

na każdym rogu można było natknąć się na czarnoskórego muzyka, który grał lepiej niż okrzyczane gwiazdy występujące na koncertach za ciężkie pieniądze.

Brent właśnie minął takiego. Stary Murzyn grał na bandžo, siedząc na krzesełku i z uśmiechem kiwając głową do taktu. Ludzie mijali go, wrzucali monety do otwartego futerału. Dalej, za neonem „Lale u Lali” i sąsiednim, reklamującym „Wesołe dziewczynki”, grupa mimów dawała uliczne przedstawienie. Ludzie klaskali, bawili się. A tymczasem w jakiejś bocznej uliczce pewnie ktoś oferował narkomanom działki albo wdawał się w bójkę. Taką jak ta, której Brent przed chwilą zapobiegł.

Starał się o tym nie myśleć. Wciąż czuł na ręku dotyk tej kobiety.

Dobrze, że od razu odszedł. A jednak nie potrafił o niej zapomnieć. Nigdy w życiu nie widział podobnych oczu, tak jasnych i przejrzystych. To nie była zieleń ani błękit, raczej czysta akwamaryna.

Blondynka, całkiem wysoka, zgrabna, chociaż trudno było do końca odgadnąć jej figurę pod długą czarną sukienką. Lekko pokręcił głową. W tym mieście co druga osoba ubierała się dziwnie, uważając się za kogoś niezwykłego – wróżkę, kapłana wudu, wcielenie dawno zmarłej księżnej lub za wampira.

Nagle przypomniał sobie, że towarzyszący jej mężczyzna nosił ciemny garnitur i czarny krawat, nieznajoma nie należała więc do grona „nawiedzonych”, ci dwoje prawdopodobnie wracali z pogrzebu.

Właśnie. To mu uświadomiło, co miał do załatwienia.

- Mało brakowało, a nieźle byś się doigrała – skwitował Julian. - Rzucasz się po nocy w sam środek bandy podpitych smarkaczy i liczysz na grzeczne potraktowanie? I tylko mi nie opowiadaj, że w cywilizowanym kraju masz prawo podejść na ulicy do drugiego człowieka i nie oczekiwać ataku. W tym wieku oni są napakowani testosteronem po czubek głowy, a ci w dodatku podlali go alkoholem. Czego się spodziewałaś?

- Widziałam go – odparła, jakby to wyjaśniało wszystko, gdyż według niej tak właśnie było.

Sięgnęła do zasuwki, pchnęła furtę. Oczywiście Julian miał rację i jego słowa sprawiły, że poczuła się winna. Tak naprawdę naraziła przyjaciela na ogromne niebezpieczeństwo. On by jej nigdy nie zostawił i broniłby jej do upadłego, co mogłoby się skończyć fatalnie. Gdyby ta grupa wyrostków po-

stanowiła skopać go na śmierć, a ten tajemniczy wybawca by im w tym nie przeszkodził...

Tak, ale ona miała niezwykle ważny powód, dla którego zachowała się tak, a nie inaczej i chciała, by Julian to zrozumiał.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale... Ale ja go widziałam!

- Dobra, ja też go widziałem, kimkolwiek on jest. Najważniejsze, że zjawił się w odpowiednim momencie i wyciągnął nas z kłopotów. Jak widać jestem równie lekkomyślny jak ty, skoro rzuciłem się za tobą w sam środek watahy młodych wilczków.

Gwałtownie zamachała ręką.

- Nie, nie mówiłam o nim - sprostowała, chociaż wybawiciel okazał się równie niepokojący jak mężczyzna, którego miała na myśli. - Nie o tym, który nam pomógł, tylko o tym, którego widziałyśmy z Andy u Madame D'Orso na dzień przed morderstwem.

- W porządku, rozumiem, widziałaś go. - Wszedł za nią na teren posesji, zamknął dokładnie furtkę. - Tego jakiegoś włóczęgę, który wam się całkiem spodobał. Świetnie. Tylko, nie obraż się, co z tego? Nikki, bardzo mi przykro, ale po całym mieście pałętają się tabuny pijaków, narkomanów, żebraków i kogo tylko chcesz. Dałaś któremuś z nich trochę pieniędzy kilka dni temu, dziś zobaczyłaś go znowu. Normalna rzecz. Ja w kółko widuję różnych nieznajomych ludzi, których już wcześniej gdzieś widziałem - tłumaczył, gdy szli werandą. - A co do tego waszego włóczęgi... Chyba nie przypuszczasz, że potem laził za wami cały dzień, zaliczył wszystkie wycieczki, przeczekał nasz pobyt w pubie, a na końcu polazł za Andy do jej mieszkania?

Nikki była tak zdenerwowana, że najpierw nie mogła trafić kluczem do zamka, a potem omal go nie złamała, bo trzęsły się jej ręce. Obróciła się do przyjaciela.

- Nic nie rozumiesz! Andy coś o nim powiedziała.

To dało mu do myślenia.

- Kiedy? U Madame? Czy ona go już wcześniej знаła? Co dokładnie mówiła?

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie znała go. I nie powiedziała mi tego w kawiarni, tylko... Tylko w moim śnie. Julian, ona powiedziała, że ten człowiek nie żyje! To ma jakieś istotne znaczenie, czuję to.

Patrzył na nią przez chwilę szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, po chwili złapał ją za ramię, niemal wepchnął do mieszkania, starannie zamknął

za nimi drzwi, po czym odwrócił się do przyjaciółki, mierząc ją surowym spojrzeniem.

- Nikki, porozmawiajmy poważnie. Rozumiem, że miałaś sen. Bardzo dziwny i w dodatku koszmarny. To się zdarza. Nie wiemy do końca, jak działa ludzki mózg. Czasem płata nam różne figle. Dołóż do tego fakt, że rzadko pamiętamy nasze sny dokładnie, zazwyczaj przypominamy sobie ich nastrój i niektóre obrazy. Moja diagnoza jest więc taka, że owszem, przypadkiem śniła ci się wtedy Andy, a po fakcie twoja podświadomość podsunęła ci kilka szczegółów, ponieważ masz niejasne poczucie winy. Ludzie zazwyczaj tak się czują, gdy wydarzy się coś tragicznego. Dlaczego ona, a nie ja? Równie dobrze to mnie mogło spotkać, tymczasem ja nadal żyje. No i w efekcie twój umysł podsuwa ci obrazy zdarzeń, które nie miały miejsca. Sama dojdiesz do takiego wniosku, kiedy wszystko na spokojnie przeanalizujesz. Jesteś przekonana, że dopiero co widziałaś tego faceta na ulicy. I jednocześnie twierdzisz, że Andy powiedziała ci we śnie o jego śmierci. Nie możesz wierzyć w jedno i drugie, bo to się nawzajem wyklucza.

- A co, jeśli...

- Znam bardzo dobrego psychoanalityka. Pomoże ci.

Zamurowało ją. Przez długą chwilę patrzyła na niego z otwartymi ustami, wreszcie wyrzuciła z siebie:

- Ja nie potrzebuję psychoanalizy, tylko żeby wreszcie ktoś mi uwierzył!

- Nikki, przykro mi bardzo, ale... - Westchnął, wszedł do pokoju, zapalił światło, usiadł na kanapie i powiedział: - Dobra, pogadajmy. Przyśniła ci się Andy, akurat wtedy, kiedy umierała...

- Kiedy ją mordowano.

Westchnął ponownie.

- Kiedy ją mordowano - powtórzył potulnie. - W tym śnie wspomniała coś o facecie, który kręcił się u Madame D'Orso. Nie upieraj się, proszę, że pamiętasz, co powiedziała, ponieważ nie zawsze możemy polegać na naszej pamięci. Była czwarta rano, a my dopiero co skończyliśmy niezłą popijawę. Nie gniewaj się, ale takie są fakty. Dzisiaj znowu widziałaś tego gościa, i to przed twoim domem. Według mnie poczujesz się lepiej, gdy opowiesz o nim policji. Niech zrobią portret pamięciowy, niech ten cały Massey go znajdzie i przemagluje.

Stała przed nim ze skrzyżowanymi rękami, jeszcze trochę zła za jego poprzednią sugestię, by poszła do lekarza.

- I co ty na to? - spytał, gdy nic nie odpowiadała.

- W porządku. Pójdę i powiem im. Może faktycznie odzyskam spokój, gdy go znajdą.

Spostrzegła ze zdumieniem, że przyjaciel wcale jej nie słucha. Jego czoło przecięła pionowa zmarszczka, oczy patrzyły gdzieś w dal.

- O co chodzi? - spytała.

Potrząsnął głową, podniósł na nią zaniepokojony wzrok.

- Słuchaj, a jeśli to jakiś ćpun albo psychol? Jeśli on faktycznie łąził za wami przez cały dzień?

- Do czego zmierzasz?

- Do niczego, tak tylko rozważam różne możliwości - odparł szybko.

- Nie próbuj się wykręcać. Do licha, Julian, znam cię od lat. Chciałeś coś ważnego powiedzieć. Co?

- Zostawmy to. Nie zamierzam cię denerwować.

- I tak jestem wystarczająco zdenerwowana, więc to już nie zrobi różnicy - nalegała. - Mów, co ci przyszło do głowy.

Po chwili wahania podjął temat:

- Skąd wiemy, czy ten facet nie znał Andy, zanim zobaczyłyście go w kawiarni?

- Nie, na pewno nie spotkali się wcześniej, bo go nie rozpoznała.

- Albo udała, że nie rozpoznaje.

- Nie, moim zdaniem nie udawała.

- W porządku. Jednak on mógł ją pamiętać. Albo z przeszłości, albo... Albo nawet z naszych materiałów reklamowych! Ledwie ją zatrudniłaś, namówiłaś Maksa, żeby jej zdjęcie znalazło się na nowych ulotkach.

Opadła na kanapę obok niego.

- Jeśli to moja wina...

- Winien jest wyłącznie morderca - zauważył surowo. - Chodzi mi o to, że to może być jakiś psychiczny, który zaczął za nią łązić, bo mu się spodobała, rozumiesz. Albo były dealer, który obawiał się rozpoznania. Co robił przed twoim domem? A jeśli się domyśla, że coś podejrzewasz? Jeśli i ty jesteś w niebezpieczeństwie?

Patrzyła na przyjaciela bez słowa i czuła, jak przechodzą ją ciarki.

- Naprawdę nie chciałem cię denerwować. Może niepotrzebnie zacząłem snuć takie teorie, ale mimo wszystko byłbym ostrożny.

Nikki przyglądała mu się przez moment, jakby teraz to on plótł od rzeczy, a potem nagle zerwała się z kanapy i obiegła całe mieszkanie, sprawdzając, czy drzwi i okna są zamknięte. Julian popędził za nią, sprawdzając wszystko

drugi raz. Zatrzymali się, dopiero gdy z powrotem znaleźli się w salonie. Wymienili spojrzenia.

– Nie powinienem był cię straszyć.

– Nie rób sobie wyrzutów. W końcu... w końcu trochę ostrożności nigdy nie zawadzi.

Przegarnął włosy palcami.

– Przepraszam, prawdopodobnie poniosła mnie fantazja. To, co spotkało Andy... to musiał być przypadek. Najzupełniej przypadkowo stała się ofiarą jakiegoś szaleńca. Na pewno nikt za wami nie chodził i na pewno nikt cię teraz nie śledzi. Owszem, zobaczyłaś tego człowieka parę razy w ciągu kilku dni, ale to nie jest żaden dowód. Policja pewnie cię wysłucha, lecz raczej nie będzie przywiązywać do tego wagi. Musieliby zacząć podejrzewać co drugiego mężczyznę w mieście, gdyby sprawdzali tak drobne poszlaki.

Skinęła głową, chociaż nie mogła się z nim zgodzić. Tamten sen...

– Chwilowo i tak nie możemy nic zrobić, więc skoro już wszystko zamknięte i sprawdzone, ja idę spać. Ty też powinieneś odpocząć. – Pocałowała go w policzek i wolno ruszyła ku schodom.

– Co ze światłem na dole? Gasimy czy zostawiamy? – spytał.

– Oczywiście zostawiamy!

Na piętrze Nikki skrzyła do swojej sypialni, a Julian do gabinetu, służącego jako pokój gościnny.

Zatrzymała się w progu, odwróciła.

– Hej!

– Co?

– Dzięki, że tu nocujesz.

– Nie ma sprawy.

Nikki wzięła prysznic, włożyła nocną koszulę, zgasła światło, położyła się do łóżka. Ledwo nakryła się kołdrą, odrzuciła ją z powrotem na bok, wyskoczyła z łóżka i zapaliła światło. Była zła na siebie i trochę zła na przyjaciela. Do tej pory się nie bała.

Nie przyszło jej do głowy, że ktoś może polować i na nią...

Znowu się położyła, sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Miała pecha, ze względu na późną porę nadawano inne programy niż za dnia, toteż trafiła akurat na reportaż o medycynie sądowej. Przełączyła szybko na inny kanał, gdzie w magazynie kryminalnym pokazywano rekonstrukcję zbrodni.

Wiadomości nie okazały się o wiele lepsze. Lokalny polityk, kandydat na senatora, energiczny Billy Banks, którego nazwisko wydało się Nikki tak nie-

poważne, obiecywał właśnie stanowczą i bezwzględną walkę z przestępczością. Był młody, trochę po trzydziestce, obdarzony charyzmą, o jakiej marzą wszyscy politycy. Mówił niezwykle przekonująco, roztaczając wizję bezpiecznego i dynamicznie rozwijającego się Nowego Orleanu. Przy tym nie wyczuwało się w jego głosie nieznośnej arogancji i przekonania o własnych racjach, a jedynie determinację, by uczynić sprawy naprawdę lepszymi. Nikki pomyślała, że prawdopodobnie ten człowiek wygra wybory i nawet sama zaczęła się do niego przekonywać, ale słuchała tylko do momentu, gdy obiecał, że z ulic znikną dealerzy narkotyków, a młodzi ludzie nie będą już kończyć marnie jak ostatnio niejaka Andrea Ciello.

Nikki zmieniła kanał i aż zakłęła, ujrawszy film biograficzny o słynnym seryjnym mordercy kobiet Tedzie Bundym. Wreszcie udało jej się znaleźć kanał dla dzieci, na którym w nocy nadawano powtórki seriali. „Domek na prerii” mógł lecieć, proszę bardzo. Zamknęła oczy.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, ale musiała trochę przysnąć. Obudził ją cichy śmiech, zorientowała się więc, że nie jest sama w pokoju. Uniosła powieki.

Krzyk zamarł jej w gardle.

W sypialni znów znajdowała się Andy.

Tym razem miała na sobie elegancki czarny kostium, w którym pochowano ją dzisiejszego popołudnia. Jej lśniąco ciemne włosy były starannie zaczesane do tyłu, tak samo jak w trumnie. Jej twarz była blada.

Trupio blada.

Sam środek nocy, a zatem pora najlepszej oglądalności.

Najlepszej oglądalności duchów.

Gdyby nie te cholerne duchy, Nowy Orlean nie wydawałby się Brentowi aż tak... upiornie trudny do zniesienia. Znał niewiele innych miejsc, w których czuł równie namacalną obecność tak wielu umarłych, którzy z jakichś powodów nie odchodzili. Najczęściej nie potrafili pogodzić się ze swoją śmiercią.

Ludzie nie mieli pojęcia, jak bardzo ożywiają się cmentarze w środku nocy. Pełne żalu duchy nie mogły znaleźć spokoju. Jedne czuły gorycz z powodu przegranej Południa w wojnie secesyjnej, inne były nieszczęsnymi prostytutkami z dawnej dzielnicy Storyville. Ofiary gangów szukały zemsty na ich członkach. Na najstarszym cmentarzu Saint Louis Nr 1 czarny niewolnik wciąż pragnął dopaść swego okrutnego właściciela, który zakatował go na śmierć. Brent próbował mu kiedyś wytłumaczyć, że tamten też już dawno nie

żyje, a czasy się zmieniły, lecz nieszczęsny duch imieniem Huey nie dał się przekonać.

Nowy Orlean oferował komuś takiemu jak Brent nadmiar wrażeń, prawie niemożliwy do zniesienia. Niewiele osób zdawało sobie z tego sprawę, gdyż Brent nie lubił mówić o swoim specyficznym darze. Jego dziadek nazwał to kiedyś powołaniem... Gdy Adam Harrison wzywał go do pomocy w jakiejś sprawie, Brent rozmawiał otwarcie z osobami, których rzecz dotyczyła, ale zachowywał przy tym pełną anonimowość. Nigdy nie zgodził się udzielić żadnego wywiadu, wiedząc doskonale, że media uczynią z tego tanią sensację albo go wyśmieją. Zazwyczaj podczas wykonywania tego typu zadań używał pseudonimu, za każdym razem innego, ponieważ historie o nawiedzonych miejscach i uwolnieniu ich od duchów rozchodziły się z zadziwiającą prędkością i łatwością, chociaż nieodmiennie prosił o zachowanie dyskrecji. Ludzie byli jednak zbyt uszczęśliwieni powrotem do normalności lub zbyt spragnieni sławy, by potrafili utrzymać język za zębami.

Do Nowego Orleanu Brent przyjechał pod swoim prawdziwym nazwiskiem, po prostu nie wyobrażał sobie żadnej innej możliwości. Był stąd. Do cholery, był stąd.

Gorzej chyba nie mógł trafić.

W dodatku czekały go liczne wizyty na cmentarzach. Tej nocy zamierzał zajrzeć na Saint Louis, porozmawiać z Hueyem, który mógł coś wiedzieć lub w razie czego zasięgnąć języka wśród innych mieszkańców nekropolii.

Nowoorleańczycy czuli uzasadnioną dumę ze swoich licznych cmentarzy, które przyciągały rzesze turystów. Każdy z nich miał swoją specyfikę, większość była niezmiernie malownicza. Grobów nie kopano w ziemi ze względu na niski poziom wód gruntowych. Miasto leżało nad rzeką i nad jeziorem, otoczone mokradłami, a spora jego część znajdowała się poniżej poziomu morza. Dlatego też murowano grobowce na powierzchni, początkowo dość chaotycznie, później wzdłuż wytyczonych alej. Ponieważ bardziej okazałe mauzolea wyglądały niemal jak otoczone ogrodzeniami domy mieszkalne, aleje do złudzenia przypominały ulice, a w konsekwencji cmentarze zaczęto powszechnie nazywać miastami umarłych.

U drzwi grobowców czuwały smutne anioły, przypominając żywym, że i oni zawitają kiedyś do świata zmarłych. Mech porastał stare nagrobki, w szczelinach wysiewały się trawy. Na starszych cmentarzach dróżki wiły się wśród nieregularnie rozrzuconych grobów. W księżycowe noce powleczone bladą po-

świata marmury, kamienne płyty i stiuki nasuwały myśli o nieśmiertelności i rozkładzie jednocześnie.

Cmentarze należały do najniebezpieczniejszych miejsc w mieście, wszystkie przewodniki dla turystów ostrzegały, by odwiedzać je wyłącznie za dnia i nigdy samemu. Samotne osoby padały ofiarą rozbojów, wielu amatorów za-bytkowych nekropolii straciło w ten sposób wszystkie pieniądze i wartościowe przedmioty.

Zdarzały się również gorsze przypadki. Krypty stanowiły znakomite kryjówki dla bandytów, można też było z łatwością schować się za każdym z większych grobowców i znieacka zaatakować przechodzącego. Dlatego na noc starannie zamykano wszystkie wejścia, oczywiście w nadziei na zniechęcenie potencjalnych ofiar, a nie przestępców, których takie drobiazgi nie powstrzymywały.

Brent duchów nie bał się zupełnie, był z nimi niemal za pan brat, za to miał się na baczności przed żywymi ludźmi, gdyż wiedział doskonale, ile zła potrafią wyrządzić. Nie lubił nosić broni, chociaż miał do tego prawo, lecz w niektórych miejscach była nieodzowna, dlatego ilekroć udawał się na cmentarz, towarzyszył mu niezawodny smith & wesson kaliber 38.

Kiedy dotarł do muru, zawahał się. Może wcale nie trzeba będzie się wspinać. Podeszedł do bramy, pchnął ją lekko i faktycznie uchyliła się z przeciągłym skrzypnięciem. Albo do środka zakradli się wandal, albo żadna mocnych wrażeń młodzieź.

Wszedł, zawiasy ponownie zaskrzypiały i brama zamknęła się za nim. Nagle rozległ się jakiś iście upiorny odgłos i Brent odruchowo zacisnął powieki. Chwilę potem koło jego ucha przeleciał rzucony spomiedzy grobów kamień. Brent otworzył oczy. Dookoła panowała ciemność, rozjaśniona jedynie niesamowitą poświata, której źródła nie umiał określić.

- Nie przestraszysz mnie, Huey - powiedział niezbyt głośno.

Pojawił się przed nim niemłody już czarnoskóry, chociaż teraz wydawał się raczej szary niż czarny. Miał na sobie białą koszulę, robocze spodnie i tenisówki.

Wyglądał na nieco rozczarowanego widokiem Brenta, jakby spodziewał się raczej jakiegoś wandal, którego mógłby porządnie nastraszyć. W ciągu wielu lat, jakie minęły od jego śmierci. Huey nauczył się znakomicie panować nad swoją energią spektralną i wykorzystywać ją do różnych celów. Dzięki niemu ten cmentarz cieszył się opinią najbardziej nawiedzzonego ze wszystkich. Ludziom wydawało się, że słyszą dziwne odgłosy, ładne kobiety czuły czyjś do-

tyk na włosach, a łobuzy i zwykli kawalarze obrywali kamieniem ciśniętym niewidzialną dłonią.

Tajemnica żywotności Hueya, o ile było to dobre słowo w odniesieniu do zmarłego, leżała być może w sile jego nienawiści do dawnego pana, którego wciąż miał nadzieje dopaść.

Oczywiście były niewolnik został pochowany boso, to Brent postawił kiedyś tenisówki przy jego biednym grobie, myśląc, że może Huey jest zbyt dumny, by udać się bez obuwia tam, gdzie powinien już dawno odejść.

Huey jednak pozostał na cmentarzu.

– Co tu robisz, Indiańcu? – spytał, nieświadomy powstania takiego pojęcia jak polityczna poprawność i nazywając rzeczy po imieniu.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– W Nowym Orleanie trzeba sobie radzić samemu.

Ciemność za plecami Hueya stała się nieco mniej intensywne i Brent mógł zobaczyć również innych, snujących się między grobami, popatrujących na niego obojętnie. Ich obecność była już słabiej wyczuwalna, wyglądali jak widmowe cienie, otoczone delikatną miękką poświatą. Jakiś dżentelmen w cylindrze spierał się o coś z drugim, ubranym w surdut z epoki wiktoriańskiej, obaj w ogóle nie zwracali uwagi na Brenta. Jakaś zabiedzona dziewczyna o wyglądzie ślicznej sierotki siedziała na płaskiej płycie, z kolei przyglądając mu się z zaciekawieniem, jakby jego obecność dostarczała jej przelotnej rozrywki w tym nudnym miejscu.

– Huey, wiem, że lubisz uchodzić za twardziela, ale za życia byłeś porządnym człowiekiem i wiem, że tak naprawdę nadal nim jesteś. Dlatego przyszedłem do ciebie po pomoc. Szukam kogoś.

Murzyn przekrzywił głowę.

– Tu już nikogo nie chowają. Idź na inny cmentarz.

– Niektóre duchy długo błąkają się bez celu.

– O kogo ci chodzi?

– O białego mężczyznę po trzydziestce. W chwili śmierci wyglądał jak włóczęga.

– I nie wiesz, gdzie leży?

– Gdzieś w Kentucky, bo stamtąd pochodził i rodzina zabrała ciało.

– To co miałyby robić w Nowym Orleanie?

– Został tu zamordowany.

– Jak?

– Wstrzyknięto mu śmiertelną dawkę narkotyku. Heroiny.

- Czyli szukasz ćpuna?

Huey z jednej strony nie chciał się pogodzić z upływem czasu, ponieważ ciągle pragnął dopaść swego byłego pana, a z drugiej wiedział o niektórych współczesnych zjawiskach, zwłaszcza tych niebezpiecznych. Z biegiem lat nabrał też elokwencji, gdyż miał do czynienia z większą liczbą osób wykształconych niż za życia.

- Nie, nigdy przedtem nie brał narkotyków. To gliniarz, przyjechał tu z tajną misją, rozpracowywał jakąś sprawę. Zauważono go na mieście już po śmierci. Nazywa się Tom Garfield.

- Nic o takim nie wiem. - Huey wciąż przyglądał mu się z namysłem. - Jesteś pewien, że sam sobie tego nie zrobił? Widywałem tu takich nieszczęśników.

- Nie, nie wydaje mi się.

Huey wzruszył ramionami.

- Tom Garfield. Będę miał oczy i uszy otwarte, Indiańcu. - Nagle odwrócił głowę. - Oho, muszę iść.

- Dokąd?

- Słyszysz?

- Niby co? - Brent miał doskonały słuch, lecz nie udało mu się złowić żadnych innych odgłosów oprócz szumu wiatru.

- Ktoś przelazi przez mur po drugiej stronie cmentarza. Pewnie przyuważył frajera, który tu wlaź i prosi się o kłopoty. Zabieraj się stąd, Indiańcu.

Brent westchnął.

- Znowu próbujesz mnie nastraszyć.

- Dobra, może nie idzie po ciebie, ale nie powiesz mi, że świat się aż tak bardzo zmienił - rzekł z irytacją Huey. - Nieważne, kim jesteś, ważne, czy masz pieniądze. Jak masz, to znajdzie się na nie chętny. Dlatego idź, nie chcę cię tu widzieć. Zajmij się swoimi sprawami, a ja się zajmę swoimi.

- W porządku, rozumiem, idę, ale będziesz pamiętał o mojej prośbie, co?

- Tak, innym też powiem, żeby się rozejrzeli - obiecał Huey.

Ku zaskoczeniu Brenta został jeszcze przez chwilę, milcząc i bijąc się z myślami.

- Z ciebie też całkiem porządny chłop - powiedział w końcu, poruszając palcami w tenisówkach. - Może spróbowałbyś się dowiedzieć, co się stało z moim dawnym panem?

Brent leciutko uniósł brew.

- Jak się nazywał?
- Archibald McManus.
- Zrobię, co w mojej mocy.
- Trzymam cię za słowo.

Teraz już i Brent usłyszał odgłos skradających się kroków.

- Huey? – Delikatny, cichutki jak szept głosik należał do siedzącej nieopodal na płycie uroczej sierotki.

- Co takiego, Emmy?

- Czy dzisiaj w nocy mogłabym ci pomóc? – spytała z nadzieją.

- Pewnie, dziecinko, pewnie. Jak tylko pozbędziemy się stąd tego natęta, pójdziemy się zabawić. – Łypnął niechętnie na Brenta, a ten pochylił głowę, ukrywając uśmiech.

- Już mnie nie ma.

Chwilę potem znalazł się z powrotem na ulicy.

Huey miał rację, o tej porze nie powinno się łązić po cmentarzu, oczywiście nie ze względu na duchy, po prostu można było oberwać, i to czasem ze skutkiem śmiertelnym. Brent ruszył w stronę Dzielnicy Francuskiej, gdzie wynajmował pokój w niewielkim hoteliku. Szedł powoli, chociaż bezpieczniej byłoby dotrzeć na miejsce jak najszybciej, ale miał nadzieję, że może duch tragicznie zmarłego agenta dowie się o jego poszukiwaniach i zechce z nim porozmawiać.

Idąc, próbował przywołać twarz Toma Garfielda, znaną mu ze zdjęcia, lecz zamiast tego wciąż powracał obraz tamtej kobiety. Było w niej coś, co nie pozwalało o niej zapomnieć, coś w jej oczach, w jej dotyku...

Nie chodziło o urodę, w końcu po świecie chodziło dużo atrakcyjnych kobiet. Jego uwagę przykuła jej trudna do nazwania odmienność. Nawet przestrach, jaki widniał w jej oczach, wydawał się dziwny. To nie bójka z chuliganami wytrąciła ją z równowagi. Ta kobieta bała się czegoś innego. Czegoś, co zobaczyła, co nie dawało jej spokoju...

Niespiesznie zrobił rundkę po starej dzielnicy, kręcąc się po uliczkach, licząc na pojawienie się Garfielda. Boczne alejki były już zupełnie puste, lecz przy bardziej uczęszczanych sporo lokali pozostawało otwartych niemal do świtu i tam nadal pito, rozmawiano, słuchano muzyki, bawiono się. Słynne kasyno „Harrah” tętniło życiem. W paru ciemnych miejscach Brent natknął się na pijaków śpiących pod murem, a w jednym z przejść na typa, który wyraźnie szukał zaczepki. Mężczyzna popatrzył na Brenta wyzywająco. Przez

chwile mierzyli się wzrokiem, wreszcie tamten odwrócił głowę i ruszył swoją drogą.

Brent dotarł do hoteliku bez żadnych przygód i postanowił trochę się przespać, skoro miał z samego rana stawić się na policji. Kiedy się jednak położył, nie mógł zasnąć.

Znowu o niej myślał. I nagle poczuł absolutną pewność, że wkrótce ponownie ją zobaczy.

Andy znowu zaśmiała się cicho, rozbawiona jakimś płynącym z ekranu dialogiem.

Nikki nie mogła drgnąć, wydobyć z siebie głosu, prawie nie oddychała. Nie było mowy o żadnym złudzeniu, o jakimkolwiek majaku nakreślonym przez księżycową poświatę. W pokoju paliły się lampy, więc widziała wszystko wyraźnie. Jej przyjaciółka siedziała na krześle i śmiała się z czegoś, co usłyszała w telewizji.

Ale przecież Andy nie żyła! Pochowali ją kilka godzin wcześniej! Nie miała więc prawa znajdować się w jej sypialni. Nikki powtarzała to sobie niczym mantrę, lecz to niczego nie zmieniało.

Zmarła Andrea Ciello w kostiumie, w którym złożono ją do trumny, nie chciała zniknąć. Przeciwnie, odwróciła głowę i popatrzyła na śmiertelnie przerażoną Nikki.

– Nawet nie wiesz, jak ja lubię te dawne seriale, oczywiście nie wszystkie... Nie miej takiej miny, to tylko ja, nie musisz się bać. Aha, znakomicie wybrałaś ten kostium, sama nie znalazłabym lepszego. Dzięki. Czułabym się głupio w jakiejś kiecce, która nie byłaby w moim stylu. – Nagle w jej głosie zabrzmiało wzruszenie. – To była bardzo ładna ceremonia. Prawdziwy nowo-orleański pogrzeb! Nie wiem, jak ci dziękować, Nikki. Tyle dla mnie zrobiłaś... Potraktowałaś mnie jak członka rodziny.

Tego było za wiele. Nie dość że Andy siedziała sobie w jej pokoju i oglądała telewizję, to jeszcze gawędziła z nią jakby nigdy nic o ubraniach i niezwykle udanej ceremonii pogrzebowej. Z gardła Nikki wydarł się przeraźliwy krzyk.

W sąsiednim pokoju rozległ się głuchy łomot, to Julian musiał spać z wąskiej kanapy.

– No wiesz! – powiedziała z lekkim wyrzutem Andy.

Nikki oddychała ciężko, wpatrując się w nią bez słowa. Do sypialni wpadł Julian. Andy znikła bez śladu.

– Co...? Co się dzieje?

Rozczochrany i zaspany Julian, ubrany tylko w bokserki, rozglądał się gorączkowo, choć nieco półprzytomnie dookoła, mrugając oczami i rozcierając lewy łokieć.

– Ona... Ona tu była! Nie widziałeś jej?

Westchnął, zamknął oczy.

– Nie, nie widziałem nikogo. – Znowu westchnął, otworzył oczy i spojrzał na Nikki, jakby próbował opanować gniew, a przynajmniej tak jej się wydawało. – Nikogo tu przecież nie ma. Drzwi i okna są zamknięte.

– Andy tu była – wyszeptała przez ściśnięte gardło.

– Tak. Rozumiem. Ale już sobie poszła, więc nie ma się czego bać. A rano pójdziemy do tego lekarza.

Po chwili skinęła głową.

– Dobrze. Ale od razu potem pójdziemy na policję.

Teraz z kolei on skinął głową i wyszedł. Natychmiast dostała gęsiej skórki ze strachu, że zmarła przyjaciółka skorzysta z okazji i znów ją odwiedzi. Jednak to Julian pojawił się w progu, niosąc poduszkę i kołdrę.

– Tak mi głupio... – wymamrotała.

– Dobra, śpij.

– Czekaaj, ja będę spać na podłodze, a ty na łóżku – zaproponowała, on jednak już kładł się na dywan.

– Śpij – powtórzył.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić...

A jednak tuż nad ranem w końcu zasnęła. Tym razem nie przyśniła jej się Andy ani nawet ten dziwny włóczęga, lecz mężczyzna, który pomógł jej i Julianowi, gdy zostali zaatakowani przez grupę wyrostków.

Stał po przeciwnej stronie ulicy, dzielił ich tłum ludzi. Patrzył prosto na Nikki. Jego usta nie poruszały się, nic nie mówił. Po prostu patrzył. Widziała jego wysoko osadzone kości policzkowe, ciemne włosy, wysunięty podbródek, błyszczące zielone oczy.

I słyszała jego myśli.

Mogę ci pomóc.

To zapewnienie, nie wiedzieć czemu, spłoszyło ją jeszcze bardziej.

Nikt nie może mi pomóc, odpowiedziała mu w myślach. To wszystko jest tylko w mojej głowie.

Uśmiechnął się do niej.

A potem odwrócił się.

Kiedy Nikki wstała rano z łóżka, potknęła się o rozciągniętego na dywanie Juliana. Jęknął. Pochyliła się nad nim, czule pocałowała go w czoło i obiecała taką kawę, jakiej jeszcze w życiu nie pił.

Nie pamiętała, co jej się śniło. I nie bała się już. Doskonale wiedziała, co powinna zrobić. Musi, nie zwlekając, iść na policję, wszystko inne może poczekać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Nie powiem, żeby telewizja nam pomagała – burknął gderliwie Owen Massey, stawiając przed Brentem styropianowy kubek z kawą.

Podczas wstępnej rozmowy na temat śmierci Toma Garfielda Brent zorientował się szybko, że ma do czynienia z racjonalnym aż do bólu facetem, który nie wierzy w żadne zjawiska paranormalne. Trzeba będzie przy nim uważać na każde słowo. Adam Harrison, polecając swego człowieka, na pewno nie wspomniał o jego specyficznych uzdolnieniach. Policja prawdopodobnie usłyszała tylko, że rząd życzy sobie, by miejscowi stróże porządku podjęli współpracę z przysłanym ekspertem. Raczej nie byli zachwyceni perspektywą wspólnego śledztwa, czemu wcale się nie dziwił. Cóż, musiał ich do siebie przekonać, pozyskać ich zaufanie. Tylko w ten sposób mogli działać wspólnie, nie wchodząc sobie przy tym w drogę.

Massey zajął miejsce za biurkiem i z frustracją potrzęsnał głową.

– Weź na przykład te programy o spektakularnych sukcesach medycyny sądowej. W ciągu godziny pokazują zbrodnie, śledztwo i ujęcie mordercy. Hop, i po sprawie! To jak jakaś cholerna sztuczka magiczna – irytował się. – Oczywiście nie mam nic przeciw medycynie sądowej, niejednego dało się złapać dzięki analizie znalezionej włosa czy innych mikrośladów. Badania DNA to prawdziwa rewolucja, nie było większej od czasu odkrycia daktyloskopii, i błogosławieństwo dla policji. Sęk w tym, że nawet jak masz szczęście i znajdziesz coś, na podstawie czego da się określić DNA, to jeszcze musisz uzyskane dane do kogoś dopasować. No i wtedy szukaj igły w stogu siana! Przy zbrodni w afekcie grono podejrzanych daje się w miarę łatwo ustalić. Jeśli chodzi o porachunki przestępcze, mniej więcej wiesz, gdzie szukać. Najgorzej jest z seryjnymi mordercami. Wystarczy na przykład, że kobieta jest podobna do dziewczyny, która dała takiemu świrowi kosza w szkole średniej, i już staje się potencjalną ofiarą. A ty stajesz przed prawdziwą zagadką, bo nie masz

jak namierzyć tego drania, nie masz żadnego punktu zaczepienia. Tymczasem ludzie oglądają takie programy i oczekują od nas błyskawicznych elektów. Czemu nie, skoro to takie dziecinnie proste!

Brent ze zrozumieniem kiwał głową, zastanawiając się jednocześnie, co ta gniewna tyrada ma wspólnego ze sprawą nieżyjącego agenta, którą powinni się zajmować.

– W przypadku Toma Garfielda istnieje pewien wąły trop. Wiemy, że próbował tu kogoś rozpracować i że na pewno sam sobie nie wstrzyknął heroiny.

Massey podniósł na niego nieco zaskoczony wzrok, wyraźnie był myślami zupełnie gdzie indziej.

– Przepraszam, mówiłem o innej prowadzonej przeze mnie sprawie, która mi leży na wątrobie. Piękna młoda kobieta, umarła tak samo jak Garfield. Tyle tylko że w odróżnieniu od Toma była kiedyś narkomanką, więc pewnie zwyczajnie wróciła do nałogu. Jej przyjaciele upierają się jednak, że to niemożliwe i że została zamordowana.

Brent pytająco uniósł brwi.

– Też przedawkowała heroinę?
– Mhm.
– Ale według przyjaciół już nie brała?
– Tak, ale wiesz, jacy są przyjaciele. Widzą to, co chcą widzieć. Nie powiedzą nic złego.

Brent pochylił się naprzód.

– Ale poza tym oba zgony wyglądają identycznie?
– I co z tego? – spytał niechętnie Massey. – Dziewczyna niby od dwóch lat była w porządku, ale przedtem szprycowała się równo, wylano ją przez to z uniwersytetu, miała nieciekawą przeszłość. Co innego Tom, żadnego powodu, by targnąć się na własne życie, za to masa powodów, dla których ktoś chciałby go uciszyć na zawsze.

Brent nie zamierzał wywoływać konfliktu, ale musiał dowiedzieć się czegoś więcej, taki zbieg okoliczności dawał mu do myślenia. Te śmierci coś łączyło, należało przyjrzeć się temu dokładniej. Pytanie, czy sprawę dziewczyny potraktowano równie poważnie. W końcu była narkomanka to nie agent rządowy.

– Garfielda znaleźliście pod wiaduktem... A co z nią?
– Zmarła w swoim mieszkaniu.
– Czy ktoś zauważył coś dziwnego? Albo kogoś?

- Nie.
- Eksperci sprawdzili całe mieszkanie?

Massey zachnął się.

- Wiesz, my tu nie jesteśmy bandą idiotów.
- Niczego podobnego nie sugeruję. Chcę się tylko upewnić, czy w przypadku byłej narkomanki sprawdziliście wszystko z taką samą dokładnością jak w przypadku zamordowanego agenta FBI.

- Przeczesałiśmy mieszkanie. Najgęstszym grzebieniem – wycedził Massey. - Nic, żadnych włosów, nitek z ubrania, podejrzanych odcisków palców. Zrobiono sekcję. Też nic.

- Przepraszam – powiedział Brent.

Massey wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. Jesteśmy kwita, bo przed chwilą wylałem na ciebie moją frustrację. - Teraz on pochylił się nad biurkiem i zniżył głos.

- Akurat mamy tu dwoje przyjaciół denatki, właśnie pokazujemy im zdjęcia z naszej kartoteki. Ostatni wieczór przed jej śmiercią spędzili w pubie, spytałem, czy nie widzieli nikogo podejrzanego. Oczywiście to niewiele da, połowa ludzi w tym mieście wygląda podejrzanie. - Massey sposepniał. - To jeden z tych momentów, kiedy odechciewa się być gliniarzem. Kiedy człowiek patrzy w przepełnione bólem oczy tych, którzy zostali.

Spojrzał gdzieś w głąb dużej sali pełnej biurek. Na samym końcu znajdował się częściowo przeszklony pokój konferencyjny. Brent odwrócił się, z góry wiedząc, kogo zobaczy. Tę samą parę, którą spotkał w nocy.

Chłopak, wysoki, ciemnowłosy i bardzo przystojny, stał przy dziewczynie, jakby próbował ją chronić. Ona siedziała za stołem, obrócona tyłem do Brenta. Jasne włosy o ciepłym miodowym odcieniu spływały jej na plecy. Nie widział oczu, lecz doskonale pamiętał ich kolor. Nie zieleń. Nie błękit. Czysta akwamaryna, jaką czasami można było zobaczyć w zatokach Morza Karaibskiego.

Miała piękną twarz, o szlachetnych, klasycznych rysach. Prosty nos, nie za długi, nie za krótki. Kuszące usta. Pełne, zmysłowe wargi. Szczegóły jej wyglądu zapisały się w jego pamięci, bez trudu potrafił je wiernie odtworzyć.

Stojący po jej przeciwnej stronie policjant powoli przerzucał karty ogromnego segregatora. Patrzyła na nie, a kiedy doszedł do końca, podniosła na niego wzrok i potrzęsnęła głową.

Brent przypomniał sobie określenie Maseya: „przepełnione bólem oczy”. Tak, właśnie to wyczytał ostatniej nocy w jej spojrzeniu oprócz smutku i

przestrachu. Ból i udrękę. Tę dziewczynę coś prześladowało, nie umiała sobie z tym poradzić, chociaż sprawiała wrażenie dzielnej, opanowanej i pewnej siebie.

Przeniósł wzrok na leżącą przed nim fotografię. Massey pokazał mu przyślane przez FBI dobre i ostre zdjęcie Toma Garfielda w jego ostatnim wcieleniu. Agent specjalizował się w przenikaniu do karteli narkotykowych, zawsze pracował w przebraniu, pod przybraną tożsamością. Był przystojnym i wysportowanym trzydziestopięcioletnim mężczyzną. Nawet udając bezdomnego włóczęgę, robił dobre wrażenie, i to pomimo zarostu i niechlujnego wyglądu. To mu pomagało, gdy próbował gdzieś się wkłęcić. Do tego potrafił genialnie blefować, co pozwalało mu wyjść cało z najgroźniejszych opresji. Do czasu...

Brent oderwał wzrok od podobizny agenta i ponownie spojrzął w stronę pokoju konferencyjnego.

- Szuka ludzi, których widziała przed śmiercią przyjaciółki?

- Tak, upiera się przy jakimś konkretnym facecie - wyjaśnił ze znużeniem Massey. - Widziały go dwa razy w przededniu śmierci tamtej, a ostatniej nocy zjawił się przed jej domem. To oczywiście nie musi o niczym świadczyć, ona mieszka w Dzielnicy Francuskiej, więc to może być rewir tego włóczęgi czy żebraka. Ale przecież nie oskarżę go o morderstwo, choćby wpadła na niego nawet dziesięć razy. Z drugiej strony nie mam nic innego, czego mógłbym się uchwycić. Niech więc przynajmniej przejrzy te zdjęcia.

- Czekał, ciągle spotyka jakiegoś włóczęgę? - spytał gwałtownie Brent.

Massey spojrzął na niego z zaciekawieniem.

- Tak. Zaczepił je, żebrząc w kawiarni.

- Mogę? - Brent wskazał zdjęcie Toma Garfielda.

- Chcesz jej pokazać zdjęcie faceta, który nie żyje?

- Przecież szukamy punktu zaczepienia.

- Nie mogła widzieć go wczoraj na ulicy.

Brent uśmiechnął się krzywo.

- Ile macie tych segregatorów? Pewnie sporo, nie? Dużo czasu minie, zanim ona wszystkie przejrzy.

- Ale ten człowiek nie żyje!

- Pozwól mi spróbować. Co ci szkodzi?

- A idź i niech cię cholera - powiedział uprzejmie Massey.

Ogarniało ją coraz większe zmęczenie. Dziesiątki twarzy zaczynały tańczyć jej przed oczami, dwoić się i troić. Nowy Orlean mógł się poszczycić imponu-

jącą kolekcją podejrzanych typów. Na szczęście policjanci nie kazali oglądać jej tego na ekranie komputera, bo nabawiłaby się jeszcze większej migreny. I tak nie musiała przyglądać się wszystkim, poszukiwania zawężono do białego mężczyzny w wieku między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat.

Z fotografii patrzyły na nią oczy potencjalnych przestępców. Czują się coraz bardziej nieswojo.

- I co? Nic? - spytał Julian.

Wiedziała, że zaczynał się niecierpliwić. Umówił ją na wizytę u psychoanalityka i nie chciał, by się spóźnili.

- Przykro mi - mruknęła.

- Nikt nie wydaje się pani chociaż trochę podobny do tego włóczęgi? - spytał Marc Joulette. - Wie pani, wygląd łatwo zmienić. Wystarczy, że zgolił brodę, przefarbował włosy, inaczej się ubrał...

Podczas gdy Owen Massey był wielki, zwalisty i rumiany na twarzy, jego partner, atrakcyjny Mulat, miał piękną złocistą skórę, odznaczał się wysokim wzrostem i szczupłą budową ciała. Na pewno nie udałoby mu się zniknąć w tłumie, co stanowi cenną cechę dla detektywa, lecz dysponował innymi zaletanymi, które czyniły go dobrym policjantem. Jego głos brzmiał melodyjnie, przyjaźnie, kojąco, natychmiast budził zaufanie. Jego sposób bycia był równie stonowany i łagodny. Nikki czuła, że ten przemiły człowiek potrafi niepostrzeżenie wyciągnąć z podejrzanego znacznie więcej, niż ów był skłonny zdradzić.

Wyprostowała się na krześle, pomasowała bolące skronie.

- Przykro mi - powtórzyła. - Naprawdę staram się, jak najlepiej potrafię. Wiem, nie można aresztować kogoś z powodu czyichś przeczuć, ale ten człowiek jest w jakiś sposób powiązany ze śmiercią Andrei. Jednak nie widzę go tutaj i zaczynam mieć wyrzuty sumienia, bo chyba marnuję wasz cenny czas.

Julian prychnął cicho, dając jej do zrozumienia, że nie chyba, tylko na pewno. Zignorowała go.

- Mojego czasu pani nie marnuje - zapewnił z uśmiechem Joulette. - A przeczuć też przydają się w naszej pracy, proszę mi wierzyć. Może przejdziemy do komputera, będzie szybciej, albo... - Urwał i obrócił się ku wejściu.

Nikki i Julian też spojrzeli w tamtą stronę. Nikki omal nie wykrzyknęła ze zdumienia.

W progu stał mężczyzna, który poprzedniej nocy przyszedł im z pomocą. Podobnie jak Joulette nigdy nie zdołałby wtopić się w tłum.

Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był mocnej budowy, lecz przy tym szczupły. Proste, lśniące i czarne włosy zdradzały jego indiańskie pochodzenie. Zdumiewająco zielone oczy patrzyły prosto na Nikki. Poczowała dziwny gorący dreszcz – jak wtedy, gdy ich dłonie się zetknęły.

– Pan tutaj? – zawołał Julian.

– To wy się znacie? – zdziwił się Massey, który również wszedł do pokoju.

– Spotkaliśmy się wczoraj przy okazji drobnej bójki ulicznej. – Nieznajomy uśmiechnął się. – Ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Co za wspaniała twarz, pomyślała Nikki. Jaka wyrazista. O takiego mężczyznę kobiety pewnie się zabijają... Nie, to nie było dobre określenie. Przy najmniej nie w zaistniałej sytuacji.

– W takim razie pozwolę sobie dopełnić formalności – powiedział Massey. – Nikki DuMonde, Julian Lalac, Brent Blackhawk.

– Bardzo mi miło – rzekł Brent.

– Nam również. Jeszcze raz dzięki za pomoc. – Julian potrząsnął mocno jego dłonią.

– Pan jest z policji? – spytała Nikki.

Jego uśmiech pogłębił się. Potrząsnął głową.

– Nie. Jestem tylko... konsultantem.

– W Nowym Orleanie na występach gościnnych – dopowiedział Massey.

Joulette przeciągnął się.

– Miło, że wpadliście, mała przerwa dobrze nam zrobi. Pójdę po następny segregator, przyniosę też coś do picia. Może ktoś chce kawy? Albo wody z lodem?

– Ja dziękuję, dla mnie nic – odparł Brent. – Nie zamierzałem przeszkadzać, zjrzałem tylko na moment, ponieważ tak sobie pomyślałem... Może pani widziała tego człowieka? – Podszedł do stołu i położył na nim zdjęcie.

Nikki gwałtownie wciągnęła powietrze, przez chwilę ze zdumieniem wpatrywała się w fotografię, po czym podniosła wzrok na Brenta. Przyglądał jej się tak, jakby z góry znał odpowiedź.

– To on! – wykrzyknęła i potoczyła triumfalnym spojrzeniem po twarzach otaczających ją mężczyzn. – To ten człowiek!

– No, to wreszcie do czegoś dotarliśmy – ucieszył się Julian, sprawdzając godzinę.

Pozostali jednak milczeli. Massey i Joulette wyglądali, jakby ich zamurował. Brent Blackhawk z powagą studiował jej wyraz twarzy.

- O co chodzi? Kto to jest? - spytała, czując, jak jej ból głowy nasila się z każdą sekundą.

- Musiała pani się pomylić - oznajmił łagodnym głosem Joulette.

- Nie. Jestem absolutnie pewna.

- Ostatnio dużo pani przeszła... - zaczął ostrożnie Massey.

- Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Znalazłam człowieka, o którego mi chodziło. W czym problem?

- Nie mogła pani go widzieć. Nie ostatniej nocy.

- Czemu?

- Ponieważ on nie żyje - wyjaśnił jeszcze łagodniej Joulette.

Pokój zawirował wokół niej. Przez moment myślała, że zemdleje. Ogarnął ją paniczny strach.

Przywołała na pomoc całą swoją determinację, opanowała się. Zacisnęła zęby i wstała z krzesła.

- W takim razie ma sobowtóra albo coś w tym rodzaju. Albo ktoś panów oszukał i on żyje. Widziałam go ostatniej nocy. Widziałam go równie wyraźnie, jak teraz widzę panów. Mam doskonały wzrok. - Kiedy nikt się nie odezwał, wyprostowała się i oznajmiła z godnością: - Rozumiem, że nikt mi nie wierzy. W takim razie, panowie wybaczą.

Skierowała się ku wyjściu. Brent przyglądał jej się równie intensywnie jak pozostali. I stał jej na drodze.

- Przepraszam - wycodziła zimno, wściekła jak diabli. Ostatecznie to wszystko jego wina. W końcu to on przyniósł zdjęcie...

- Panno DuMonde, chciałbym z panią porozmawiać.

- Nie teraz - uciał Julian idący tuż za nią.

- Nie teraz, przepraszam - powtórzyła lodowatym tonem Nikki. Musiała jak najszybciej opuścić to miejsce.

Przez moment obawiała się, że ów tajemniczy konsultant nie ustąpi, chwyci ją za ramię, posadzi z powrotem na krześle i zacznie wypytywać.

On jednak usunął się z drogi. Podchwyciła jego wzrok i nagle zrozumiała, że on wcale nie musi jej zatrzymywać, ponieważ wie z całą pewnością, że i tak jeszcze się spotkają i zdaży z nią porozmawiać.

Wypadła na pełną życia i gwaru ulicę, gdzie nad tłumem turystów jak zwykle unosiły się dźwięki wszechobecnej muzyki.

Spokój. Przede wszystkim musiała odzyskać spokój. Odetchnęła głęboko i odezwała się tak naturalnym tonem, na jaki zdołała się zdobyć:

- Powinniśmy chyba coś zjeść, nie sądzisz?

- Nie. Powinniśmy pójść prosto do doktora Bouleta. - Julian zdecydowanie ujął ją pod ramię i poprowadził zatłoczonym chodnikiem wzdłuż kafejek, antykwariatów i sklepików z pamiątkami.

- Musiała zająć pomyłka - powiedziała Nikki. - Ten człowiek żyje, skoro go widziałam. Albo rzeczywiście ma sobowtóra.

- Andreę też podobno widziałas - przypomniał, próbując mówić bardzo łagodnie. - Jednak z całą pewnością nie można powiedzieć, że ona żyje, prawda?

Zamilkła, nie znajdując odpowiedzi. Pozwoliła zaprowadzić się do gabinetu, który mieścił się nad gabinetem jasnowidza, tuż obok nocnego klubu ze striptizem. Cóż, w końcu to był Nowy Orlean.

- Kim właściwie jest Nikki DuMonde? - spytał Brent.

Massey parsknął.

- Prawdopodobnie niezłą dziwaczką.

Joulette pokiwał głową z niewesołym uśmiechem i westchnął.

- Święcie wierzy, że go widziała. Ciekawe... Spędziłem z nią mniej czasu niż ty, lecz dotąd zawsze sprawiała na mnie wrażenie inteligentnej i rozsądnej osoby.

- Tak, ale chyba zaczyna jej odbijać. Zrobiła się nadzwyczaj nerwowa.

- Co w tym dziwnego? W końcu wierzy, że jej przyjaciółka została zamordowana.

I pewnie ma rację, pomyślał Brent, ale na głos powiedział tylko:

- Czym ona się zajmuje?

- Pracuje jako przewodniczka dla jednej z firm oferujących wycieczki po mieście, aktualnie praktycznie ją prowadzi w zastępstwie nieobecnego szefa. Podobno są naprawdę dobrzy. Specjalizują się głównie w opowieściach o duchach i nawiedzonych miejscach. - Naraz ściągnął brwi. - Właśnie! Co ci do łąba strzeliło, żeby pokazywać jej zdjęcie Toma?

- Po prostu miałem przecucie.

- Przecucie? Faceta wykończono kilka dni temu, w żaden sposób nie mogła go wczoraj widzieć. Chyba nie próbujesz mi wmówić, że zobaczyła ducha.

- Coś jednak widziała - odparł beznamiętnie Brent.

- Słuchaj, czy ty aby nie jesteś medium albo innym cholernym pomyleńcem?

- Nie jestem medium.

- Więc kim? – spytał Joulette.
- Ekspertem.
- W jakiejś konkretnej dziedzinie? – naciskał Joulette.

Brent uśmiechnął się i lekko potrząsnął głową.

- Powiedzmy, że nietypowej, i na tym na razie poprzestańmy, dobrze? Nie chcę was do siebie zniechęcić jeszcze przed rozpoczęciem współpracy. I nie zamierzam wchodzić w wasze kompetencje, na pewno świetnie znacie się na swojej robocie. Ja natomiast znam się na mojej, więc możemy się uzupełniać. Patrząc na sprawy z innego punktu widzenia, ale wszyscy zmierzamy do tego samego celu.

- Wiesz, mamy tu, w Nowym Orleanie wystarczająco dużo speców od wudu, tarota i czytania z ręki – zauważył Joulette.

Brent nigdy nie dawał się sprowokować.

- Nie zajmuję się takimi rzeczami – wyjaśnił spokojnie.

Obaj detektywi przyglądali mu się przez długą chwilę, wreszcie Massey przerwał niezręczne milczenie.

- Kimkolwiek jesteś, twój szef ma wysoko postawionych przyjaciół – mruknął niechętnie. - Do tego zwałił nam się na głowę facet z FBI, niejaki Haggerty. Mówi, że na pewno nie jesteś od nich. Wcale mu się nie podoba twój udział w śledztwie dotyczącym jednego z federalnych. Najchętniej od razu odesłałby cię tam, skąd przyjechałeś.

- Ach tak? – rzekł uprzejmie Brent.

- Tak. Vince Haggerty stąpa twardo po ziemi i nie łyknie żadnych rewelacji o duchach, wampirach i innych zjawach.

Brent zignorował kąśliwą uwagę.

- Prowadzicie odrębne śledztwa?

Joulette pokręcił głową.

- Niezupełnie. Haggerty ma dostęp do wszystkiego, co znaleźliśmy, ale działa sam i oczywiście nie dzieli się z nami żadnymi informacjami. Łaskawie obiecał, że jak już wyjaśni sprawę, wprowadzi nas w szczegóły. Traktuje nas, jakbyśmy obaj z Owenem wciąż chodzili w krótkich majtkach i nie umieli zliczyć do trzech. I jakbym nie miał prawa odzywać się bez pozwolenia, a po każdym zdaniu musiał dodawać „panie” – zakończył gorzko.

- Tak więc widzisz, mamy na głowie ciebie i przemądrzałego dupka oraz dwie sprawy, w których nie ma czego się uchwycić. W przypadku tej Ciello nawet nie wiadomo, czy chodzi o morderstwo. Szczerze wierzyłem, że Nikki

DuMonde naprowadzi nas na jakiś trop, a tymczasem ona każe nam szukać ducha. Zawracanie dupy.

Brent zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba wezmę udział w jednej z organizowanych przez nią wycieczek.
- I co? Masz nadzieję w ten sposób znaleźć zabójcę Garfielda? – spytał

sceptycznie Joulette.

- Moim zdaniem te sprawy są powiązane.

- Jak? Agent FBI, który został zdemaskowany i zlikwidowany, i była narkomanka, która pewnie przedawkowała. Wskaż mi związek, bo ja go nie dostrzegam...

- Nie potrafię powiedzieć nic konkretnego... W każdym razie przyczyna śmierci jest dokładnie taka sama.

- To jednak jeden z tych nawiedzonych jasnowidzów – powiedział Joulette do Massey.

- Słuchajcie, chłopaki... – zaczął Brent, lecz Joulette roześmiał się i zamachał rękami.

- Spokojnie, idź i rób swoje.

- Nie mamy nic do twoich metod – poparł go Massey.

Brent pytająco uniósł brew.

- My cię nawet lubimy – wyjaśnił Joulette. – Nie jesteś żadnym cholerym agentem rządowym, któremu się wydaje, że wszyscy inni to banda gówniarzy.

- Tak, w porównaniu z Haggertym jesteś całkiem w porządku. Jak chcesz korzystać z pomocy wrózek, chiromantów, pogromców duchów czy innych szurniętych, nie mamy nic przeciwko temu.

- Świetnie. W takim razie biorę się do roboty. A jeśli cokolwiek znajdę, natychmiast dam wam znać – obiecał.

Wyszedł z sali konferencyjnej, wiedząc, że tamci dwaj pewnie śmieją się za jego plecami. Ale co tam, przynajmniej go polubili. Mogło być o wiele gorzej.

Doktor Boulet miał koło czterdziestki, był bardzo schludnie ubrany, sprawiał przyjemne wrażenie i miło się z nim rozmawiało.

Po wejściu do gabinetu Nikki zawahała się, ponieważ stała tam nie tylko kozetka, ale i wolny fotel.

- Czy mam się położyć?

- Jak pani woli.

Wybrała fotel.

- Proszę mi powiedzieć, w czym problem.
- Widzę ludzi, którzy nie żyją.
- Czy mogłaby pani powiedzieć na ten temat coś więcej?

Wykonała nieokreślony ruch dłonią.

- No, wie pan... Duchy.
- Czy zawsze je pani widywała? – spytał, nawet nie mrugnawszy okiem.
- Nie. To się zaczęło, kiedy zmarła moja przyjaciółka. Albo tuż przedtem.
- Niech mi pani o tym dokładnie opowie. Po kolei i ze szczegółami.

Kiedy relacjonowała spotkanie z włóczęgą w kawiarni, sen o Andy i wszystkie późniejsze wydarzenia, doktor słuchał uważnie, sporządzając notatki. Gdy skończyła, zapytał:

- Wierzy pani w duchy?
- Cóż, skoro je widzę, to chyba nie mam wyboru.

Uśmiechnął się.

- Rozumiem. Czyli wcześniej pani nie wierzyła?
- Nie.
- Chociaż codziennie opowiadała pani o nich turystom?
- To co innego... Do tego jest potrzebne wyczucie.
- Wyczucie?

Wykonała nieco bezradny gest.

- Chyba nie bardzo potrafię to wytłumaczyć. Bez trudu odgaduję, w którym miejscu wydarzyło się coś szczególnego, ponieważ zostaje tam aura tego wydarzenia, jakby pamięć ludzkich emocji... Czasem nawet dostrzegam delikatną mgiełkę.

- Aha. – Znowu zaczął pisać.

- O, przepraszam, żadne „aha”! – zaprotestowała Nikki. – To wcale o niczym nie świadczy. Nigdy przedtem nie widziałam ducha, a już na pewno z żadnym nie rozmawiałam!

- Ostatnio w dramatycznych okolicznościach zmarła bliska pani osoba – przypomniał łagodnie. – Widzi pani, działanie naszego mózgu zaskakuje nas nawet w codziennych sytuacjach, a co dopiero, gdy zostajemy poważnie wytrąceni z równowagi. Otóż najprawdopodobniej wyobraziła pani sobie ten sen pod wpływem wiadomości o śmierci przyjaciółki, zaś umysł podsunał go pani nie jako wyobrażenie, lecz jako wspomnienie. Weźmy na przykład zjawisko *déjà vu*. Udajemy się dokądś, gdzie z całą pewnością nigdy nie byliśmy i nagle ogarnia nas przemożne przekonanie, że to miejsce jest nam znajome. Jak

to możliwe? Czy odwiedziliśmy je w przeszłym życiu? A może mózg wygenerował wspomnienie czegoś, co nigdy nie miało miejsca?

- Pan mnie pyta? - zdziwiła się.

- Nie, ja tylko podsuwam pani różne sugestie. Kiedy ginie gwałtowną śmiercią ktoś z naszego otoczenia, czy to przyjaciel lub krewny, czy ktoś, kto tylko siedział obok nas w pociągu podczas katastrofy kolejowej, dopada nas poczucie winy. Dlaczego on, a nie ja?

- Ale ja wcale nie czuję się winna, ponieważ nie widzę powodu. To morderca jest winien. Ani razu nie pomyślałam, że to ja powinnam leżeć w grobie zamiast Andrei, żadna z nas nie powinna! Jestem wstrząśnięta tym, co się stało i zła, potwornie zła. Nie spocznę, dopóki sprawca nie trafi do więzienia.

W tym momencie psychoanalityk spojrział na zegarek i westchnął.

- Przykro mi, ale obawiam się, że dzisiaj musimy już kończyć. Proszę przemyśleć, co pani powiedziałem i umówić się w recepcji na spotkanie w przyszłym tygodniu, dobrze? Może przepisać pani coś na bezsenność?

- Dziękuję, nie trzeba.

- A może jednak?

- Nie, naprawdę nie chcę niczego brać.

- W takim razie widzimy się w przyszłym tygodniu. Poradzimy sobie z pani problemem - zapewnił optymistycznym tonem.

- Czyli... Czyli nie zwariowałam?

- Jak już mówiłem, nasz mózg zachowuje się czasem zaskakująco, nie znamy jeszcze wielu mechanizmów jego działania. Przeżyła pani traumę. W celu złagodzenia jej szuka pani odpowiedzi na wszystkie nurtujące panią pytania. Umysł próbuje sprostać temu wyzwaniu.

- A może duchy istnieją naprawdę? - podsunęła uprzejmie.

- W pewnym sensie istnieją. Właśnie w naszych umysłach. Osoba przez nas kochana pozostaje przy nas czy też w nas, chociaż fizycznie umarła.

- To nie tłumaczy przypadku tego włóczęgi. Nie znam go i z całą pewnością nie kochałam go.

- Tak, ale spotkałyście panie tego człowieka niedługo przed tragiczną śmiercią przyjaciółki. Dlatego zapadł pani w pamięć.

- Rozumiem, że na wszystko istnieje logiczne wyjaśnienie? - mruknęła, patrząc na niego z pewnym dystansem.

- Zazwyczaj tak. Oczywiście potrzeba trochę czasu na uporanie się z dręczącymi nas demonami. - Ponownie zerknął na zegarek.

Nikki wstała z fotela.

- Dziękuję – rzekła, choć właściwie nie wiedziała za co. Julian chodził pod drzwiami gabinetu w tę i z powrotem.
 - I co? – spytał podekscytowany, gdy tylko wyszła. – Lepiej się po tym czujesz?
 - Nie za bardzo.
 - Czy powiedział, że masz przywidzenia albo... Postawił jakąś diagnozę?
 - Nie uznał mnie za wariatkę. Mówił, że umysł czasem nas oszukuje i że zapewne dręczy mnie poczucie winy.
 - No i proszę! Mówiłem!
 - Teoretycznie to mogłoby wyjaśniać, czemu przywidziała mi się Andy. Ale co z tym żebrakiem? Nawet nie wiem kim był. Ta diagnoza zupełnie do mnie nie przemawia. Chodźmy stąd, pora wreszcie coś zjeść.
 - Umówisz się na kolejną wizytę, dobrze? – spytał z niepokojem. – Na prawdę potrzebujesz pomocy.
 - Dobrze, umówię się, a teraz chodźmy na lunch, umieram z głodu. Niedługo potem siedzieli na tarasie „Madame D'Orso”.
 - Słuchaj, może na razie powinnaś zrobić sobie wolne? – spytał nagle Julian.
 - Czemu? – zdumiała się.
 - Wiesz, w końcu opowiadamy ludziom o duchach, chociaż nazywamy to legendami.
 - Oprowadzamy turystów po Nowym Orleanie, przybliżając im historię miasta – skorygowała.
 - W porządku, ale czy te wszystkie historie, nieustannie powtarzane, nie pogorszą twojego stanu?
 - Nie!
- Westchnął.
- W takim razie masz dzisiaj grupę o ósmej wieczorem.
 - Z kim pracuję?
 - Ze mną. Oczywiście możemy się zamienić rolami, chętnie cię wyręcę i pójdę jako prowadzący.
 - Dzięki, ale nie. Wystarczy, że ten zwyrodnialec zabił mi przyjaciółkę. Nie będzie mi dezorganizował całego życia.
- Julian milczał przez chwilę.
- Chyba jednak powinnaś pójść na krótki urlop.

- Nie mogę, już i tak straciliśmy jedną przewodniczkę. Nie dacie sobie rady we czwórkę, zresztą wy też jesteście wstrząśnięci, a nikt z was nie poprosił o kilka dni wolnego.

- Nam nie ukazują się zmarli - przypomniał. - A ciebie mógłby zastąpić Max. Niech ruszy dupę, gdziekolwiek jest, przyjedzie i trochę pomoże.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

Siedzieli na tarasie. Z kawiarni wyszła Madame, by jak zwykle zatroszczyć się o swoich gości, osobiście dolewając im kawy.

- I jak się dziś czujesz, Nikki?

- Dziękuję, dobrze.

- Wcale nie dobrze - mruknął ponuro Julian.

- Zaczęła widzieć duchy.

Przyjaciółka kopnęła go pod stołem.

- Duchy? - powtórzyła Madame, sprawiając wrażenie nie tyle zdziwionej, co raczej zatroskanej.

- Po nocach przychodzi do niej Andy, rozmawia z nią - wyjaśnił, rozcierając sobie gołeń.

- Julian! - fuknęła karcąco Nikki, z trudem powstrzymując się od kopnięcia go ponownie.

- Bardzo przeżyłaś jej śmierć - rzekła ze współczuciem Madame.

- Naprawdę nic mi nie jest - zapewniła Nikki.

- Oczywiście, że nie. Ale po ciężkich przejściach człowiek ma prawo zachowywać się inaczej niż zwykle. - Ona też zgromiła Juliana wzrokiem. - I ja to rozumiem - rzekła dobitnie i ponownie zwróciła się do Nikki: - Gdybyś mnie potrzebowała, dziecko, przychodź o dowolnej porze.

- Postawi jej pani tarota czy poczyta z ręki? - zaciekawił się Julian.

- Głupie żarty to ostatnia rzecz, jakiej Nikki teraz potrzebuje.

Skrzywił się jak niepyszny.

- Fakt. Przepraszam.

Madame jeszcze raz popatrzyła na niego z góry i udała się dalej.

- Ja cię chyba uduszę - wysyczała Nikki.

- O rany, bez przesady, przecież powiedziałem prawdę. Zaczęłaś widzieć duchy, nie?

- Ale po co od razu informować o tym całe miasto? Najpierw chciałabym sama zrozumieć, co się właściwie dzieje.

- Czyli dopuszczasz możliwość, że Andy wcale do ciebie nie przyszła? Jęknęła.

- Nie! Siedziała ze mną w sypialni, jak ty siedzisz teraz ze mną przy stole, nie jestem tylko pewna, czy to dowodzi istnienia duchów, czy mojej choroby umysłowej. W każdym razie nie mam ochoty tego rozgłaszać.

- Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu pomyślałem sobie, że może jak powiem to na głos, sama zrozumiesz, jaki to absurd.

Spojrzała na zegarek.

- Dobrze, zostawmy ten temat. Niedługo przyjdą pozostali.

- Jak to?

- Już prawie trzecia.

- Nawet nie zauważyłem, kiedy ten czas zleciał... Cholera! – wykrzyknął nagle. – Wiesz, czego nie zrobiliśmy? Trzeba było przycisnąć tego faceta... Tego Tommyhawka czy jak mu tam.

- Blackhawka.

- Niech mu będzie. Blackhawk... Przyszedł, pokazał zdjęcie, rozpoznałaś gościa, oni powiedzieli, że on nie żyje, a ty się wściekłaś.

- Wcale nie.

- Wcale tak.

- No dobra, może trochę. I co z tego?

- To, że nie dowiedzieliśmy się niczego o tym żebraku. Ani o Blackhawku. Tajemniczy facet. Konsultant? Co to niby ma znaczyć? Konsultant od czego? I dlaczego pokazał ci zdjęcie truposza? – Pochylił się i zniżył głos, jakby bał się, że ktoś może ich usłyszeć: – Dobra, powiem ci, co myślę. Albo rzeczywiście zaczęłaś widzieć duchy, albo, co bardziej prawdopodobne, twój umysł wyczynia coś dziwnego. Jednak nie robi tego bez powodu. On próbuje w ten sposób zwrócić ci na coś uwagę. Na coś, co jest w twojej głowie, tylko nie masz o tym pojęcia.

- Nie rozumiem.

- Być może ty coś wiesz. I może Andy też to wiedziała, bo to w jakiś sposób łączy się z tym facetem.

- Tym, który nie żyje? – upewniła się Nikki.

- Tak, ale pamiętaj, że kiedy widziałyście go po raz pierwszy, jeszcze żył.

- Nachylił się ku niej i zniżył głos do szeptu, który zmroził jej krew w żyłach: – Może on coś powiedział albo zrobił... I dlatego Andy została... No, wiesz. A w takim razie ty możesz...

Wyprostowała się gwałtownie, patrząc na niego rozszerzonymi ze zgrozy oczami.

- Co ty sugerujesz, Julian?

- Nic, nic takiego - zapewnił pospiesznie. - Gadam bez sensu. Co ja właściwie mogę wiedzieć?

- Przeraziłeś mnie nie na żarty.

- Nie miałem takiego zamiaru. Chciałem cię tylko uczulić, żebyś miała się na baczności, dopóki gliny nie złapią... Dopóki nie wyjaśnią całej sprawy. Do tej pory musimy żyć normalnie, ale nie wolno nam zapominać o ostrożności. Czekał, musimy kończyć, idą nasze zakochane gołąbki. - Podniósł się i pomachał do Nathana i Patricii, którzy wyszli na taras, trzymając w dłoniach filiżanki z kawą.

Nikki z trudem przywołała uśmiech na twarz, wciąż wstrząśnięta słowami przyjaciela.

Zdaniem Juliana mogła coś wiedzieć. Ale co?

Przecież nic takiego wtedy nie zaszło. Dała żebrakowi dwadzieścia dolarów.

Potem się okazało, że umarł.

A ona zaczęła widzieć duchy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Brent spędził wczesne popołudnie w bibliotece miejskiej. Chciał pomóc Hueyowi nie tylko dlatego, że mu to obiecał, ale również dlatego, że dzięki indiańskiemu pochodzeniu doskonale rozumiał, co to znaczy żyć z poczuciem krzywdy. Należało jednak nauczyć się zostawiać przeszłość za sobą, oczywiście bez zapominania o swych korzeniach i bez wyrzekania się tradycji. Skupić na teraźniejszości oraz przyszłych wyzwaniach. Huey jednak wciąż rozpamiętywał swoje cierpienia, pragnął zemsty i to go więziło. Właściwie Brent powinien był już dawno sprawdzić, co stało się z sadystycznym właścicielem dawnego niewolnika.

Większość archiwów miejskich została skomputeryzowana, toteż wyszukanie informacji na temat Archibalda McManusa nie trwało długo.

Odziedziczył po swoim ojcu rozległą i dość dobrze prosperującą plantację, zenił się trzy razy, lecz każda z żon umierała zaledwie parę lat po ślubie. Z każdego związku miał po jednym dziecku. W 1861 roku, niedługo po wybuchu wojny secesyjnej, lecz zanim Nowy Orlean zajęły wojska Północy, na plantacji doszło do buntu niewolników. Cały majątek spłonął. Nie zachowała

się żadna wzmianka o tym, co się stało z dziećmi właściciela. W zgliszczach domu znaleziono zwęglone zwłoki Archibalda.

W kawałkach.

Paskudny koniec. Człowiek nikomu by nie życzył takiej śmierci, ale...

Ale Bóg jeden wiedział, ile cierpień przysporzyła ludziom brutalność Mc-Manusa i czy oprócz swoich niewolników nie zamęczył również swoich młodych żon.

Szczałki pochowano na terenie majątku, który obecnie należał do gminy i stały na nim różne budynki użyteczności publicznej. I właściwie to już było wszystko, czego Brent się dowiedział. Dokumenty nie wspominały o losach trójki dzieci – Teresy urodzonej w 1848 roku, Alfreda urodzonego w 1855 oraz młodszej od niego zaledwie o dwa lata Edith.

Brent wydrukował interesujące go strony, zapłacił, podziękował bibliotekarzowi za pomoc i wyszedł. Na wizytę na cmentarzu było za wcześnie, gdyż o tej porze musiały się tam kręcić tłumy turystów i nie udało mu się spokojnie porozmawiać z Hueyem. Wrócił więc na policję w nadziei, że może jeszcze zastanie Massey'a lub Joulette'a.

Obaj siedzieli przy swoich biurkach, pogrążeni po uszy w papierkowej robocie.

– Co masz dla nas, Blackhawk? – spytał Massey.

– Przyszedłem zapytać, czy pozwolilibyście mi rzucić okiem na materiały zebrane w sprawie Andrei Ciello?

Joulette wyraźnie zeszywniał, a Brent wykonał pojednawczy gest.

– To może mieć jakiś związek.

– Już to mówiłeś – burknął Massey. – Ale ja go nadal nie dostrzegam.

– A nie moglibyście po prostu pójść mi na rękę?

Widział, jak Joulette otwiera usta, by warknąć „nie”, ale naraz rzuca okiem gdzieś ponad jego ramieniem i sztywnieje jeszcze bardziej.

Brent odwrócił się. Zbliżał się ku nim wysoki, bardzo krótko ostrzyżony ciemny szatyn w czarnych okularach i czarnym garniturze. Na milę można było w nim wyczuć agenta FBI.

– Cześć, chłopaki. Przychodzę sprawdzić, czy macie coś nowego – poinformował obu detektywów, zdejmując okulary. Z lekkim zaciekawieniem spojrzął na Brenta. – A ten to kto?

Massey podniósł się zza biurka

– Poznajcie się. Vince Haggerty. Brent Blackhawk.

Agent nie ukrywał niechęci.

- Słyszałem o tobie, ale nie sądziłem, że będziesz wlaził mi w drogę.

Brent rozejrzył się dookoła.

- Nie wydaje mi się, żebym komuś zawadzał, chociaż faktycznie jest tu trochę ciasno.

- My zajmujemy się sprawami najwyższej wagi. - Ton głosu Haggerty'ego nie pozostawiał wątpliwości, że Blackhawk nie dorasta mu do pięt, co najwyżej może przyoblec strój skauta i zbierać do puszek datki na zbożny cel.

- Czyli dobrze trafiłem - odparł Brent.

- Nie mamy nic nowego - rzekł jednocześnie Massey, patrząc na agenta.

- A może macie, tylko ukrywasz to przede mną?

- Cholera, chciałbym mieć coś do ukrycia, bo to by znaczyło, że przynajmniej moja praca nie poszła na marne.

Haggerty prychnął.

- Czy wy w ogóle coś robicie w tej sprawie?

- Nie, cholera, siedzimy i dłubiemy w nosie - warknął rozwścieczony Joulette.

- Nasi eksperci niczego nie znaleźli. Wasi też nie - przypomniał z kamienną twarzą Massey.

- Musimy znaleźć świadków. Przeszukujemy bary, speluny, ulice, rozmawiamy z naszymi informatorami. W końcu znajdzie się ktoś, kto go widział. Ale to długi i żmudny proces. Gdybyś chciał się przyłączyć, proszę bardzo.

- A jak myślisz, co ja robię? - wycedził Haggerty.

- Jasne, już widzę, jak każdy dealer w Nowym Orleanie pcha się, żeby z tobą pogadać. Zwłaszcza kiedy wchodzisz do baru w stroju agenta z hollywoodzkiego filmu - zakpił Joulette.

Haggerty pochylił się nad jego biurkiem.

- Twoim zdaniem nie znam się na mojej robocie?

- Moim zdaniem jeszcze nikt z nas niczym się nie wykazał, więc nie ma powodu się nadymać.

Agent wyprostował się sztywno i znowu zwrócił do Brenta.

- A ty - ostrzegawczo uniósł palec - jak tylko natkniesz się na cokolwiek... Cokolwiek, słyszysz? Choćby to był najmniejszy ślad, masz mi natychmiast o tym donieść. A w ogóle co robicie za biurkami, skoro niby tak pilnie przeczesujecie miasto w poszukiwaniu świadków?

Joulette wstał.

- Prowadzimy też zupełnie inną sprawę, z którą nie masz nic wspólnego. Blackhawk, zaraz ci przyniosę te materiały, o które prosiłeś – obiecał i oddalił się.

Haggerty groźnie ściągnął brwi.

- O ile wiem, Blackhawk może się przydać przy wyjaśnianiu szczegółów, ale nie powinien mieć wglądu w akta sprawy.

- O ile ja wiem, a wiem to od mojego szefa, Blackhawk jest tutaj na żądanie najwyższych czynników i mam służyć mu daleko idącą pomocą – odparł Massey.

Agent oparł się o jego biurko i odetchnął głęboko.

- W porządku. Wiem, że uważacie mnie za sztywniaka i najchętniej byście się mnie stąd pozbyli, ale straciliśmy jednego z naszych. Jako policjant powinieneś wiedzieć, jak się czujemy.

- Wiem, ale ty z kolei powinieneś wiedzieć, że my tutaj znamy się na naszej robocie. Jak tylko zdobędziemy nowe informacje, damy ci znać.

- Tylko nie zapomnijcie! – rzucił Haggerty, po czym wydusił z siebie sztywne: – Dzięki. – Równie sztywno skinął głową Brentowi: – Miło było cię poznać, Blackhawk.

- Przynajmniej próbuje zachować pozory dobrych manier – skomentował Brent, gdy agent znalazł się dostatecznie daleko.

- Trochę za późno – odparł Joulette, który właśnie wrócił i usłyszał te słowa. – Zbyt często dawał nam do zrozumienia, że uważa nas za tępaków z głębokiej prowincji, którzy być może nie są nawet piśmienni.

- Może przyjaźnił się z Garfieldem i dlatego tak się zachowuje. – Brent próbował znaleźć jakieś dyplomatyczne wyjaśnienie.

Joulette machnął ręką.

- Po mojemu to oni w ogóle się nie znali.

- No to może...

- Może jest w nim coś takiego, że człowieka cholera bierze – dokończył ze śmiechem Massey.

- Dobrze, możesz zabrać akta sprawy Ciello do sali konferencyjnej.

- Dzięki – powiedział Brent.

Nie miał złudzeń. Udało mu się nie dlatego, że go zaakceptowali lub obdarzyli szczerą sympatią, lecz dlatego, że wkurzał ich agent FBI, z którym musieli współpracować. Cóż, to nie miało większego znaczenia. Grunt, że dostał, czego chciał.

Kiedy usiadł w obskurnej sali i otworzył teczkę, zrozumiał, że dostał również to, czego potrzebował.

– Jutro idziemy z Nathanem na cmentarz Saint Louis – zauważyła Patricia, popijając kawę i nie odrywając przy tym wzroku od Nikki.

– Wiem, przecież jutro piątek – odparła, nie rozumiejąc, czemu wszyscy gapią się na nią. – O co wam chodzi?

Patricia spojrzała na Nathana, ten zaś spojrzał na Mitcha, który z kolei spojrzał na Juliana. Nikt nie spieszył się z odpowiedzią.

– No mówcie wreszcie!

– Jeśli zgodnie z planem weźmiemy Saint Louis, to tobie i Julianowi albo tobie i Mitchowi przypadnie Dzielnica Ogrodów.

– Owszem, co z tego?

Patricia popatrzyła na nią z ogromnym współczuciem. Polubiły się z Nikki od pierwszego wejrzenia, podobnie jak potem Nikki z Andrea. Obie pasjonowały się historią, namiętnie buszowały razem po antykwariatach w poszukiwaniu starych książek i map, które potem wzajemnie sobie pożyczały. Jednak teraz przyjaciółka patrzyła na Nikki takim wzrokiem, jakby miała do czynienia z mocno starszą krewną, która zaczyna cierpieć na demencję.

– Naszym zdaniem nie powinnaś pracować w tamtej okolicy.

– Oprowadzam wycieczki po Dzielnicy Ogrodów, odkąd zaczęłam pracować dla Maksa – zaprotestowała Nikki.

Mitch odchrząknął, wzburzył dłońmi blond włosy, wreszcie wypalił:

– Tak, ale wtedy nie miałaś tego... z Andy... Teraz chyba powinnaś unikać tego miejsca.

– Czego nie miałam z Andy? – spytała gniewnie i nagle zrozumiała. Spojrzała z wyrzutem na Juliana: – Co ty im, do licha, powiedziałaś?

– Ja? Nic, słowo daję – przysięgał żarliwie. – Naprawdę! Nie patrz tak.

– Madame uprzedziła nas, że zaczęłaś widzieć duchy – rzekł ściszone głosem Nathan.

– Nie widuję żadnych duchów, po prostu miewam koszmary. To naturalna reakcja na traumatyczne przeżycia. Nie zamierzam z tego powodu omijać Dzielnicy Ogrodów szerokim łukiem i zrezygnować z pokazywania jej turystom, jasne? Uważam tę sprawę za zamkniętą. – Ton jej głosu nie dopuszczał żadnej dyskusji. – Są jakieś inne pytania?

– Tak. Jedno – odezwała się ponownie Patricia, dalej mocno zakłopotana, wbijając wzrok w swoją filiżankę.

- Co znowu? – spytała oschle Nikki, choć nigdy przedtem nie mówiła do przyjaciół podobnym tonem.

- Trzeba znaleźć kogoś na miejsce Andy.

Nikki poczuła, jak przenika ją lodowaty chłód, lecz nic po sobie nie pokażała. Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- Tak, oczywiście. Szkoda, że Max wyjechał, to on powinien zatwierdzić nową osobę.

- Przecież on i tak zawsze zdaje się na ciebie – zauważył Julian. – To ty rozmawiasz z ludźmi i decydujesz, czy ich zatrudnić, czy nie.

- Owszem, lecz wolałabym, żeby przynajmniej wiedział, kto dla niego pracuje... Dobrze, nie martwcie się, postaram się jak najszybciej dać ogłoszenie do gazety. Zadowoleni?

Wciąż nie podobało im się, że nie zamierzała trzymać się z dala od dzielnicy, w której znajdował się cmentarz Lafayette, a na nim jej rodzinny grobowiec. Widziała to po ich minach. Wymienili spojrzenia, ale wobec jej uporu musieli skapitulować. Nathan zmusił się do uśmiechu, za nim pozostali.

- Tak, oczywiście – zapewniła w imieniu całej czwórki Patricia. – Skoro wszystko obgadane, możemy ruszać.

- A w tym miejscu, proszę państwa, rzeczywistość przebiła wszystko, co wymyślili w swoich książkach mistrzowie grozy – rzekła Nikki, doprowadzwszy turystów na Royal Street.

Tego wieczoru trafiła jej się wyjątkowo dobra grupa do oprowadzania, żadnych dzieci poniżej trzynastego roku życia, dużo par, jedna okularnica o wyglądzie studentki, dość pilnie robiąca notatki. Ponieważ to Nikki opowiadała o miejscach, które odwiedzali, Julianowi przypadła rola organizacyjna – musiał powitać każdą z przychodzących osób, sprzedać jej bilet, wręczyć ulotki i materiały firmowe. W trakcie zwiedzania dbał o to, by cała grupa trzymała się razem, nie tamowała ruchu, przechodząc przez ulicę czy przystając na chodniku i by nikt nie został z tyłu, narzekając potem, że czegoś nie dosłyszał lub że na niego nie poczekano. Optymalna liczba turystów wahała się koło trzydziestu, tym razem wyruszyło z nimi prawie czterdziestu, lecz taką grupę też jeszcze dawało się ogarnąć w dwie osoby. W sezonie trafiało się nawet pięćdziesięciu chętnych i wtedy potrzebnych było już dwóch porządkowych, którzy zaganiaли niesfornych turystów niczym stado owiec.

- Fajna chałupa – zauważył z uznaniem jakiś młody człowiek, spoglądając na dwupiętrowy dom za ażurowym ogrodzeniem.

- Znajdujemy się na Royal Street przed posesją numer 1140, bardziej znaną jako Lalaurie House. W roku 1831 został zakupiony przez panią Delphine Lalaurie i jej męża, doktora Louisa Lalaurie. Delphine odznaczała się ogromną urodą, która wybitnie pomogła jej w osiągnięciu celu, jakim było wejście do nowoorleańskiej elity. Wydawała wspaniałe bale i przyjęcia, zdobywając sobie rzesze wielbicieli dzięki urokowi osobistemu, elegancji i umiejętności prowadzenia konwersacji.

Słowom Nikki towarzyszył z oddali dźwięk trąbki dolatujący z klubu jazzowego tuż za rogiem. Mieszkańcy, przyzwyczajeni do turystów, spokojnie wymijali sporą grupę. O ile nie napatoczy się jakiś spragniony rozmowy pijak, nic nie powinno zakłócić wycieczki.

- Jednak już dwa lata później zachwyty czarującą panią Lalaurie zaczął słabnąć. Zrodziły się pewne podejrzenia. Po mieście krążyły słuchy o straszliwych krzykach dochodzących z terenu posesji. Zauważono, jak szybko niewolnicy znikają, zastępowani nowymi. Przypomniano sobie, że doktor Lalaurie wielokrotnie zdradzał zafascynowanie anatomią i wytrzymałością ludzkiego organizmu. Wreszcie pewne okrutne wydarzenie rozegrało się na oczach świadków, a wieść o nim rozeszła się szerokim echem. Widziano, jak pani Lalaurie okłada batem dziecko jednego z niewolników. Dziewczynka zaczęła uciekać, pobiegła w kierunku balkonu. Ponieważ prześladowczyni ściagała ją, śmiertelnie przerażone dziecko wyskoczyło przez balkon i zabiło się na miejscu.

- Czy ta Lalaurie trafiła do więzienia?

- Cóż, mówimy o zupełnie innych czasach, proszę państwa – odparła Nikki, wdzięczna za pytanie, gdyż podobne wtrącenia przydawały dramatyzmu jej opowieści. - Ukarano ją grzywną i odebrano jej niewolników, by ich sprzedać na aukcji.

- Całe szczęście – rzekła z ulgą w głosie jedna z turystek.

- Niezupełnie. Otóż pani Lalaurie koniecznie chciała odzyskać niewolników. Przekonała krewnych, że została skrzywdzona przez władze i nie miała nic wspólnego ze śmiercią dziecka. Proszę nie zapominać, że wtedy niewolnicy stanowili własność swoich panów i ich złe traktowanie nie należało wcale do rzadkości. Krewni pięknej pani doktorowej wybaczyli jej nieco porywczy charakter i na jej prośbę wykupili owych niewolników na aukcji. W sekrecie odsprzedali biedaków czarującej damie, której równie czarujący dom był prawdziwym przedsionkiem piekła... Odkryto to dopiero później, gdy w 1834

roku na terenie posesji wybuchł pożar i strażacy znaleźli coś, z czym nie mogą się równać żadne współczesne horrory literackie i filmowe.

- Co tam było? – wykrzyknął z niecierpliwością ktoś z tłumu.

- Niektórych niewolników znaleziono przykutych łańcuchami do ścian w tak niewiarygodnych pozycjach, że nawet najlepszy akrobata nie zdołałby osiągnąć podobnego rezultatu. Ludzie mieli połamane kości, niektórzy zostali potwornie okaleczeni. Część osób trzymano w klatkach, mniejszych niż psie budy, część była przywiązana do prymitywnych stołów operacyjnych. Tylko zdegenerowany umysł doktora Lalaurie wiedział, w jakim celu poddawano tych nieszczęśników podobnym torturom. Na strychu odnaleziono porozrzućane fragmenty ciał. Podobno prawie wszyscy strażacy pochorowali się na miejscu od tych widoków, kilku nawet zemdlało, chociaż niejedno w życiu widzieli.

- No, ale wtedy to już chyba wsadzono tę parę zwyrodnialców do więzienia?

Nikki właśnie zamierzała odpowiedzieć, gdy nagle odjęło jej mowę.

Na skraju otaczającej ją grupy stała Andy. Nadal miała na sobie ciemną garsonkę, w której ją pochowano. Jak zwykle wyglądała pięknie i tylko jej twarz...

Jej twarz, podobnie jak ostatniej nocy, była trupioblada twarzą zmarłej.

Nikki wpatrywała się w nią, niezdolna do sklecenia choćby jednego sensownego zdania, tymczasem Andy uśmiechnęła się na poły smutno, na poły przepraszająco.

- Co się stało z małżeństwem Lalaurie? – dopytywał ktoś.

Nikki nie zwróciła na to uwagi.

- To nieprawda. Wcale cię tu nie ma – wyszeptała z trudem, nie odrywając spojrzenia od przyjaciółki.

Stojący obok niej młody człowiek dosłyszał jej słowa i rozejrzał się dookoła zaintrygowany.

- Do kogo pani mówi?

- Ciarki mnie przechodzą – odezwała się któraś z pań i przysunęła do męża.

- Nikki! – rozległ się głos Juliana.

Odruchowo przeniosła na niego spojrzenie, a wtedy zauważyła, że do ich grupy dołączyła jeszcze jedna osoba. Obok Juliana stał ten sam mężczyzna, który ostatniej nocy wyciągnął ich z opałów, a tego ranka pokazał jej na policji zdjęcie zmarłego włóczęgi.

Widok Brenta w jakiś sposób przywrócił ją do rzeczywistości. Musiała się pozbierać. Ogarnęła spojrzeniem całą grupę, co nie okazało się dobrym pomysłem, ponieważ Andy wcale nie znikła.

Ja jednak zwariowałam, pomyślała ze zgrozą Nikki.

Czym prędzej odwróciła się w stronę domu, chociaż przez moment nie była pewna, czy tam z kolei nie ujrzy duchów torturowanych niewolników, od którego to widoku do końca postradałaby zmysły.

Na widok bujnej zieleni i spokojnej willi częściowo odzyskała panowanie nad sobą.

- Wieści o tych wydarzeniach rozeszły się lotem błyskawicy - podjęła wątek. - Wszyscy ludzie z sąsiedztwa nadciągnęli tutaj wstrząśnięci, oburzeni, pełni grozy i gotowi sami wymierzyć sprawiedliwość. Doszłoby do podwójnego linczu, ale w ostatniej chwili z bramy wyjechał zaprzężony powóz i umknął przed rozjuszonym tłumem. Zbrodnicza para zdażyła na szkuner odpływający z nabrzeża Bayou Saint John.

- Coś takiego! - powiedziała z oburzeniem jakaś pani. - Ale ścigano ich przecież i wreszcie złapano, tak?

- Właściwie nie wiadomo. Według jednej wersji wydarzeń pani Lalaurie i jej okrutny mąż udali się do Paryża, gdzie kontynuowali haniebnny proceder, tym razem znęcając się nad białymi służącymi. Według innej pozostali w ukryciu na północnym brzegu jeziora Pontchartrain. Podobno pani Lalaurie zmarła w 1842, a jej ciało spoczywa gdzieś na terenie Nowego Orleanu.

- Chwileczkę, to ten dom jednak nie spłonął? - zainteresował się ktoś.

Nikki odwróciła się z powrotem do grupy. Andy, proszę, niech cię tu nie będzie, dobrze? Ku swej ogromnej uldze za plecami turystów nie ujrzała przyjaciółki.

- Dom bardzo ucierpiał w pożarze, odbudowano go w 1837 roku. Wtedy zaczęły krążyć opowieści o dobiegających stąd niepokojących odgłosach, widziano też tajemnicze światła. Kolejni właściciele pozbywali się go dość szybko, jeden miał go zaledwie przez trzy miesiące. Kapłanki wudu i jasnowidze zaczęli powtarzać, że to miejsce jest przeklęte. Potem wybuchła wojna secesyjna i przez jakiś czas nikt nie miał głowy do dawnych historii. Założono tu szkołę dla dziewcząt zarówno białych, jak i czarnych. Gdy powróciła segregacja rasowa, szkoła przyjmowała wyłącznie czarne dziewczynki. Zlikwidowano ją po roku. Następnie mieściło się tu konserwatorium, lecz cieszyło się złą sławą, prawie nikt nie przychodził na koncerty, więc zostało zamknięte. Okoliczni mieszkańcy przysięgali, że w noc ostatniego koncertu słyszeli, jak pani

Lalaurie zabawia się ze swymi piekielnymi przyjaciółmi nie z tego świata. Nie ma na to, oczywiście, dowodów, jednak z całą pewnością można stwierdzić...

Znowu głos zamarł jej w gardle.

Andy wcale nie znikła. Ona po prostu próbowała się ukryć wśród turystów, stając po przeciwnej stronie grupy niż Julian, jakby chciała trzymać się od niego z daleka. Od niego albo... od Brenta.

Brent Blackhawk patrzył prosto na Nikki. Chociaż zapadł już zmrok, wydawało jej się, że nawet w nocy wciąż widać zieloną barwę jego oczu. Przyglądał jej się badawczo i chyba dostrzegał więcej niż inni, więcej, niż Nikki chciała ujawnić.

Andy, wcale cię tu nie ma. To tylko jakiś dziwny trik mojego umysłu.

- Co można stwierdzić? - dopytywał któryś z turystów.

Wzięła się w garść.

- Pewien człowiek nazwiskiem Joseph Edouard Vigne wprowadził się tu w 1889 roku, po tym, jak dom podzielono na mieszkania do wynajęcia. Żył bardzo biednie, niemal nędznie, dlatego nie posiadano się ze zdumienia, gdy któregoś dnia w 1892 roku znaleziono go martwego na brudnym sienniku wypełnionym pieniędzmi. Przeszukano mieszkanie i w sumie wyjęto z różnych skrytek dziesięć tysięcy dolarów. W tamtych czasach była to znacznie wyższa suma niż teraz. Przyczyna zgonu pozostała nieznana. Czy został zamordowany przez kogoś, kto wiedział o jego bogactwie? A może dopadły go duchy małżeństwa Lalaurie? Niech każdy sam rozstrzygnie tę zagadkę. W każdym razie Joseph podobno nawiedza to miejsce, poszukując swojego skarbu, podobnie jak nawiedzają je skuci łańcuchami niewolnicy.

- Jasne, wszyscy wierzymy w duchy - zarechotał jeden mężczyzna, lecz aż podskoczył, gdy stojąca za nim żona dotknęła jego ramienia.

- I co było dalej? - spytała Andy ze swojego miejsca między turystami, uśmiechając się smutno. To była jej ulubiona historia, lecz ona już nie mogła jej nikomu opowiedzieć.

- Jak państwo widzą, dom jest w doskonałym stanie, więc obecny właściciel nie ma żadnych kłopotów z posesją, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Znajduje się tu kilka mieszkań, wszystkie są wynajęte. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku mieściła się tu całkiem dobrze prosperująca knajpka, a potem sklep meblowy. Co ciekawe, ten drugi prosperował już gorzej. Właściciel od czasu do czasu znajdował po otwarciu sklepu porozbijane meble, pokryte warstwą jakiejś dziwnej substancji, cuchnącej i trochę jakby oleistej. W końcu uznał, że ma dość i postanowił dać zakradają-

cym się do sklepu wandalom porządną nauzkę. Zaczaił się wieczorem z nabita bronią. Przyszła noc. Minęła. Właściciel nie usłyszał nic podejrzanego. Tymczasem rano meble znów były zniszczone, a nad nimi unosiła się woń rozkładu. Sklep przeniesiono w inne miejsce.

- Ale... Ale ludzie tu mieszkają i nic się nie dzieje? – spytała niepewnie jedna z kobiet, kurczowo ściskająca swego partnera za ramię.

- Tak, do Lalaurie House chyba powrócił spokój – powiedziała pogodnie Nikki.

W porządku, Andy, zostań tutaj, jeśli chcesz. Trudno, zwariowałam, ale muszę z tym żyć. W każdym razie nikomu nie zdradzę, że cię widzę.

- Na zakończenie opowieści związanych z tym miejscem wypada wspomnieć, że w 1941 roku znaleziono na jednym z cmentarzy starą tabliczkę upamiętniającą, panią Delphine Lalaurie. Nie wiadomo, skąd tam się wzięła. Czy to dowód, że Delphine powróciła do Nowego Orleanu? I czy nadal tu przebywa, nawiedzając to miejsce? Na te pytania niech państwo odpowiedzą sobie sami.

Odwróciła się i poprowadziła grupę dalej. U swego boku poczuła obecność Andy.

- Już cię tu nie ma – mruknęła Nikki, nawet się nie rozglądając.

- Przepraszam... Czy idę za blisko? – spytała nieco zaskoczona siwowłosa pani o miłym uśmiechu, która szła po prawej stronie Nikki.

- Och, nie, to ja przepraszam – wyjąkała Nikki, desperacko próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie. – Ja tylko... ćwiczę na głos.

- Ach, rozumiem.

Andy dalej szła po jej lewej stronie.

- Daj mi spokój – wymamrotała Nikki.

- Słucham? – zdziwiła się ponownie towarzysząca jej turystka.

- Nie, nic takiego. To naprawdę nie do pani!

Siwowłosa pani spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby Nikki postradała zmysły.

Nie pozostawało nic innego jak ignorować obecność zmarłej przyjaciółki. I to nadzwyczaj konsekwentnie.

Kiedy doszli do następnego miejsca na ich trasie, malowniczej tawerny, w której ongiś spotykali się piraci. Andy gdzieś znikła.

Nie znikł jednak Brent, pozostał przez całą wycieczkę, nadal trzymając się z tyłu grupy. Trasa zakończyła się, jak zawsze, przed kawiarnią "Madame D'-Orso". Uczestnicy byli zachwyceni. Nie mogli trafić na lepszą przewodniczkę,

w jej obecności rzeczywiście ciarki przechodziły im po plecach. Sprawdzali w ulotkach inne trasy, które prowadziła. Większość koniecznie chciała iść z nią następnego dnia na zwiedzanie cmentarzy, by znowu poczuć ekscytujący dreszczyk strachu.

Część osób została w kawiarni, gorączkowo zamawiając coś mocniejszego. Ktoś rozmawiał jeszcze z Nikki, ktoś inny zagadnął Juliana. Andy znikła na dobre.

Brent Blackhawk nie odchodził. Poczekał, aż Nikki będzie wolna, a wtedy natychmiast zbliżył się do niej.

- Nie wiem, czy pani mnie pamięta.
- Nie zapomniałam, niestety – odparła cokolwiek zimno.
- Musimy porozmawiać.
- Nie sędzę.

Policzki zrobiły jej się podejrzanie ciepłe, lecz miała nadzieję, że to tylko lekki, niezbyt widoczny rumieniec. Czuła się nieswojo w obecności tego człowieka, wytrącał ją z równowagi. Po pierwsze, było w nim coś dziwnego, wysoce niepokojącego. Gdyby poznała go w innych okolicznościach, wzbudziłby w niej lęk. Po drugie, robił na niej ogromne wrażenie jako mężczyzna. Po trzecie, zachowywał się tak, jakby chciał przejrzeć ją na wylot, a co gorsza, prawdopodobnie był do tego zdolny.

- Naprawdę nie mamy o czym rozmawiać – dodała, rozglądając się w poszukiwaniu Juliana.

A niech to! Flirtował z jakąś śliczną dwudziesto-parolatką i nie miał głowy do ratowania przyjaciółki.

- Mógłbym pani pomóc.

Zaskoczona ponownie spojrzała na Brenta. Czy on już jej tego nie powiedział... we śnie? W kolejnej wizji wygenerowanej przez nieposłuszny umysł, podobno dręczony poczuciem winy?

- Wiem, co spotkało jedną z państwa przewodniczek. Ogromnie współczuję.

- Dziękuję.
- Naprawdę mógłbym pani pomóc.
- Doceniam to, ale nie trzeba. Mam bardzo dobrych przyjaciół.

Z uśmiechem skinął głową.

- To może przynajmniej pozwoli pani zaprosić się na drinka?
- Jakoś ostatnio nie mam ochoty na nic mocniejszego.
- A co pani powie na kawę?

Po chwili wahania wskazała dłonią lokal, przed którym stali.

– Nie, nie tutaj.

Miał zniewalający uśmiech. Budzący zaufanie. Czemu więc obleciał ją strach? Czyżby bała się dowiedzieć czegoś, o czym wolała nie mieć zielonego pojęcia?

– Ja...

– Pani ją widziała – stwierdził beznamiętnym tonem. – Podczas zwiedzania widziała pani swoją przyjaciółkę Andreeę, która została zamordowana.

Mało brakowało, by padła bez czucia na ziemię.

– Nie, absolutnie nie! – Gwałtownie pokręciła głową. – Przecież ona nie żyje, a... a duchy nie istnieją.

Przyglądał się jej bez słowa, uśmiechając się jak ktoś, kto zna prawdę.

– Co za pomysł! Proszę nie opowiadać głupstw, bo jeszcze ktoś usłyszy. Zresztą skąd pan mógłby o tym wiedzieć?

– Wbrew pozorom odpowiedź na pani pytanie jest bardzo prosta. Bo ja też ją widziałem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ta udreńczona piękna dziewczyna budziła w nim ogromne współczucie. Rozumiał, co musiała przeżywać, rozumiał też, że bała się mu zaufać. Stała sztywno wyprostowana, pełna podejrzeń, a jednak... A jednak jego słowa chyba mimo wszystko obudziły w niej pewną nadzieję.

– Moi przyjaciele zaczynają mnie uważać za wariatkę – rzekła ostrożnie.

– Zdarza się.

– Chce pan, żeby mnie w końcu zamknęli u czubków? Pan mi wcale nie pomaga.

– A jednak mogę pani pomóc – zapewnił. – Proszę mi tylko na to pozwolić.

Uśmiechnęła się nieco melancholijnie.

– Julian nigdy nie puści mnie z kimś obcym.

Spojrzał na przystojnego mężczyznę, który poprzedniej nocy w jej obronie stawiał czoła grupie nastolatków. Kim był? Jej partnerem? Ta myśl wzbudziła w nim gwałtowną niechęć.

Wyglądało na to, że Nikki DuMonde bardzo go zaintrygowała. W dodatku w sposób, jakiego nie odczuwał od lat. Nie chodziło nawet o jej urodę, której

zresztą nie można było nic zarzucić. Owszem, to też wywarło na nim wrażenie, ostatecznie był normalnym facetem, ale przecież po świecie chodziło wiele atrakcyjnych kobiet. Tania odeszła, lecz życie toczyło się dalej i miało swoje prawa, toteż Brent po przejściu wszystkich etapów żałoby zaczął znów spotykać się z kobietami. Z kilkoma łączyły go przelotne związki.

Tak, świat był ich pełen. Spotykało się którąś z nich, spędzało z nią kilka miłych chwil, może wieczorów, czasem tygodni, a czasem nawet miesięcy. Jednak ani razu w ciągu tych wszystkich lat nie przytrafiło mu się... to.

Nawet o tym nie myśl, przykazał sobie ostro w duchu.

Nigdy nie mieszał pracy i spraw osobistych.

Prawda, zajmował się sprawami określanymi jako paranormalne, przez co był przedmiotem żartów, nieraz niewybrednych, ze strony innych ludzi, których zatrudniał Adam, ale był prawdziwym profesjonalistą, zawsze traktował pracę bardzo poważnie.

A jednak w Nikki DuMonde znalazł coś, co niemal kazało mu zapomnieć o wyznawanych zasadach.

Cieszyło go samo jej istnienie. Przemawiał do niego każdy gest, spojrzenie, emocje, jakie odczytywał na jej twarzy... Jej dusza.

– Czy Julian jest pani partnerem?

Spuściła wzrok, jakby chciała ukryć wyraz oczu, uśmiechnęła się.

– Nie. Moim najlepszym przyjacielem. I to od wielu lat.

Teraz i on się uśmiechnął.

– Jednak ostatnio niezbyt się zgadzacie, prawda? Myśli, że ma pani przywidzenia z powodu ciężkiej traumy wywołanej śmiercią Andrei Ciello. – Po jej minie zorientował się, że trafił w dziesiątkę. – Wiemy już, co myślą na ten temat pani przyjaciele. A pani? Jakie jest pani zdanie?

Jej oczy zwięzły się nagle.

– Przecież nawet nie wiem, kim pan właściwie jest. Gliniarzem-jasnowidzem? – zaatakowała.

– Nie jestem z policji.

– Z FBI?

– Też nie.

– To skąd?

– Z pewnej cywilnej instytucji, która dostaje różne nietypowe zlecenia od rządu. A oprócz tego pracuję też prywatnie w zupełnie innym charakterze.

– Rozumiem.

– Czy teraz zechce pani pójść ze mną na kawę?

Poszukała pretekstu, który pozwoliłby jej się wykręcić.

- Ale ja już nie widzę Andy.
- Wiem, ja też nie. Nie ma jej tutaj.

Zawahała się.

- Czy... Czy ona coś do pana powiedziała?

- Nie. Nie dałem po sobie poznać, że ją zauważyłem. Ona ufa pani, a nie mnie. Mógłbym ją spłoszyć.

- Nie miałam pojęcia, że duchy są takie płochliwe - zakpiła. - I że muszę człowiekowi ufać, zanim raczą się odezwać.

- To zależy od ducha - odparł spokojnie.

Milczała, rozważając jego propozycję. Przez moment spodziewał się usłyszeć odmowę.

- Proszę zaczekać.

Patrzył, jak podchodzi do Juliana pijącego samotnie kawę na tarasie, ponieważ młoda turystka już się pożegnała i opuściła kawiarnię. Para przyjaciół wdała się w ożywioną dyskusję. Sądząc po gestach i wyrazie twarzy, Julian nie był zachwycony pomysłem, starał się odwieść od niego Nikki, lecz jego zdecydowany opór chyba przyniósł odwrotny skutek. Brent zapamiętał to sobie, tak na wszelki wypadek...

Kiedy ruszyła z powrotem w jego stronę, Julian odwrócił się do Brenta i uniósł filiżankę w geście pozdrowienia.

- W takim razie dobranoc! - zawołał. - A dokąd się wybieracie?

W odpowiedzi Brent wymienił nazwę jednego ze znanych hotelowych barów w pobliżu, by wiadomo było, że nie zabiera Nikki do żadnego podejrzanego lokalu.

- Miłego wieczoru - zawołał jeszcze Julian.

- Pani przyjaciel przyjął to ze zrozumieniem, jak widzę - zauważył Brent, gdy wyszli z Nikki na ulicę.

- Przeciwnie, uważa mnie za kompletną idiotkę. Prawdopodobnie zamierza nas śledzić.

- Nie mam złych zamiarów.

- Jeśli chce pan jeszcze bardziej namieszać mi w głowie, to jest to bardzo zły zamiar, proszę mi wierzyć.

- Kapitalna wycieczka! Dziękujemy! - wykrzyknął w ich stronę ktoś z mijającej ich grupki ludzi.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła z uśmiechem Nikki. - Zapraszam na następne.

- Przyjdziemy, przyjdziemy! Przy pani to człowiek prawie widzi duchy! - pochwalił Nikki inny z turystów i cała grupa ze śmiechem znikła za rogiem.

Hotel znajdował się nieopodal. Brent otworzył przed Nikki drzwi; popłynęły ku nim łagodne dźwięki fortepianu. Większość miejsc przy stolikach i barze była zajęta przez biznesmenów w ciemnych garniturach, eleganckie kobiety oraz turystów w szortach i bawełnianych koszulkach.

Natychmiast zjawiała się ładna ciemnoskóra kelnerka, która poprowadziła ich do jedyne go wolnego boksu. Nikki zamówiła kawę z mlekiem i bitą śmietaną, posypaną wiórkami czekoladowymi. Brent również. Zostali sami.

Obserwował jej dłonie, gdy nerwowo bawiła się serwetką. Miała delikatne długie palce i dość krótkie paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem.

- Nie pracuje pan na policji, ale blisko pan z nimi współpracuje - zaczęła. - Pana zajęciem jest pokazywanie zdjęć zmarłych normalnym ludziom, by udowodnić lub wmówić im, że zwariowali. Może jest pan psychiatrą i przeprowadza w ten sposób jakiś naukowy eksperyment?

- Nie.

- No dobrze, w takim razie... Od jak dawna widuje pan duchy?

- Od dłuższego czasu.

- Pan jest Indianinem, prawda? Och, przepraszam, teraz powinno się mówić „rdzenny Amerykanin”.

- Tak, mam indiańskie pochodzenie. Mój dziadek należał do plemienia Lakota.

Nikki odczekała chwilę, ponieważ pojawiła się kelnerka i postawiła przed nimi wysokie białe filiżanki. Jednocześnie sięgnęli po długie drewniane mieszadełka.

- Niech pan mi powie, czy zaczął pan je widzieć pod wpływem palenia środków odurzających czy może po grzybkach halucynogennych? Chciałabym wiedzieć.

Mieszadełko trzasnęło mu w palcach. Pytanie było obraźliwe, co należało złożyć na karb zrozumiałego wzburzenia Nikki, ale i tak poczuł się dotknięty.

Opanował się, odetchnął głęboko.

- Nie. To nie ma nic wspólnego z halucynogenami.

- Przepraszam, nie chciałam pana urazić. Ja po prostu... Pan sobie nie wyobraża... Coraz bardziej się boję, że naprawdę zaczynam tracić zmysły.

- Nie, nic takiego nie ma miejsca.

- Aha, według pana to zupełnie normalne, że oboje widzimy duchy, więc możemy sobie uciąć miłą pogawędkę na ich temat?

- Nie powiedziałem, że to zupełnie normalne.

Nikki starannie wymieszała czekoladowe wiórki z bitą śmietaną.

- Czyli jednak nie jesteśmy tak do końca normalni?

- To nie jest tak. Proszę pomyśleć o ludziach, którzy są urodzonymi muzykami. Biorą do ręki instrument i zaczynają grać, podczas gdy inni uczą się tego latami i nie dochodzą do podobnych rezultatów. Pewne talenty są wrodzone.

- Urodził się pan z talentem do widzenia duchów?

- Nie w tym rzecz. Próbuje powiedzieć, że istnieją zjawiska, które wykraczają poza normę, a przy tym nie czynią człowieka nienormalnym. Na razie jest pani przerażona tym, co się z panią dzieje i trudno się temu dziwić. Każdy odczuwałby grozę, gdyby przypuszczał, że zaczyna popadać w obłąd – zapewnił. – Jest jednak wiele rzeczy, dla których nie znaleziono logicznego wytłumaczenia, proszę o tym pamiętać. Nauka rozwiązała niektóre z zagadek, ale nikt nie poznał odpowiedzi na wszystkie pytania.

Na jej wargach zaigrał kpiący uśmieszek.

- Nawet pan? To duchy nie mówią panu wszystkiego?

- Zazwyczaj są dość zagubione.

- Ach, zapewne chodzi o to, że spotkał je gwałtowny koniec, szukają zemsty albo mają tu coś do załatwienia, tak?

Brzmiało to na poły jak pytanie, na poły jak drwina.

- Powody są różne – odparł spokojnie.

Nic nie powiedziała, spuściła wzrok. Jednocześnie sięgnęli po serwetki, ich palce zetknęły się. Moment później spotkały się ich spojrzenia. Coś między nimi przeskoczyło, coś jakby iskra, zresztą po raz kolejny.

Działała na niego, jednak skoro mu nie ufała, musiał zachować ostrożność, by jej nie spłoszyć. Mogła przecież wstać, zażądać, by dał jej spokój, i wyjść.

Cofnął rękę.

- Nikki, wierzę głęboko, że naprawdę potrafię ci pomóc – powiedział, patrząc jej w oczy z ogromną powagą. – I sam też potrzebuję twojej pomocy. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Nikki milczała przez chwilę. Wyjdzie? Zostanie?

- Kim był ten człowiek, którego zdjęcie pokazałeś mi dziś na policji? Kiedy umarł? Zanim zobaczyłam go u Madame D'Orso? Później?

- Eksperci są w stanie podać tylko przybliżony czas zgonu, ale zachodzi prawdopodobieństwo, że za pierwszym razem widziałas go jeszcze żywego.

Nazywał się Tom Garfield. Kim był? Agentem FBI, zawsze pracującym pod przykryciem, człowiekiem o nieskazitelnej reputacji. To jeden z tych stróżów prawa, których nie można kupić za żadną cenę. Rozpracowywał najgorsze sprawy, posyłano go na tereny ogarnięte wojną, rządzone przez kartele narkotykowe lub mafię. Trzy miesiące temu trafił na jakiś ślad w Nowym Orleanie.

- Znałeś go?

- Nie. Właśnie w tym problem.

- W takim razie skąd wiesz, czy rzeczywiście był czysty jak śnieg?

- Mój bezpośredni przełożony obraca się w kręgach rządowych i ma dostęp do wielu źródeł informacji. Ma też zwyczaj wszystko sprawdzać, dokładnie prześwietlać każdą osobę. Jeśli wszyscy bez wyjątku są gotowi ręczyć za sprawdzanego agenta, zyskujemy pewność, że jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Czyli trafiłam na superagenta, a wzięłam go za zwykłego włóczęgę i żebraka? Niezła ze mnie wizjonerka, nie ma co!

Potrząsnął głową.

- Nie. To dobrze świadczy o jego profesjonalizmie.

- Rozumiem, a czemu żałujesz, że go nie znałeś? To znaczy, czemu to stanowi problem?

- Ponieważ on też mnie nie zna, więc raczej mi nie zaufa. Co innego ty. Pokazał ci się. Wtedy na ulicy, gdy doszło do bójki, prawda?

Zamyślona, z roztargnieniem oblizwała mieszadełko.

Brent natychmiast miał jednoznaczne skojarzenia i zrobiło mu się gorąco.

Spokojnie. To nie pora na podobne myśli. Miał sprawę do rozwiązania. Był zawodowcem. Nawet jeśli niektórzy wyśmiewali to, w czym był dobry.

Nie myśl o niej w ten sposób, przykazał sobie po raz kolejny. Nie możesz się rozpraszać, grasz o zbyt wysoką stawkę, to przecież sprawa życia i śmierci.

- Tak, widziałam go wtedy - przyznała cichym głosem, po czym nagle spojrzała na Brenta z błagalnym wyrazem twarzy. - To musi być jakaś pomyłka, on żyje, a zmarł ktoś bardzo podobny do niego...

- Nie łudź się, Nikki, naprawdę widzisz duchy. Nie zaprzeczysz przecież, że Andrea nie żyje?

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie, nie zaprzeczę... Przebrała się nawet, wiesz? To znaczy przedtem pokazała mi się tak, jak w chwili... jak w tamtej chwili, a teraz przychodzi w garsonce, w której została... pochowana.

- Przychodzi, ponieważ chce ci pomóc – wyjaśnił łagodnie Brent.

- Pomóc? Przez to wszyscy moi przyjaciele mają mnie za niezrównoważoną psychicznie i omal nie obraziłam dziś podczas zwiedzania jednej z turystek.

Teraz na jego twarzy pojawił się niewesoły uśmiech.

- Tak, to bywa trudne.

Nikki włożyła mieszadełko do pustej filiżanki.

- Może faktycznie powinnam się napić czegoś mocniejszego... – mruknęła. - Nie, lepiej nie, bo jeszcze zacznę widzieć różowe słonie albo coś w tym guście.

- To może jeszcze jedną kawę?

Naraz podniosła na niego wzrok, jej oczy znów przybrały czujny wyraz.

- Czyli twoim zdaniem mam pewien szczególny talent, podobnie jak ktoś inny ma talent muzyczny czy malarski, tak? I ujawnił się teraz, ponieważ Andy chce mi pomóc. Ty posiadasz ten sam dar, chociaż u ciebie objawił się wcześniej. I jestem zupełnie zdrowa na umyśle.

- Dokładnie tak.

- Czy są jeszcze inni ludzie podobni do nas?

- Jak najbardziej.

- To czemu nigdy o nich nie słyszałam? – spytała podejrzliwie.

Rozłożył ręce, uważając, by jej nie dotknąć, gdyż stolik był maleńki i siedzieli bardzo blisko siebie. Brent cały czas czuł delikatny zapach jej perfum.

- Ci, którzy rzeczywiście posiadają taki talent, zazwyczaj są bardzo powściągliwi. Sama miałaś przedsmak tego, jaką wzbudza to reakcję. Jednak wbrew temu, co ci się wydaje, słyszałaś o tych ludziach. Przypomnij sobie opowieści o nawiedzonych miejscach i o ludziach wzywanych po to, by uwolnili takie miejsca od uciążliwych duchów.

- Tak, miałam przedsmak i więcej nie chcę...

- Potrzebuję twojej pomocy – powtórzył. - A ty potrzebujesz mojej.

- A na czym konkretnie miałaby polegać moja pomoc?

- Muszę poznać duchy, które widzisz.

- A nie możesz... nie możesz podejść i sam się przedstawić? – Zaśmiała się. gdyż była to cokolwiek absurdalna wizja, lecz śmiech szybko zamarł jej na ustach. Poczowała się nieswojo.

- Oni mnie nie znają. Nie mają żadnego powodu, by mi zaufać.
 - Kto wie? U Andy pewnie miałbyś spore szanse... - mruknęła. - Nie bardzo rozumiem, jak miałabym cię przedstawić. Ten agent FBI ani razu nie odezwał się do mnie, ani za życia, ani po śmierci. Co do Andy... Przecież nawet nie wiem, kiedy znowu ją zobaczę.
 - Moglibyśmy razem jej poszukać - zaproponował. - Kiedy zobaczy, że mi ufasz, zechce odpowiedzieć na moje pytania.
 - Według ciebie już ci zaufałam.
- Brent zaryzykował.
- Tak mi się wydaje.
- Zarumieniła się. Wstała. Myślał, że odwróci się i pójdzie.
- Nie chcę drugiej kawy i na pewno nie chcę nic mocniejszego. Odprawdź mnie do domu.

Julian nerwowo chodził po tarasie, obserwując, jak tamci dwoje oddalają się coraz bardziej. Co to w ogóle za pomysł, żeby Nikki wybrała się gdzieś z praktycznie obcym mężczyzną? Na ogół nie wtrącał się w jej życie prywatne, ale ten cały Brent Blackhawk budził jego niepokój. Wyczuwał w tym człowieku coś dziwnego... W dodatku od śmierci Andy Nikki zdecydowanie wymagała opieki.

Z kawiarni wyszła Madame D'Orso.

- Co się dzieje?
- Nikki umówiła się na kawę z takim jednym.
- Rozumiem...- W zamyśleniu popatrzyła za nikonącą za rogiem parą. - Nie wiem, czy powinna chodzić teraz na randki. Za dużo wrażeń, nie sądzisz?

- Tak, ale nie mogę jej mówić, co ma robić, jest dorosła.
- Mogłeś jej to wyperswadować.
- Próbowałem.

Madame milczała przez chwilę.

- Znasz tego człowieka?
- O tyle, o ile. Spotkaliśmy go wczoraj w nocy, dziś rano zamieniliśmy z nim dwa słowa na policji.

- Puściłeś ją samą z policjantem? Z nimi bywa różnie, bo mają nadzieję, że w razie czego koledzy zatuszują sprawę...

- Według pani powinienem iść za nimi?
- Tak.

Przez moment patrzył na nią wielkimi oczami, po czym puścił się biegiem za Brentem i Nikki.

To wszystko coraz mniej mu się podobało.

- Piękny dom - powiedział z przekonaniem Brent, gdy znaleźli się na werandzie.

- Tak, też mi się podoba - odparła.

Stanęli przed drzwiami jej mieszkania, przez kilka sekund panowało kłopotliwe milczenie.

- Poczekam, aż wejdiesz i zamkniesz drzwi - rzekł.

Nikki poczuła lekki powiew wiatru, a wraz z nim zapach wody kolońskiej Brenta, który stał przed nią, wysoki, barczysty, silny. Z nim była bezpieczna, sama jego obecność dodawała jej odwagi.

Jednocześnie budził w niej niepokój, przecież właściwie go nie znała. W dodatku nie przypominał żadnego ze znanych jej mężczyzn. Zaciekawilo ją, jak by to było, gdyby wracali z randki. Miała swoje zasady, od których nie odstępowała. Pierwsza randka służyła poznaniu drugiej osoby, nic poważnego nie miało prawa się wydarzyć. Zarówno w sprawach zawodowych, jak i w życiu prywatnym Nikki zachowywała sporą ostrożność i nigdy nie działała impulsywnie.

Zatem gdyby to była ich pierwsza randka...

Serce zaczęło jej bić szybciej, jakby nadszedł moment pierwszego pocałunku. Chwila wydawała się idealna. Była piękna ciepła noc, wiatr wydawał się coś szeptać, zachęcając, by Nikki przysunęła się do Brenta. Czy nie chciałyby go dotknąć, poczuć ciepła jego ciała? Pod wpływem tych myśli omal nie uległa pokusie, by unieść twarz, przymknąć oczy, uśmiechnąć się, rozchylić lekko wargi i czekać...

Oczywiście skoro nie byli na randce, takie zachowanie nie wchodziło w rachubę.

Mimo to jej puls wciąż nie chciał się uspokoić. Zastanawiała się, jak Brent wyglądałby bez koszuli. Bez niczego. Czy byłoby miło leżeć przy nim.

Jej wyobraźnia posunęła się o krok dalej. Na pewno okazałby się namiętym kochankiem, może nawet gwałtownym, ale bez wątplenia dobrym. Czasem uprawiałby miłość czule i delikatnie, lecz z żarem. Wiedziałby doskonale, czego pragnie i potrzebuje kobieta. I...

Cofnęła się o krok, modląc się w duchu, by nie umiał czytać w myślach.

- Nie... nie wydaje ci się, że nie dokończyliśmy rozmowy? Jeśli chcesz, możemy kontynuować u mnie, zapraszam. Po prostu nie miałam ochoty już dłużej siedzieć w barze.

Ku jej zaskoczeniu zawahał się.

- Nie zamierzam zmuszać cię do czegokolwiek, zatem...

Nie czuła się do niczego zmuszana, sama była gotowa na...

- Zależy mi na twoim zaufaniu. Jeśli powinienem teraz zostawić cię samą, odejdę.

Nie widziała powodu, dla którego miałby to robić, chodziło przecież o sprawy życia i śmierci, nie o jakieś sentymentalne bzdury. Łączyło ich wspólne zadanie. Oboje widzieli duchy. Byli niczym detektywi pracujący nad tą samą sprawą, musieli wymienić się informacjami... i w ogóle.

- Cóż.... - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Nawet jeśli wejdę do domu i zamknę za sobą drzwi na wszystkie spusty, nie powstrzyma to duchów, prawda?

- Ale powstrzyma morderców z krwi i kości, którzy dopadli twoją przyjaciółkę i agenta FBI.

- Tak, wiem, że powinnam zachowywać ostrożność. Julian bardzo mnie na to uczył. Na wszelki wypadek nocował u mnie.

- Rozumiem...

- To co? Wejdiesz?

Kiedy nie odpowiedział, Nikki poczuła się trochę zirytowana i lekko obrażona.

- Mógłbyś sprawdzić, czy nie czeka tu na mnie jakiś duch albo groźny przestępca - podsunęła.

Boże, jak ona uwielbiała ten uśmiech, który odmieniał jego surowe rysy. W zielonych oczach tańczyły wesołe iskierki, jeden kącik ust unosił się nieco wyżej, nadając twarzy Brenta szelmowski wyraz, a wszystko to budziło jej zachwyty. Ale czy nie działała zbyt pochopnie? Przecież dopiero co go poznała.

Zdała sobie sprawę, że czekając na jego odpowiedź, wstrzymała oddech. Nadal nic nie mówił, a ona koniecznie chciała... zaryzykować. Po raz pierwszy w życiu, akurat wtedy, gdy to życie stało się bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek przedtem. Akurat wtedy, gdy nie powinna była.

- Naprawdę byłabym wdzięczna, gdybyś wszedł. Chwilowo to nie przestępców boję się najbardziej, ale ich ofiar. Nic na to nie poradzę.

- Z największą przyjemnością skorzystam z zaproszenia - rzekł wreszcie.

Odwróciła się, drżąc na całym ciele. Jakoś udało jej się trafić kluczem do zamka za pierwszym razem, chociaż trzęsły jej się ręce. Weszli do środka.

Brent rozejrzył się dookoła. Uderzyła go duża liczba obrazów na ścianach, i to obrazów najwyraźniej kupionych od miejscowych artystów, gdyż przedstawiały najróżniejsze miejsca Nowego Orleanu. Całości dopełniało trochę pejzaży z widokami Luizjany i parę akwarel, na których rozpoznał Florencję.

Najbardziej spodobał mu się olejny obraz ze sceną z cmentarza Saint Louis Nr 1. Młoda dziewczyna z pochyloną głową dotykała dłonią starego grobu zwieńczonego figurą anioła. Malarzowi udało się ukazać kontrast i zarazem jedność życia i śmierci, piękno architektury i smutek zniszczenia, a przede wszystkim oddać nastrój tajemnicy.

- Znasz osobę, która to namalowała? - spytał, podchodząc bliżej do obrazu.

- Nie. Kupiłam go niedaleko placu Jacksona od jakiejś młodej dziewczyny, chyba studentki malarstwa.

- Naprawdę ładny.

- Dziękuję. Cieszę się, że ci cię podoba. Moim zdaniem udało jej się uchwycić... Nie wiem, może to zabrzmie dziwnie, ale ten obraz posiada jakąś specyficzną aurę. Chociaż nie, tobie nie wyda się to dziwne, przecież ty nie takie rzeczy widziałeś. Oczywiście nie chciałam cię urazić tym ostatnim stwierdzeniem - dodała szybko.

Co się z nią działo? Nie potrafiła rozmawiać z nim jak z innymi, czyli zupełnie swobodnie. Od samego początku miała z tym kłopot, ale kiedy była na niego zła i chciała, by trzymał się od niej z dala, radziła sobie zdecydowanie lepiej. Na pewno wyrażała się wtedy inteligentniej, teraz plotła bzdury, nie mogła zebrać myśli.

Roześmiał się.

- Nie trzeba widywać duchów, by umieć rozpoznać prawdziwe dzieło sztuki. Tak, zdecydowanie ten obraz emanuje pewną aurą... Ale na tym chyba polega istota dzieła sztuki, prawda? Nie chodzi o idealne oddanie czyichś rysów twarzy czy szczegółów konkretnego przedmiotu, tylko o tchnięcie w dzieło pewnych emocji, by na naszych oczach ożyło.

- Zgadzam się, chociaż nie do końca. Przecież każdy z nas reaguje inaczej, więc jedna osoba uzna coś za dzieło sztuki, a druga nie.

- Fakt. Jeden z moich przyjaciół powiesił w swoim barze ogromne malowidło z psami i uważa, że to jedno z najbardziej niedocenionych arcydzieł malarstwa. Tak, każdy z nas widzi co innego.

- No, na przykład kręcących się dookoła umarłych - wyrwało jej się. Stropiła się. - Chyba... chyba pójdę zrobić herbatę. Pijasz herbatę?

Uniósł brew.

- A jest jakiś powód, dla którego miałbym jej nie pijać?

- Właściwie nie... - Skrzywiła się. coraz bardziej sobą zde gustowana. - Po prostu nie wiem, co zazwyczaj pili India... To jest, rdzenni Amerykanie. - Ugryzła się w język, gdyż popełniała nietakt za nietaktem.

- Oprócz wody ognistej, tak?

- Ja wca... - Umilkła, ponieważ dotarło do niej, że nie zadał tego pytania poważnie.

- W moich żyłach płynie więcej krwi irlandzkiej niż indiańskiej, więc genetycznie jestem predysponowany do picia herbaty - wyjaśnił uprzejmie. - Ale jeśli chcesz wiedzieć, niektórzy Indianie piją herbatę. Inni nie. To kwestia upodobania.

Poczuła się jak idiotka. Od urodzenia żyła w mieście, w którym mieszały się wszystkie możliwe rasy, kultury i religie. Wśród jej przyjaciół byli ludzie o najróżniejszych kolorach skóry, hetero- i homoseksualni, katolicy, żydzi, wyznawcy wudu i buddyści. Do tej pory przy nikim nie czuła się tak skrępowana i nie wygadywała podobnych bzdur.

Wykonała nerwowy gest.

- Pójdę zagotować wodę.

W kuchni coś ją tknęło. Wszystko wyglądało tak samo jak rano, gdy wychodziła z domu. Posprzątane, wytarte blaty, na wierzchu tylko ekspres do kawy... Poczuła ukłucie niepokoju. Ekspres chyba stał trochę bliżej krawędzi niż zazwyczaj.

Zaczęła otwierać szuflady i drzwi szafek, sprawdzając ich zawartość. Komplet srebrnych sztućców leżał na swoim miejscu. Porcelana stała równo w wiszących szalkach. Niczego nie brakowało.

Musiała wziąć się w garść, bo ewidentnie coraz bardziej ponosiła ją wyobraźnia. Przecież nikt by się nie włamywał do jej mieszkania tylko po to, by przesunąć ekspres do kawy!

Nastawiła wodę na herbatę i czekała, rozglądając się uważnie dookoła. Oprócz ekspresu nic nie obudziło jej czujności. Widać przesunęła go rano, ścierając blat i ustawiła inaczej niż zwykle.

Kiedy wróciła do salonu, Brent nadal spoglądał na ścianę z obrazami, ale wydawał się skoncentrowany na czym innym.

- Nie ma jej teraz tutaj, prawda? - spytał.

Taca, na której znajdowały się filiżanki, łyżeczki, porcelanowy czajnik z herbatą, dzbanuszek z mlekiem, cukiernica i talerzyk z cytryną zatrzęsła się w rękach Nikki.

- Jej? – powtórzyła, choć wiedziała, o kogo chodzi.
- Andrei.

Spojrzał na nią, podszedł szybko, wyjął jej tacę z rąk i postawił na niskim stoliku przy niedużej sofie. Usiadł.

- Nie, nie ma.

Zajęła miejsce obok niego i sięgnęła po czajnik, by obsłużyć gościa, lecz Brent natychmiast zaproponował:

- Pozwól, że ja naleję.

Bez słowa skinęła głową, gdyż nagle powróciło jej poprzednie zdenerwowanie i nie mogła wydusić ani słowa ze ściśniętego gardła.

- Nie zjawia się co noc? – spytał tonem zwyczajnej pogawędki, nalewając im obojgu herbaty.

Nikki machinalnie sięgnęła po dzbanuszek z mlekiem, potem wsypała do swojej filiżanki łyżeczkę cukru. Zapamiętała, że on poprzestał na samej herbacie. Teraz już będzie wiedziała, jaką lubi.

- Jesteś tu? – upewnił się. – Ona nie przychodzi co noc, prawda?
- Tak. Gdyby przychodziła ciągle, to pewnie już siedziałabym u czubków. Możliwe, że zdaje sobie z tego sprawę i dlatego ukazuje mi się co jakiś czas.

- Możliwe. Na pewno nie chce wyrządzić ci żadnej krzywdy ani nie chce cię przestraszyć. Moim zdaniem Andy pragnie ci pomóc.

Nikki zaczęła drżeć. Nie, nie dlatego, że rozmawiali o duchach. Sofa była nieduża, siedzieli blisko siebie, ich kolana stykały się – bardzo lekko, lecz wystarczająco, by ją to rozpraszało. Oto najatrakcyjniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkała, znajdował się późnym wieczorem w jej mieszkaniu. Wyczuwała ciepło jego ciała. Widziała wyraźnie ciemnozielone cętki na jego tęczęwkach.

- Jeśli chce pomóc, to czemu nie ukaze się Masseyowi albo Joulette'owi i nie powie, kto ją zabił?

- Prawdopodobnie sama tego nie wie.
- Jak to?
- Mogła zostać zaatakowana w jakimś słabo oświetlonym miejscu albo gdy już spała. Ale wie, domyśla się lub wyczuwa, że i tobie grozi niebezpieczeństwo i dlatego próbuje nawiązać z tobą kontakt. Muszę z nią porozma-

wiać, lecz ona się na to nie zgodzi, dopóki nie uwierzy, że będę działał dla jej dobra.

Na ramionach wyskoczyła jej gęsia skórka, tym razem jednak ze względu na temat rozmowy.

– No dobrze, a co z tym agentem FBI? Przecież go nie znam, więc czemu wciąż go widuję?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

Popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

– Brent, powiedz mi...

– Co?

– Powiedz mi, że nie będę wszędzie widywać umarłych – wyszeptała ze zgrozą.

– Nie obawiaj się. Ci dwoje pokazują ci się nie bez powodu i na pewno dobrze ci życzą.

Upiła łyk herbaty.

– Tak, ale przez nich przyjaciele chodzą wokół mnie na paluszkach, jakbym była poważnie chora. Julian zmusił mnie do wizyty u psychoanalityka i w ramach terapii szokowej zdradził Madame D'Orso, że widuję duchy. Podobno chciał, bym usłyszała, jak absurdalnie to brzmi. Nawet policja traktuje mnie jak nawiedzoną.

– Nie przejmuj się, o mnie myślą to samo.

– I nie przeszkadza ci to?

– Dopóki ta opinia nie wpływa na moją współpracę z nimi, to wcale się tym nie przejmuję. Na szczęście teraz mają na głowie drugiego zawalidrogę. FBI przysłało im jednego ze swoich. Cholernie nadęty waśniak, irytuje ich bardziej niż ja, co działa na moją korzyść.

Słuchała go nieco nieuważnie, ponieważ uświadomiła sobie nagle, jak późno się zrobiło i co to może oznaczać. Ogarnął ją lęk graniczący z paniką. Sama nie wiedziała, do czego zmierza, gdy oznajmiła znienacka:

– Andy czasami pojawia się w środku nocy. Ostatnio zasypiam przy włączonym telewizorze. Przychodzi, bo lubiła oglądać telewizję.

– Przychodzi, bo czuwa nad tobą.

Następne słowa wypowiedziały się jakby same, niemal bez jej udziału:

– Mam tu na górze pokój gościnny. Jeśli chcesz spotkać się z Andy, możesz zostać. Gdyby się pojawiła... zawołam cię. Opowiem jej o tobie, przekonam, że może ci zaufać, porozmawiacie sobie.

Boże, to zabrzmiało, jakby naprawdę straciła rozum!

- Jak już mówiłem, nie chcę cię do niczego zmuszać – rzekł łagodnie. –
Wolę najpierw pozyskać twoje zaufanie.

- Do licha ciężkiego! – Wstała gwałtownie. – Pozyskać moje zaufanie?
Jak na razie udało ci się mnie niezłe przerazić! Na co czekasz? Mam wysto-
sować zaproszenie na piśmie? Na górze jest dodatkowa sypialnia, a ponieważ
chwilowo boję się nawet własnego cienia, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś
łaskawie zechciał tu przenocować!

Podniósł się również, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, który wydał jej
się zniewalający.

- Skoro tak stawiasz sprawę...

Drżąc na całym ciele, odwróciła się szybko, gdyż bała się, że powie za du-
żo. W następnej kolejności poprosiłaby o to, by spał w jej pokoju, w jej łóżku,
trzymając ją w objęciach. Musiała koniecznie zmienić temat, by o tym nie
myśleć. Zerknęła na niego.

- Czy duchy plątają figle? – spytała.

- W jakim sensie?

- Na przykład czy mogą przesuwać przedmioty?

- Czemu pytasz?

- Z ciekawości.

Zawahał się.

- Też nie wiem o nich wszystkiego... Ale owszem, widziałem, jak duch
porusza przedmiotami. Na cmentarzu Saint Louis Nr 1 jest pewien stary Mu-
rzyn, który ciska żwirem i kamieniami w wandali. Chyba po prostu broni
cmentarza. Musisz jednak wiedzieć, że duchy też są w różnym wieku i im są
młodsze, tym mniej potrafią. Oddziaływanie na materię wymaga sporego do-
świadczenia, na początku zazwyczaj kiepsko im idzie. Nawet ukazanie się
komuś bywa trudne, a jeśli duch boi się czegoś, nie zdoła się zmaterializo-
wać, choćby tego bardzo pragnął.

- Nie żartuj. Jak duch może się bać?

- Spróbuj sobie uświadomić, kim jest duch. Dalej tym samym człowie-
kiem, tyle że pozbawionym powłoki cielesnej, prawda? Posiada pamięć tego,
co mu się przydarzyło, posiada osobowość i reaguje tak, jak zwykły reagować
za życia.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był niespełna rozumu. O czym
oni rozmawiają? Gdyby ktoś to usłyszał...

- Czy Andy mogła przesunąć mój ekspres do kawy?

- Stoi nie tam, gdzie przedtem? Jesteś pewna?

- Właściwie nie... Sama nie wiem.
 - Może chcesz sprawdzić, czy z mieszkania nic nie zginęło? – podsunął.
- Czy w tym pokoju wszystko jest tak, jak zazwyczaj?

Rozejrzała się dookoła.

- Raczej tak.
- Sprawdzimy piętro?

Skinęła głową.

Weszli na górę, Brent zatrzymał się w progu sypialni i patrzył, jak Nikki zagląda do kasetki z biżuterią, do szuflad toaletki i komody, do szafy.

- I co? – zagadnął.
- Nic. Chyba rzeczywiście zaczynam wariować. Nieźle...
- Skądże – zapewnił uspokajającym tonem.
- Drugi pokój jest naprzeciwko – wskazała.

Tam również wszystko było w porządku. Odetchnęła.

- Musiałam po prostu przypadkiem postawić ekspres inaczej niż zazwyczaj. – Z lekkim zakłopotaniem wzruszyła ramionami.

- Zawsze lepiej sprawdzić – odparł.
- Skoro już mówimy o sprawdzaniu... Zobaczę, czy drzwi balkonowe w mojej sypialni są zamknięte. Możesz obejrzeć pozostałe drzwi i okna?

- Oczywiście.

Pięć minut później zawołał z korytarzyka przed jej sypialnią:

- Wszystko w porządku.

Wyszła na próg.

- Dzięki. – Zawahała się. – Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie. W skrzyni pod kanapą jest świeża pościel. Dobranoc.

- Dobranoc. I o nic się nie martw, jestem tutaj, przybiegnę, gdy tylko zawołasz. Wołaj, cokolwiek by się działo.

- Dobrze. Jeszcze raz wielkie dzięki.

Zamknęła za sobą drzwi, lecz nie przekręciła klucza w zamku i poszła do łazienki.

I tam po raz drugi odniosła wrażenie, że coś jest nie tak.

W wiszącej nad zlewem szafce z lustrem jeden przedmiot, a konkretnie flakonik z ulubionymi perfumami Nikki. gwiazdkowy prezent od Patricii, stał odrobinę za blisko brzegu. Miała zwyczaj stawiać wszystko zawsze na tym samym miejscu, czasem nawet podejrzewała się o chorobliwą pedanterię. Jednak w związku z wydarzeniami ostatnich dni jej zachowanie mogło ulec zmianie. Była wytrącona z równowagi i pewnie mniej staranna, więc rano

niedbale odstawiła perfumy, podobnie jak nie zwróciła uwagi, że przesunęła ekspres. Logiczne.

A jednak... A jednak nie dawało jej to spokoju.

Coś za dużo rzeczy nie dawało jej spokoju, co świadczyło jedynie o tym, że zaczynała wyolbrzymiać błahe sprawy. Jeśli nie weźmie się wreszcie w garść i nie opanuje rozszalałych emocji, to niedługo zacznie widzieć zbrodniarza w każdym człowieku mijanym na ulicy.

Z tą myślą położyła się do łóżka. Tak, koniecznie powinna się opanować...

Ktoś ruszał jej rzeczy!

Nie, to bzdura. Nikt nie włamywałby się do czyjś mieszkania, żeby trochę przesunąć dwa przedmioty.

Po prostu była przemęczona, musiała się wreszcie wyspać i chyba tej nocy jej się to uda. Zaprosiła pod swój dach prawie obcego człowieka i, o dziwo, czuła się dzięki temu bezpiecznie. Po raz pierwszy od śmierci Andy.

Zamknęła oczy.

A kiedy znów je otworzyła, było rano.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Patricia obudziła się zbyt wcześnie, co ją mocno zirytowało. Zazwyczaj chodzili spać dość późno, więc rano każda minuta snu była bezcenna.

Dookoła panowała cisza i ciemność. Obok spał Nathan, co napawało Patricję bezgraniczną ulgą. Miała cudownego partnera, pracę, którą naprawdę lubiła i właściwie wszystko w jej życiu układało się dobrze. Do śmierci Andy.

Ogarnęło ją przygnębienie, ale też i ogromne współczucie. Co prawda nie znały się jeszcze zbyt dobrze, lecz to nie miało znaczenia, ta śmierć i tak wstrząsnęła Patricją. Pracowały razem i widywały się praktycznie codziennie. Wciąż nie mogła oswoić się z myślą, że pełna życia, piękna młoda kobieta, która odbiła się od dna i zaczęła wszystko od nowa... tak po prostu przestała istnieć.

Potworne.

Czy Andy z jakichś powodów targnęła się na własne życie? Znów popadła w nałóg i przypadkiem przedawkowała? Czy też, jak w to święcie wierzyła Nikki, została zamordowana?

Czy zdawała sobie sprawę z tego, że to koniec? Czy się bała? Czy walczyła o życie do końca, lecz przegrała?

Patricię ogarnął strach i szybko spojrzała w bok, by się upewnić, że Nathan rzeczywiście jest przy niej. Ujrzała zarys jego głowy, ciemne włosy odcinające się od bieli poduszki, usłyszała równy oddech.

Ponieważ Nikki obstawała przy swojej koncepcji, policja przeprowadziła szczegółowe śledztwo, lecz nie przyniosło ono żadnych rezultatów. Nikt nic nie słyszał. Ale kto miał coś usłyszeć? Wiekowa i mocno przygłucha pani Montobello?

Patricia nagle pożałowała, że w ogóle poznali Andree Ciello. Najpewniej Andy sama była sobie winna, musiała dopaść ją ponura przeszłość.

A jeśli nie? Jeśli padła ofiarą jakiegoś psychopaty?

Nigdy jednak nie słyszała o psychopacie, który próbowałby upozorować samobójstwo ofiary albo jej przypadkową śmierć. Oni zazwyczaj...

- Hej, nie śpisz?

To pytanie rozległo się tak znieńcka, że Patricia wydała zdławiony okrzyk przestrawu.

- Co się z tobą dzieje? - zaniepokoił się Nathan i otoczył ją ramieniem. - Boże, przecież ty jesteś lodowata i trzęsiesz się jak liść!

- Przestraszyłeś mnie.

- Jak mogłem cię przestraszyć? Przecież jestem przy tobie cały czas.

Tak, był przy niej przez cały czas i przez cały czas dziękowała za to losowi.

Zaczął się od czystego pożądania. Któregoś razu Nathan odprowadził ją do domu i jakoś tak się stało, że spojrzeli na siebie i nagle bez słowa zaczęli się całować jak opętani, zdzierając z siebie wzajemnie ubrania. Dopiero potem Patricia uświadomiła sobie, jak nieprzytomnie się w nim zakochała.

Co za szczęście, że się spotkali! Nie była teraz sama. Teraz nie, ale...

Ale tamtej nocy, gdy zmarła Andy...

Zalali się wtedy nieźle. Wrócili do domu o drugiej, poszli spać. Jakiś czas potem Patricię obudził koszmarny ból głowy, wstała i poszła do łazienki łyknąć aspirynę. Wróciła do sypialni, półprzytomnie zwała się na łóżko i nim ponownie zasnęła, poczuła, że coś jest nie tak.

Łóżko było puste.

A jeśli jej się zdawało?

Była przecież kompletnie pijana, nie dałaby głowy, czy coś jej się nie przywidziało. Nie wyczuła ciepła drugiego ciała, jego ciężaru na materacu, ale może to jej się tylko przyśniło? Kiedy ponownie obudziła się nad ranem, Nathan spał obok, jakby spędził tak całą noc.

- Myślałam o biednej Andy - wyznała.

Przyciągnął ją do siebie.

- Nie możemy w kółko rozpamiętywać tego, co się stało - powiedział łagodnie. - To i tak niczego nie zmieni.

- Wiem, ale nie potrafię zapomnieć.

- To oczywiste. Ktoś musiałby być zupełnie bez serca, żeby nie przejąć się śmiercią bliskiej osoby. Jesteśmy ludźmi, cierpimy i smucimy się, to naturalne.

Była mu wdzięczna za tyle zrozumienia, za to, że nie zbagatelizował jej lęków.

- Żal mi jej... - szepnęła.

- Teraz już nikt nie może jej skrzywdzić. Jest bezpieczna w rękach Boga.

- Wierzysz w to? Naprawdę wierzysz?

- Czy wierzę w Boga? Tak. I w to, że po śmierci nic nam nie zagraża, że jesteśmy wolni od cierpienia i lęku? Tak - przekonywał. Delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy. - Kiedy przypomnisz sobie Andy, pomyśl, że ona jest już w niebie i czuwa nad nami.

Odwrócił ją tyłem do siebie, przytulił się. Przez krótki jak mgnienie oka moment miała ochotę się odsunąć.

- Trochę potrwa, zanim pogodzimy się z tym, co się stało - wymruczał, po czym ziewnął. - Zwłaszcza Nikki będzie potrzebowała dużo czasu. Nie sprawiła dziś na mnie wrażenia osoby...

- ...która dobrze się czuje? - podsunęła.

Milczał przez chwilę.

- Zrównoważonej psychicznie - rzekł wreszcie. - Musimy wszyscy mieć na nią oko. Gdybyś zauważyła coś dziwnego, koniecznie mi o tym powiedz.

Odsunęła się odrobinę.

- Co masz na myśli?

- Po prostu coś dziwnego.

- No tak, ale...

- Cśśś... - Położył dłoń na jej ustach. - Dość już o tym.

- Kiedy nie mogę nie myśleć o...

- Zaraz przestaniesz myśleć - mruknął. Obrócił ją ku sobie, pocałował w szyję, w dekolt, między piersiami. - My żyjemy... i musimy czuć... że żyjemy - mówił, nie przestając całować jej ciała.

- Nathan, pro...

Nie słuchał.

Przesunął się niżej, wsunął głowę między jej uda, chciwy dotyk jego ust rozpalili ją w jednej chwili. Przeszyło ją pożądanie, wczepiła palce w jego włosy, zapomniała o wszystkim.

- Och, Nathan, zrób...
- Co?
- Zrób to...

Kolejny dzień.

Detektyw Massey leżał na łóżku, obserwując, jak drobiny kurzu tańczą w snopie światła wpadającego przez rozsunięte zasłony do jego dość obskurnego mieszkania przy autostradzie 1-10.

Pracował w Dzielnicy Francuskiej, ale oczywiście nie mógł sobie pozwolić na mieszkanie na zabytkowej starówce.

Stara jak świat klimatyzacja rzeziła, jednak nie zwracał na to uwagi. Grunt, żeby nie padła. Lato powoli miało się ku końcowi, lecz znowu nadchodziła fala upału. Morderczego upału, jak go nazywano w Nowym Orleanie.

Cholera, czeka go pewnie więcej roboty, bo ludziom przy takiej pogodzie zupełnie odbijało. Przynajmniej łatwo było wtedy ustalić sprawcę. Kiedy kogoś ponosiło, nie myślał o zachowaniu ostrożności, zostawiał dużo śladów, nie zważał na obecność świadków.

To raczej nie był okres obfitujący w morderstwa dokonywane z zimną krwią.

Kolejny cholerny dzień.

Massey zwłóknął się z łóżka i poszedł do kuchni. Tak, kupno naprawdę porządnego ekspresu do kawy to była dobra inwestycja. Włączał się automatycznie o szóstej czterdzieści pięć i kiedy Massey wstawał o siódmej, kawa już na niego czekała i pozwalała mu oprzytomnieć. Nalał sobie pełen kubek, poszukał papierosów, zapalił. Czekał go cały dzień bez dymka, bo w robocie nie wolno było palić. Cholera, nawet w Nowym Orleanie, najbardziej wyluzowanym mieście w całym kraju, wprowadzono w wielu różnych instytucjach całkowity zakaz palenia. Co za czasy!

Kolejny przeklęty, gorący i parny dzień.

Andrea Ciello... Wszystkie okoliczności zdawały się wskazywać na przypadkowe przedawkowanie, a jednak wbrew istniejącym dowodom Massey czuł, że Blackhawk ma racje. Niech to szlag, obaj z Joulette'em wyszli przy nim na idiotów.

Dwie identyczne śmierci w krótkim odstępie czasu. Jak mogli tego nie po-
wiązać? Widać zanadto zasugerowali się przeszłością tej dziewczyny. Była
narkomanka, jasna sprawa..., żadnych śladów włamania, ani jednego włosa,
strzępka, grudki błota wniesionego na czyichś butach, nic. Nie mogła paść
ofiara psychopaty, oni nie pozorowali samobójstw, zostawiali na miejscu
zbrodni istne pobojowisko.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa Garfielda. Facet czysty jak łąza, i
to pod każdym względem, więc skąd nagle heroina? Nie znaleziono ani jedne-
go odcisku palca, oczywiście poza jego własnymi. Policja dotąd nie miała
żadnego punktu zaczepienia.

I dopiero musiał przyjechać jakiś nawiedzony szaman, żeby z miejsca zo-
baczył związek między oboma wydarzeniami. Miał rację, do cholery!

Massey zdusił niedopałek w popielniczce, stanął naprzeciw wywietrznika,
wystawił twarz na chłodny podmuch. Blackhawk zauważał więcej niż oni...
Pytanie, co jeszcze widzi taki gość od duchów?

Nikki nic pamiętała, kiedy ostatni raz spała tak dobrze, chociaż po prze-
budzeniu zadała sobie pytanie, jak mogła smacznie spać, skoro pod jej da-
chem znajdował się zupełnie obcy mężczyzna. Chyba upadła na głowę, za-
praszając go do siebie na noc i nawet nie zamykając drzwi sypialni na klucz.

Czuła się rześka, wypoczęta, znacznie spokojniejsza niż w ciągu minio-
nych dni. Ponieważ jej gościem był ktoś, kto jej się ogromnie podobał, wzięła
prysznic, ubrała się starannie i umalowała, zanim wyszła z pokoju. Pierwszy
raz schodziła rano do kuchni z pełnym makijażem...

Ekspres już działał, więc pozostało jedynie nalać kawę do dwóch filiżanek
i wyjść, by poszukać Brenta na zewnątrz. Znalazła go w ogródku.

Ledwie na nią spojrzał, poczuła, że koniecznie musi się bardzo pilnować,
by fizyczna fascynacja nie przesłoniła jej o wiele ważniejszych spraw. Zdecy-
dowanie coś się między nimi działo, chociaż jego zachowanie nic takiego nie
sugerowało. Przyglądał jej się takim spojrzeniem, jakby był zoologiem, ona
zaś jakimś niezwykle rzadkim gatunkiem zwierzęcia. Niemniej jednak...

Jak mogła kiedykolwiek czuć się przy nim nieswojo? Tak naprawdę jego
obecność sprawiała jej coraz większą przyjemność.

- Dzień dobry. - Podała mu filiżankę.
- Dzień dobry. Dziękuję. I jak ci się spało?
- Znakomicie. A tobie? Julian zawsze okropnie narzeka na moją kana-
pę.

Leciuteńko uniósł brwi.

- Nie jest aż taka zła - odparł, napił się trochę kawy. Może Nikki się tylko zdawało, a może rzeczywiście odrobinę spochmurniał po jej ostatniej uwadze. - Czy Julian... jest gejem?

Uśmiechnęła się. Zabawne, ludzie zawsze przypuszczali, że albo oni ze sobą sypiają, albo Julian ma preferencje homoseksualne.

- Nie.

Za cały komentarz usłyszała:

- O.

Wybuchnęła śmiechem, czym zaskoczyła samą siebie, przecież jeszcze niedawno czuła się tak straszliwie zgnębiona... Jednocześnie ogarnęła ją ulga - znowu mogła się śmiać. Tak, życie jednak bywa piękne.

- Znamy się od wieków, jesteśmy jak brat i siostra. Podobno przyjaźń między mężczyzną i kobietą jest niemożliwa, ale my naprawdę nigdy nie mieliśmy ochoty na nic więcej.

- Rozumiem - odparł i zmienił temat: - Opowiedz mi o ludziach, z którymi pracujesz. Przede wszystkim, kim właściwie jest Max, jaka jest jego rola i gdzie on się podziewa?

- Max miał gotówkę i założył firmę. Jest prawdziwym geniuszem, jeśli chodzi o cedowanie pracy na innych. Zostałam jego prawą ręką, więc on może sobie spokojnie podróżować, bo to kocha najbardziej. Aktualnie bawi gdzieś w Kolorado, chociaż głowy nie dam, bo to informacja sprzed paru dni. A co do innych... Właściwie co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Skąd pochodzą, jak ich poznałaś, od jak dawna ich znasz, jakie relacje łączą ich z pozostałymi...

Usłyszawszy to żądanie, zjeżyła się.

- Pytasz ze względu na Andy?

- Pytam, ponieważ chciałbym uzyskać możliwie pełny obraz sytuacji.

- Moi przyjaciele to świetni ludzie, nic więcej nie musisz wiedzieć - ucięła.

- Nie wątpię, jednak muszę wiedzieć więcej.

- O ile się orientuję, masz się zajmować śmiercią agenta FBI - przypomniawszy ostro.

- Owszem. Jestem jednak przekonany, że Andrea Ciello również została zamordowana, a obie te sprawy jakoś się ze sobą łączą. No bo pomyśl, czemu ciągle widywałybyś tych dwoje? W dodatku oboje zmarli z powodu przedawkowania. Nawet ślad po wkłuciu strzykawki mają w tym samym miejscu...

- Andy była kiedyś narkomanką.
- To nic nie znaczy. Przecież wiesz, że nie wstrzyknęłaby sobie heroiny.
- A jaką wartość ma moja opinia? Może faktycznie na skutek stresu moja wyobraźnia podsuwa mi obrazy bardzo odległe od rzeczywistości. Może ty też masz urojenia. Może oboje zwariowaliśmy... - zaatakowała.

Brent nie wpadł w złość. Stał w milczeniu i tylko patrzył na Nikki tymi niezwykłymi oczami, w których widziała zdumiewającą mądrość. Odwróciła wzrok. Była na niego wściekła, bo nie ufał jej przyjacielom, ale i tak pragnęła go dotknąć, co oczywiście jeszcze bardziej wyprowadzało ją z równowagi.

- Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o pozostałych przewodnikach, to powinieneś ich poznać. Chodźmy do „Madame D'Orso”.

- Chętnie, ale muszę najpierw wrócić do hotelu, ogolić się i przebrać.
- Golić się nie musisz, a wziąć prysznic i przebrać się możesz tutaj - zaproponowała nieoczekiwanie. - W szafie wisi trochę ubrań Juliana, jesteście tego samego wzrostu i podobnej budowy.

Nie chciała, by odchodził, chociaż złość na niego jeszcze jej nie przeszła. Nawet gdyby miał znowu ją rozgniewać, wołała, żeby został.

- Głupio mi brać jego rzeczy bez pytania.
- Daj spokój, nie pogniewa się.

Zawahał się.

- Naprawdę - zapewniła go z determinacją. - Julian jest szalenie miły i życzliwy, a do tego świetnie się ubiera. Na pewno znajdziesz coś dla siebie.

Uniósł ręce w geście poddania.

- W porządku.

Już chciała zawrócić z nim do domu, w ostatniej chwili powstrzymała się jednak. Bez przesady, on sobie poradzi, a jej dobrze zrobi, jeśli przynajmniej spróbuje zachować odrobinę dystansu. Narzucała mu się coraz bardziej, to było żałosne! I zupełnie nie w jej stylu. Widać to kolejny efekt traumy, jaką niedawno przeżyła.

Co gorsza, ochoczo dostarczała mu coraz to nowych pretekstów, a on... a on nawet nie zapukał w nocy do jej sypialni.

- Idź, wykap się, weź, co ci potrzebne. Ja tu poczekam.
- W porządku - powtórzył, przyglądając jej się dziwnym wzrokiem.
- O co chodzi?
- Nie, o nic, przepraszam. Zaraz wracam.

I rzeczywiście niecałe dziesięć minut później był z powrotem. Miał wilgotne włosy, pachniał szamponem oraz wodą kolońską Juliana. Wydał jej się jeszcze bardziej pociągający niż zazwyczaj. Bardziej seksowny...

- Możemy iść. Nie zapomnij zamknąć drzwi – przypomniał.
- Nie ma obawy.

Chociaż w kawiarni było dużo ludzi i Nikki z Brentem stanęli na końcu dość sporej kolejki, Madame wypatrzyła ich od razu.

- Witaj Nikki, dzisiaj przyszłaś pierwsza. Nie stój w kolejce, siadaj przy waszym stoliku. - Uśmiechnęła się do Brenta. - My się chyba jeszcze nie znamy. Jestem Madame D'Orso, ale wszyscy mówią po prostu Madame.

- Tak naprawdę Madame jest Amerykanką – zdradziła mu szeptem Nikki, gdy już się przedstawił.

Madame przewróciła oczami.

- Cicho, to tajemnica! Czy Brent to wasz nowy przewodnik?

Nikki spojrzała na niego, zaskoczona tym pytaniem, lecz on przyglądał jej się z lekkim uśmiechem, więc zrozumiała, że już o tym myślał. Miałby w ten sposób znakomity pretekst by z bliska przyjrzeć się środowisku, w którym obracała się Andy.

- Jeszcze nie – powiedziała. - Max postawił wymóg, żeby najpierw każdy zdał test.

- Zdam śpiewająco każdy test, który dotyczy Nowego Orleanu – zapewnił.

- Zobaczymy...

Madame skinęła na Patricję i Nathana, którzy właśnie weszli do kawiarni i stanęli na końcu kolejki.

- Idźcie do stolika, dzieci! – zawołała i zwróciła się do Nikki: - Zaraz wam kogoś przyśle, przyniesie kawę, pączki i sok pomarańczowy.

- Pani nas rozpieszcza.

Cała czwórka ruszyła w stronę tarasu, torowanie drogi przypadło Patricji.

- Turyści – rzuciła gderliwie.

- Bądź dla nich miła, to dzięki nim mamy co jeść – przypomniała idąca za nią Nikki.

Mimo upału na tarasie było całkiem chłodno i przyjemnie, gdyż przed promieniami słońca chroniła go pasiasta markiza, pod którą zamontowano wentylatory.

Kiedy doszli do stolika. Patricia obróciła się i nieco kokieteryjnie uśmiechnęła się do Brenta.

- Cześć.

Nathan natychmiast stanął tuż obok niej i zlustrował nowego spojrzeniem.

- Cześć, jestem Nathan, a to Patricia.

- Miło mi – rzekł Brent i przedstawił się.

- Jesteś może nowym przewodnikiem? – zainteresowała się Patricia.

- Na razie dopiero ubiegam się o tę pracę.

Nathan spojrział na Nikki.

- Szybko zadziałałaś – skomentował.

W tym momencie dołączył do nich Julian.

- Cześć wszystkim. Brent, widzę, że coraz częściej na siebie wpadamy.

Patricia lekko uniosła brwi.

- Wy się znacie?

- Spotkaliśmy się parę razy – wyjaśnił Brent.

Julian przyglądał mu się dziwnym wzrokiem.

- Ciekawe, mam identyczną koszulę...

- Bo to jest twoja koszula. Nikki zapewniła mnie, że mogę ją pożyczyć, bo nie będziesz miał nic przeciw temu.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Nikki, która zarumieniła się, ponieważ oczywiście doskonale wiedziała, co sobie pomyśleli.

- Powiedziałam to, znając twoją życzliwość, Julian. W końcu przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi, prawda?

Patricia uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Ach, czyli Brent jest twoim przyjacielem!

- O, idzie Mitch – zauważyła Nikki i pomachała do niego, nie reagując na ostatnią uwagę.

Mitch podszedł, z lekkim zaciekawieniem popatrując na nieznanego. Przedstawili się sobie, a Patricia zdradziła:

- Brent jest nowym przyjacielem Nikki.

- Przedwczoraj wieczorem wdaliśmy się z Julianem w awanturę na ulicy i Brent przyszedł nam z pomocą – wyjaśniła Nikki i rzuciła przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie, by nie ważył się wspomnieć o tym, jak to ona zobaczyła ducha, ani o tym, że widzieli się z Brentem również na policji.

- To wspaniale – stwierdziła Patricia. – Oczywiście nie chodzi mi o awanturę, tylko o przyjsie z pomocą.

- Grupka podpitej smarkaterii szukała zwady – wymruczał Julian i przyznał z pewnym ociąganiem: – Dobrze, że Brent się zjawił.

Nikki wzięła przyjaciela pod rękę.

- Julian w pojedynkę porwał się na dziesięciu w obronie mojego honoru
- pochwaliła go.

Zjawiała się Madame, osobiście przynosząc zastawioną tacę ogromnych rozmiarów, a pomimo swej tuszy poruszała się wśród gości i stolików z taką zwinnością, że niewiele osób potrafiłoby jej dorównać.

- Pani sama nas obsługuje? - Nikki zakłopotana się. - Trochę mi głupio. Powinniśmy byli stać w kolejce jak wszyscy.

Madame zaśmiała się tylko.

- Jesteście moimi najlepszymi klientami, więc gdybym nie umiała należycie o was dbać, powinnam pomyśleć o zmianie profesji! - Opadła na wolne krzesło, sięgnęła po serwetkę i zaczęła się wachlować. - Daję słowo, już nawet jesienią zaczynają się robić upalne.

- Zna pani Brenta? - zagadnął Nathan. - Chciałby do nas dołączyć. Nie wiemy jeszcze, czy się nadaje, ale faktycznie potrzebujemy nowego przewodnika.

Nikki uzmysłowiła sobie w tym momencie, że wszyscy traktują Brenta z pewną nieufnością, co dotąd nie spotkało nikogo, kogo planowała zatrudnić. Intrygował ich, to było widać, ale zachowywali dystans. Może wyczuli, że w jakiś sposób przerastał ich wszystkich i tak naprawdę nie pasował do grupki zwykłych przewodników.

- Znasz Nowy Orlean, młody człowieku? - spytała Madame, nie przestając się wachlować.

- Jak własną kieszeń.

- A odpowiesz tak prosto z głowy na każde pytanie dotyczące miasta? - dociekał Julian. - Wiesz wszystko o Vieux Carre? O Dzielnicy Ogrodów? O piratach, Francuzach, Anglikach, Hiszpanach? O kupnie Luizjany przez Stany Zjednoczone? O wojnie secesyjnej? A szczególnie o naszych niezwykłych duchach i nawiedzonych miejscach?

Brent zaśmiał się cicho.

- Wiem. A szczególnie dużo wiem o waszych duchach - zapewnił, patrząc przy tym na Nikki.

- Jeśli tak, to jestem pod wrażeniem. - Madame naląła siedem filiżanek kawy, ostatnią dla siebie. - Poczęstuj się pączkiem, młody człowieku, są najlepsze w całym mieście, to fakt, a nie czcze przechwałki.

Mitch przyglądał się Brentowi z rosnącym powątpiewaniem.

- Naprawdę uważasz, że masz to wszystko w małym palcu?

- Naprawdę – odparł spokojnie, popijając kawę i delektując się świeżutkim pączkiem.

Mitch zwrócił się do Patricii i Nathana:

- Co robicie dziś po południu?

- Właściwie jeszcze nic nie zaplanowaliśmy – odparł Nathan. – Wieczorem prowadzimy grupę na Saint Louis Nr 1, do tej pory jesteście wolni.

- W takim razie chodźmy wszyscy z grupą Nikki i Juliana do Dzielnicy Ogrodów. Brent będzie miał szansę się wykazać, a my posłuchamy.

- Nie, nigdy tak nie robimy – zaproponowała natychmiast Nikki. – Każdy z was najpierw zdawał pisemny test, nikt nie był sprawdzany od razu w terenie.

- Ale nikt z nas nie był tak pewny siebie jak Brent – wtrącił Nathan, popierając Mitcha.

Dopiero w tym momencie Nikki zdała sobie sprawę z tego, co się naprawdę dzieje przy ich stoliku. Podniósł się znacznie poziom testosteronu... Trzej przewodnicy mieli nadzieję, że nowy albo stchórzy, albo się zbłąźni. Patricia wyglądała na mocno zaciekawioną, jak skończy się ta próba sił.

- Mamy swoje reguły – przypomniała surowo Nikki.

- To co? Tutaj o trzeciej? – Julian patrzył na Brenta z wyzwaniem w oczach, w ogóle nie przejmując się zdaniem Nikki.

Brent dopił kawę, nie spuszczać wzroku z Juliana.

- Zgoda.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- W Nowym Orleanie cmentarze zyskały sobie miano miast umarłych. Gdy wchodziliśmy przez bramę na teren cmentarza Lafayette Nr 1, z pewnością poczuli się państwo właśnie tak, jakby wkraczali na teren miasta, które może się poszczycić budowlami należącymi do najróżniejszych stylów architektonicznych. Samo słowo „cmentarz” pochodzi od greckiego słowa oznaczającego miejsce spokoju, miejsce odpoczynku. Dlatego na nagrobkach mogą państwo często ujrzeć napis „Spoczywaj w pokoju”, albo same litery R.I.P., które są skrótem, tym razem łacińskim, tej właśnie frazy. W Nowym Orleanie nasi zmarli spoczywają w grobowcach, które czasem mogą śmiało rywalizować swoją wielkością i wyglądem z domami przeznaczonymi dla żywych.

Nikki zerknęła pytająco na Juliana. Oboje szli na końcu grupy prowadzonej przez Brenta.

Przyjaciół wzruszył ramionami i wykonał gest oznaczający: „Jeszcze nie skończył. Zobaczmy...”

– Prezentuje się całkiem nieźle – zauważyła Patricia. – I widać go z daleka.

– Na tym cmentarzu znajdują państwo liczne ślady bogatej historii Nowego Orleanu, która uczyniła go tak unikalnym. Niektórzy nazywają go najbardziej północnym miastem Karaibów, inni najbardziej europejskim miastem Ameryki. Wszyscy się zgadzają, że nie istnieje drugie miasto, choćby odrobinę podobne do Nowego Orleanu – mówił Brent. – Cmentarz Lafayette powstał w 1833 roku na terenie dawnej plantacji. W tym czasie w mieście zadomowiły się już kultura i język francuski, hiszpański oraz angielski, do tego napływali imigranci, zwłaszcza z Irlandii i Niemiec, jak również Amerykanie o mieszanym pochodzeniu z Północy. Każda grupa przywoziła odmienne obyczaje i tradycje. Do tego niezwykłego bogactwa dochodziła też specyficzna cecha prawie wszystkich nekropolii Nowego Orleanu, mianowicie groby są murowane na powierzchni, a nie kopane w ziemi. Proszę nie zapominać, że znajdujemy się na terenie depresji, czyli poniżej poziomu morza i powodzie nie są tu czymś nieznanym, przeciwnie. Zwrócę też państwa uwagę na inny charakterystyczny szczegół, otóż proszę spojrzeć, na licznych grobowcach znajduje się bardzo wiele tabliczek z nazwiskami. Wynika to ze zwyczaju, który pozwala na wyjęcie ciała z trumny po upływie roku i jednego dnia, by zrobić miejsce dla kolejnej osoby, jeśli zachodzi taka konieczność. Trumnę się wyrzuca, a szczątki składa razem z innymi na samym końcu komory grobowej albo w specjalnej krypcie. Można je też wmurować w ścianę. W ten sposób wiele rodzin dosłownie jednoczy się po śmierci.

– Fuj! – zawołała ładna nastolatka. – Naprawdę wyciąga się zwłoki z trumien?

– Przecież im już wszystko jedno – skomentowała inna z turystek, nieco starsza.

– To niezły pomysł – ożywił się korpulentny mężczyzna. – Można zaoszczędzić na trumnie, przecież nie opłaca się kupować nic trwałego.

– To prawda, ale pogrzeb i tak zawsze pociąga za sobą znaczne koszty – odpowiedział Brent.

– Fakt – przytaknął tamten i cała grupa ruszyła dalej.

Brent opowiedział następnie o epidemii, która zapanowała w mieście niedługo po powstaniu nowego miasta umarłych, a potem o wojnie secesyjnej, pokazując groby i konfederatów z Południa, i przybyłych z Północy żołnierzy wojsk Unii, którzy nie wrócili już w rodzinne strony. W pewnym momencie niby mimochodem podał informację, że na cmentarzu Lafayette Nr 1 wciąż odbywają się pochówki, a jego wzrok spoczywał przy tym na Nikki, którą z łatwością odnalazł wśród kilkudziesięciu osób.

Zrobiło jej się wtedy dziwnie ciepło, chociaż właśnie zerwał się wiatr, który rozwał jej włosy. Odniosła wrażenie, że łączy ich coś specjalnego, coś poważniejszego niż odczuwana przez nią ochota, by rzucić mu się w ramiona w poszukiwaniu bezpieczeństwa, otuchy i...

Och, i wielu innych rzeczy.

Odwróciła się, by na niego nie patrzeć, odsunęła jeszcze dalej na tył grupy. Przechodzili właśnie nieopodal mauzoleum rodu DuMonde, przypominającego grecką świątynię. Stała przed nim młoda kobieta z pochyloną głową. Nikki bezwiednie ruszyła w tamtą stronę, nie mogąc tak po prostu wyminąć miejsca, gdzie spoczywały prochy jej przodków. Naraz poczuła, jak ogarnia ją strach. Kobieta stała plecami do niej, miała długie ciemne włosy, szczupłą figurę...

– Andy? – wyszeptała Nikki.

Tamta odwróciła się i uśmiechnęła.

– Nie, Susan.

Nikki zrobiło się głupio.

– Najmocniej przepraszam, wzięłam cię za kogoś innego.

– Nic nie szkodzi, zdarza się. Wspaniały grobowiec, prawda?

– Miło mi, że ci się podoba.

– O, to twój? To znaczy...

– Mojej rodziny.

– O rany! To musi być niesamowite mieć taki stary grobowiec na zabytkowym cmentarzu. – Wzdrygnęła się lekko. – Trochę upiornie, ale w sumie jednak super.

Nikki poczuła nagle dotyk na ramieniu i omal nie krzyknęła. To jednak był tylko Julian.

– Ale mnie przestraszyłeś – powiedziała z wyrzutem.

– Martwiłem się, bo nagle gdzieś znikłaś – odparł, nie kryjąc dezaprobaty.

By odwrócić jego uwagę od siebie, wskazała na ciemnowłosą dziewczynę.

- Poznajcie się... Susan, Julian.
- Cześć. - Z uśmiechem podał dłoń nowej znajomej, a do Nikki dopiero w tym momencie dotarło, jaka śliczna jest Susan. - Chodzisz po cmentarzu sama? Nie powinnaś.

- Mówiono mi, że w Dzielnicy Ogrodów jest bezpiecznie.
- Mimo to lepiej chodzić z grupą. Może dołączysz do nas? - zaproponował.

- Nie mogę, przecież nie zapłaciłam.
- Nic nie szkodzi - zapewniła Nikki, zerkając na Juliana, który chyba nawet zapomniał o jej istnieniu, zaintrygowany Susan. - Po pierwsze została mniej niż połowa trasy, po drugie jesteśmy przewodnikami - więc spokojnie możesz skorzystać z naszego zaproszenia.

- Na pewno mogę?
- Oczywiście - zapewnił Julian. - Będzie nam bardzo miło.

Nikki puściła ich przodem. Naraz usłyszała charakterystyczny pomruk zbliżającej się burzy i podniosła wzrok na ciemniejące niebo.

- Całe szczęście, że niedługo kończymy - powiedziała, lecz żadne z tamtych dwojga nie zwracało na nią uwagi.

Dołączyli do grupy. Mitch spojrzał na Nikki z wyraźnym zatroskaniem, w odpowiedzi posłała mu uspokajający uśmiech.

Robiło się coraz ciemniej, na szczęście nie padało. Nikki zauważyła dziwne zjawisko - z ziemi zaczęła unosić się delikatna mgiełka. Nie znajdowała na to wyjaśnienia, przecież zazwyczaj grunt parował dopiero po deszczu, a nie przed.

- Nawet pogoda mu sprzyja - szepnął do Nikki Nathan, który stał obok, obejmując Patricję ramieniem. - On jest naprawdę dobry. Podał garść szczegółów, o których w życiu nie słyszałem.

- Jest fantastyczny - oznajmiła z przekonaniem Patricia.

Nathan potrząsnął nią lekko.

- Hej, przestań wreszcie gapić się na jego tyłek, co?
- Wcale nie gapię się na jego tyłek - broniła się z chichotem. - A mówiąc poważnie, miał prawo być pewny siebie.

- Zatrudnij go z miejsca, żeby nie zgłosił się do konkurencji - poradził Mitch.

Nikki słuchała ich jednym uchem. Białawe opary zdawały się powoli wirować wokół niej. Coś jej mówiło, by się odwróciła, lecz obawiała się, że jeśli

posłucha wewnętrznego nakazu, spotka ją coś strasznego. Może jak żona Lota zamieni się w słup soli.

A jednak coś ją wzywało...

Stała nieruchomo, walcząc z pokusą. Grupa ruszyła dalej, lecz Nikki została, niezdolna uczynić ani kroku naprzód. Bała się nawet oddychać.

Wreszcie zacisnęła zęby i odwróciła się.

Mgła zdawała się ciągnąć wzdłuż alejki prowadzącej do jej rodzinnego grobowca, falując tak, jakby kiwała na Nikki, przyzywając ją ku niezwykłemu miejscu zawieszonemu pomiędzy życiem i śmiercią...

Ale przy wejściu do mauzoleum tym razem nie było nikogo.

Żadnej żywej osoby.

I ani śladu zmarłej przyjaciółki.

Uspokojona, Nikki odwróciła się z powrotem.

I aż podskoczyła, a krzyk grozy zamarł jej w gardle.

Andy unosiła się nad ziemią, otoczona wirującym oparem.

– Nie, nie... proszę – wyszeptała z trudem Nikki. – Nie teraz!

Musiała koniecznie zaalarmować Brenta, lecz znajdował się za daleko, w dodatku akurat wysłuchiwał uważnie jakiegoś zadawanego mu pytania.

– Andy, odejdz – jęknęła błagalnie Nikki i zacisnęła powieki.

Poczuła, jak ktoś zbliża się do niej. Poczuła też czyjś oddech na policzku. Otworzyła oczy.

Julian oderwał się od Susan i stał teraz przed Nikki, przyglądając jej się z nieskrywaną troską.

– Do kogo ty mówisz?

Spojrzała ponad jego ramieniem, Andy znikła, jakby rozplynęła się we mgle.

– Do nikogo.

– Przecież słyszałem!

– Mówiłam do siebie, a raczej klęłam, bo się uderzyłam, nie zauważyłam tej wystającej płyty – skłamała, wyminęła go, dołączyła do grupy i szybko znalazła się na samym przedzie, niedaleko Brenta. Ich spojrzenia spotkały się. Wyraz jej twarzy zaniepokoił go, lecz na jego spojrzenie Nikki odpowiedziała uśmiechem. Andy przecież już znikła, nie było sensu przerywać Brentowi tylko po to, by mu powiedzieć, że właśnie stracił okazję do porozmawiania z jej przyjaciółką.

Zresztą w ogóle jakoś nie bardzo miała ochotę o tym wspominać, zwłaszcza w tym miejscu, na cmentarzu, gdzie snuł się dziwny białawy opar, choć była zaledwie druga po południu, a nie późny wieczór.

– O rany! – powiedział Mitch w ramach składania gratulacji.

Julian wykazał się klasą, przyznając, że Brent wyszedł z próby zwycięsko.

– Faktycznie pokazałeś, co potrafisz.

– Skąd tyle wiesz? – zaciekała się Nikki.

– Urodziłem się tutaj – wyjaśnił Brent.

– Ale ty przecież jesteś Indianinem! – wyrwało się Patricii, która ponieważ zorientowała się, co powiedziała. Zaczerwieniła się. – Wybacz, teraz mówi się „rdzenny Amerykanin”. Nie chciałam...

Zaśmiał się.

– Jestem, ale moja matka była Irlandką, a matka mojego ojca pochodziła ze Skandynawii. Moi rodzice poznali się i pobrali w Nowym Orleanie. Choć dużo podróżowaliśmy i często bywałem u dziadka w Dakocie Południowej, wychowywałem się tutaj.

– Organizujemy dzisiaj jeszcze jedną wycieczkę, tym razem po Saint Louis Nr 1. Chcesz ją poprowadzić? – spytał Mitch.

Brent nie miał nic przeciw temu, choć spodziewał się, że Huey będzie zdziwiony takim obrotem rzeczy. W każdym razie to Nikki przydzielała zadania, więc czekał grzecznie na jej opinię. Tymczasem ona stała się dziwnie milcząca i chyba nie w pełni brała udział w ich rozmowie. Uśmiechała się co prawda, lecz był to uśmiech mocno wymuszony.

Widziała Andy, uznał Brent. Ogarnęło go ogromne rozczarowanie. Widziała osobę, której szukał, lecz zachowała to dla siebie.

W innym miejscu pewnie natychmiast wyczułby obecności Andrei, lecz na cmentarzu trudno było mu wyłowić jedną osobę więcej. I tak towarzyszył im dobry tuzin duchów, zaintrygowanych przewodnikiem, który nie tylko wiedział, ale i widział...

– Hej, a gdzie podziała się twoja nowa znajoma? – zaciekała się nagle Patricia, zwracając się z uśmiechem do Juliana.

– Musiała iść, umówiła się z siostrą.

Mitch skwitował to westchnieniem.

– One zawsze tak mówią...

– O, przepraszam, dała mi numer telefonu – zdradził Julian.

– Miłość i inne sentymenty zostawmy na później – doradził Nathan, spoglądając na zegarek. – Robi się późno, następna grupa pewnie już czeka.

- To co? Oprowadzisz ich? – spytał Brenta Mitch.

- Jeśli Nikki się zgodzi.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu. Oczywiście wszyscy mogą nadal przy-
słuchiwać się opowieściom Brenta.

- Daj spokój – wtrąciła Patricia. – Nie chodzi o to, że zamierzamy go
jeszcze sprawdzić, czekamy na twoją opinię. Przecież twoje zdanie jest roz-
strzygające.

- W takim razie Brent ma tę pracę – oznajmiła krótko Nikki.

- To tym bardziej trzeba się zbierać, bo turyści pomyślą, że zabrakło dla
nich przewodnika, podczas gdy właśnie zatrudniliśmy dodatkowego – powie-
dział Mitch. – Chodźcie na parking, podrzucę was do Madame moją furgonet-
ką, spokojnie zmieścimy się w szóstkę.

Podczas jazdy Brent nie miał szans zamienić z Nikki nawet słowa, lecz
okazja nadarzyła się, gdy wysiedli przed kawiarnią. Julian poszedł przodem,
by przywitać czekających turystów i sprzedać im bilety. Brent chwycił Nikki
za ramię.

- Widziałaś ją, prawda?

Najpierw popatrzyła na jego dłoń, a potem podniosła wzrok i spojrzała mu
w oczy.

- Nie.

- Dlaczego kłamiesz?

- Nie kłamię.

- Przykro mi, ale tak.

Westchnęła.

- W porządku, widziałam coś... To jednak trwało tak krótko, że nie je-
stem pewna, czy to naprawdę była Andy.

- Miałaś mi powiedzieć, kiedy ją zobaczysz – przypomniał. – To ogrom-
nie ważne.

- Po pierwsze, jak już mówiłam, nie mam pewności, co właściwie wi-
działam. Po drugie, byłeś zajęty, oprowadzałeś wycieczkę. Po trzecie, puść, bo
to boli.

Natychmiast zabrał rękę.

- Nikki, proszę... – zaczął, lecz nie zdołał dokończyć, gdyż usłyszał, jak
Julian donośnie go przedstawia.

- A to jest Brent, nasz nowy przewodnik, który zaprowadzi nas na najstarszy w mieście cmentarz, by podzielić się z nami swoją wiedzą na temat fascynującej historii tego niezwykłego miasta umarłych.

Brent wystąpił naprzód i powitał uśmiechem dużą grupę turystów w najróżniejszym wieku. Ze względu na porę nie było w niej jedynie rodzin z małymi dziećmi, ale dostrzegł i nastolatki, i parę niezwykle żwawych osiemdziesięciolatków.

- Dobry wieczór, witam serdecznie wszystkich w Nowym Orleanie i zapraszam na wspólną wycieczkę. Po drodze pokażę państwu kilka interesujących miejsc i będę opowiadał o historii miasta. Proszę przez cały czas trzymać się blisko grupy, bo nawet w tak wspaniałym mieście zdarzają się kieszonkowcy.

Chociaż cmentarz znajdował się niedaleko, trochę trwało, nim do niego dotarli. Grupa była spora i Brent musiał czekać, aż dołączą idący z tyłu, gdy zatrzymywał się, by coś opowiedzieć. Mówił o tym, jak Luizjana została kupiona od Francuzów przez Stany Zjednoczone, opowiadał o roli Missisipi w dziejach miasta, zatrzymał się przed starą tawerną, w której ongiś spotykali się piraci i werbowali kolejnych chętnych, a na skraju kanału wskazał pewien dom, w którym na początku dwudziestego wieku popełniono morderstwo. Sprawca, przekonany, że jest wampirem, wyssał z ofiary krew. Kiedy potem nieco oprzytomniał, z rozpaczy palnął sobie w łeb. Podobno jego ofiara nadal krąży po ulicach Nowego Orleanu. Uważa się za uśmierconego wampira i próbuje pozbawić ofiary nie krwi, gdyż tego uczynić nie może, ale oddechu.

Gdy cała grupa przybyła na miejsce, znajdowały się tam też inne wycieczki, lecz Brent nie miał najmniejszego problemu z przykuciem uwagi turystów. Zaczął od grobu najsłynniejszej kapłanki wudu, Marie Laveau, potem pokazał inne osobliwości, pod koniec zaś, pewien, że Huey znajduje się w pobliżu, postanowił opowiedzieć jego historię.

- Niedaleko miejsca, w którym stoimy, został ongiś pochowany pewien niewolnik imieniem Huey, zabity przez swego właściciela. Nie wiadomo, czy ów plantator był okrutnikiem, któremu zdarzało się zakatować kogoś na śmierć, czy też może raczej wielokrotnym mordercą, który pozbawiał ludzi życia z zimną krwią. Źródła zdają się wskazywać raczej na to drugie. W każdym razie od tamtej pory Huey straszy na cmentarzu Saint Louis. Czasami to niewinne żarty, czasami jednak potrafi dać się we znaki, zwłaszcza wandalom, którzy zakradają się tu nocami. W rzeczywistości to bardzo porządny człowiek, ale z powodu doznanych cierpień wciąż marzy o zemście. – W tym

momencie Brent podniósł głos: – Huey powinien jednak wiedzieć, że jego były pan, Archibald McManus, poniósł straszliwą śmierć. Inni niewolnicy wymierzili mu sprawiedliwość. Widzimy więc, że chociaż nie zawsze winni ponoszą zasłużoną karę, to w tym przypadku tak się stało.

Powiódł dookoła wzrokiem, szukając Nikki. Stała na skraju grupy, z ożywieniem szepcząc coś do Juliana. Może spodobała jej się historia, której nigdy dotąd nie słyszała.

– Archibald McManus? – wykrzyknęła atrakcyjna, na oko dwudziestoletnia dziewczyna, która przyszła na wycieczkę z dwiema przyjaciółkami mniej więcej w tym samym wieku. – Jest pan pewien?

– Ona też nazywa się McManus – wyjaśniła jedna z dziewcząt.

– To może być zbieg okoliczności, w sumie to dość popularne nazwisko – odparł Brent.

– Nie, żaden zbieg okoliczności – odparła ze śmiechem panna McManus.

– Przyjechałam zobaczyć Nowy Orlean, bo podobno właśnie stąd pochodzi moja rodzina. Wiem od taty, że mój prapradziadek miał tu wielką plantację, ale wydarzyło się coś złego i jego dzieci rozjechały się po całym świecie i straciły ze sobą kontakt. Czy pan wie o nim coś więcej?

– Tak, można o nim przeczytać w archiwach publicznych w bibliotece miejskiej. Ostrzegam jednak, że to, co pani znajdzie, raczej się pani nie spodoba.

– Cóż, w każdej rodzinie znajdzie się jakaś czarna owca... Aj! – zawołała nagle i odwróciła się do towarzyszącej jej rudowłosej przyjaciółki. – Czemu to zrobiłaś?

– Co niby?

– Czemu pociągnęłaś mnie za włosy?

– Nawet cię nie dotknęłam!

Brent nagle pożałował, że wybrał taki sposób, by opowiedzieć Hueyowi o dalszych losach Archibalda McManusa. Widział wyraźnie starego niewolnika stojącego przy Marie. Zamiast ucieszyć się, że jego dawnego dręczyciela spotkała słuszna kara, obrócił swój gniew przeciw niewinnej osobie.

– Chodźmy dalej – powiedział czym prędzej Brent i poprowadził grupę labiryntem alejek. W pewnym momencie poczuł obecność Hueya przy swoim boku. – Zostaw tę dziewczynę w spokoju – zażądał cichym głosem.

– To ta sama krew. Zła krew.

– Ludzie nie odpowiadają za winy swoich przodków.

– Co takiego? – dobiegł z prawej zdumiony głos.

Brent spojrział w tamtą stronę. Huey zniknął, a zamiast niego przyglądał mu się Julian, marszcząc brwi.

Cholera, musi bardziej uważać. Odwrócił się, wskoczył na przewróconą kolumnę i powtórzył na głos:

– Ludzie nie odpowiadają za winy przodków. Nie należy też bez końca rozpamiętywać czyichś dawnych występków.

Po tym wstępie opowiedział historię pewnej pięknej młodej Kreolki, która uciekła z synem bardzo zamożnej angielskiej rodziny, by potajemnie wziąć z nim ślub. Kiedy w Nowym Orleanie wybuchła epidemia, młody człowiek zmarł, a wtedy jego matka wyrzuciła synową z domu i doprowadziła do unieważnienia małżeństwa. Zaledwie kilka lat potem kreolska piękność zmarła z wycieńczenia i nędzy. Minęło około dwudziestu lat. Zamożna dawniej rodzina zubożała bardzo. Angielka została sama, pozbawiona służby i opieki, coraz bardziej schorowana. Któregoś dnia zasłabła na ulicy. Pośpieszyła jej z pomocą piękna młoda kobieta, uderzająco podobna do znieawidzonej synowej. Okazała się wnuczką angielskiej damy. Mogła zostawić babkę, lecz nie uczyniła tego. Oddała ją pod opiekę zakonnicy, odwiedzała ją, a na koniec wyprawiła jej wspaniały pogrzeb.

– Leżą teraz razem w jednym grobowcu. Co ciekawe, wnuczka nie pomyślała w ogóle o spadku, prawnik babki sam poszukał dziedziczki, której przypadł w udziale dom przy placu Jacksona. Wnuczka zamieszkała w nim, wyszła za przystojnego amerykańskiego żołnierza i urodziła mu pięcioro dzieci. Prawie cała rodzina spoczywa w tym oto grobowcu. Proszę spojrzeć na napis nad tą pięknie kutą żelazną bramą. „Zaświadczy o mnie Bóg, osądzi mnie Chrystus, prawdziwie żyje ten, kto potrafi kochać”.

Huey przyglądał mu się bez przekonania ze środka grupy, ale przynajmniej już nikogo nie ciągnął za włosy.

Zrobiło się późno, zbliżała się pora zamknięcia bram, trzeba było wyprowadzić turystów z cmentarza. Brent podziękował wszystkim za miłe towarzystwo, zachęcił do wzięcia udziału w wycieczkach po innych częściach miasta i obiecał odprowadzić wszystkich, którzy sobie tego życzą, z powrotem pod kawiarnię „Madame D'Orso”.

Kiedy szli ku bramie, Huey znów pojawił się przy nim.

– Wrócisz, Indiańcu? Musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się z nim stało.

Brent zwolnił nieco, pozwalając, by pozostali przewodnicy zajęli się grupą.

– Przysługa za przysługę, Huey. Pamiętaj, że potrzebuję twojej pomocy.

- Dobra, dobra.
- I przestań ciągnąć kobiety za włosy.
- Kiedy ta tutaj to wykapany Archibald!
- Och, nie opowiadaj mi głodnych kawałków.
- Do kogo mówisz? – zagadnęła Patricia, uśmiechając się niepewnie. – I

kto jest głodny?

- Ja zgłodniałem. Mówiłem do siebie – zełgał błyskawicznie.
- Co za ulga! Myślałam, że tylko ja tak robię.

Wyszli na ulice i Brent zatrzymał się, by sprawdzić, czy nikt nie został na cmentarzu. Po chwili podeszła do niego Nikki.

- Wspaniała robota – rzekła cicho.

Nie dotknęła go, po prostu wspięła się na palce i szepnęła mu to do ucha. To wystarczyło. Poczul na skórze ciepło jej oddechu, przebiegł go elektryzujący dreszcz, wszystkie mięśnie mu się napięły, napłynęła gorąca fala pożądania prawie niemożliwego do zniesienia.

Oby tylko nic nie zauważyła...

Nie zdołał nic odpowiedzieć. Odwrócił się i poprowadził grupę, z całej siły próbując zapanować nad swoim podnieceniem, które nigdy dotąd nie sprawiało mu aż takich kłopotów.

Nikki z Julianem szli za resztą grupy.

- On faktycznie zna to miasto jak własną kieszeń... – przyznał Julian.
- Na to wygląda.
- Ale nie musiałaś od razu dawać mu mojej koszuli!

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Nie poznaję cię. To zupełnie nie w twoim stylu. Zawsze jesteś taki życzliwy i wielkoduszny, a teraz nagle ci przeszkadza, że Brent pożyczył sobie twój ciuch.

- Przeszkadza mi, że wpuściłaś go do domu. Przecież nic o nim nie wiemy.

- Zdaniem policji jest w porządku. Z tego, co wiem, on pracuje dla jakiejś agencji, z którą wszyscy się liczą. Zresztą on tylko u mnie nocował, to wszystko. Nie spałam z nim, jeśli o to ci chodzi.

- Nie? – powtórzyła Patricia, która poczekała, by do nich dołączyć i usłyszała ostatnie słowa. – O rany, ja bym się z nim przespała. Oczywiście, gdybym nie miała Nathana. A mówiąc poważnie, bardzo się cieszę, że ten facet pojawił się na horyzoncie. Nareszcie ktoś będzie chronił Nikki.

- Nikki ma mnie - oznajmił stanowczo Julian.
- Zgadza się. Tylko co będzie, kiedy pójdziesz na randkę?
- Nic nie będzie, mogę spokojnie zostać sama, nie potrzebuję ochrony - odparta Nikki.

- Owszem, potrzebujesz - zawyrokowała Patricia i obrzuciła Nikki spoj-
rzeniem, które zdradzało, jak bardzo sama się boi i potrzebuje czyjejs obec-
ności.

- Wiesz, co ci powiem? - Julian wycelował palec w Patricię. - Ufasz mu,
bo jest przystojny. A według mnie ten gość jest dość dziwny. Nikki powinna
mieć się na baczności.

Nawet nie wiesz, jak bardzo, pomyślała Nikki, lecz nic nie powiedziała.

Dotarli do kawiarni, dołączyli do Mitcha i Nathana. Brent był pochłonięty
rozmową z panną McManus, coś jej zapisał na kartce, ona zaś wręczyła mu
wizytówkę z nazwą hotelu, w którym się zatrzymała. Widać naprawdę chciała
dowiedzieć się jak najwięcej o swoich korzeniach i poprosiła Brenta o dalsze
informacje.

- Powinniśmy zjeść coś porządnego - podsunął Mitch.
- Ja chyba dziękuję... - zaczęła Nikki.
- Nie, tobie akurat dobrze by zrobił porządny posiłek - przerwała jej Pa-
tricia. - My z Nathanem bierzemy niedługo ostatnią grupę, więc szybko się
uwiniemy, ale wy możecie posiedzieć przy jedzeniu trochę dłużej.

- Nie, ja naprawdę wolałabym wrócić do domu, jestem wykończona.

Brent skończył rozmawiać z panną McManus i podszedł do nich.

- Co teraz?

- Obiad - stwierdził zdecydowanie Mitch. - Zaraz mnie zemdli z głodu.

- Tylko Nikki nie wybiera się z nami. Jest zmęczona i woli wrócić do
domu - wyjaśniła Brentowi Patricia. - Ale może ty dołączysz do nas? Zapra-
szamy.

- Dziękuję. Najpierw jednak odprowadzę ją do domu, nie powinna cho-
dzić sama.

Nikki uniosła dłonie w geście protestu.

- Bez przesady, nic mi nie będzie, jest jeszcze w miarę jasno.

- Mimo to odprowadzę cię.

Nathan wymienił nazwę lokalu przy Royal Street, by Brent wiedział, gdzie
ich szukać. Brent odparł, by nie czekali na niego, na co Patricia uśmiechnęła
się porozumiewawczo i cała grupka ruszyła do lokalu.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mógłbyś pójść z nimi. - Nikki wskazała na oddalającą się czwórkę.

- Ale ja widzę - uciał nieco ostro.

- Nadal jesteś na mnie zły - odgadła.

- Nie.

- Tak.

- Dobra, przyznaję. Następnym razem, kiedy ją zobaczysz, masz mi o tym natychmiast powiedzieć. Niezależnie od okoliczności!

- Jasne, w obecności czterdziestu osób zacznę machać i zawołam: „Hej, Brent, tu jest duch Andy, którego chciałeś poznać”.

Łypnął na nią, lecz ona tylko wzruszyła ramionami, wyminęła go i pomaszerowała w kierunku domu, rzuciwszy jeszcze:

- Naprawdę nie potrzebuję eskorty.

Mimo to nie zdołała się go pozbyć. I wcale jej to nie przeszkadzało. Przeciwnie. Towarzyszył jej do furtki w ogrodzeniu. Do wejścia na werandę. Do drzwi wejściowych. Do mieszkania.

Kiedy znaleźli się w środku, poczuła się nieswojo.

Znowu odniosła wrażenie, że coś jest nie tak. Rozejrzała się dookoła, lecz niczego nie brakowało.

- O co chodzi? - spytał Brent, który dostrzegł jej niepokój.

- O nic.

- Znowu coś przede mną ukrywasz?

Westchnęła.

- Kiedy to naprawdę nic takiego. Coś mi się wydawało.

- Ale co?

- Że jest jakoś inaczej, jakby ktoś trochę przesunął niektóre przedmioty... Nie, właściwie wszystko znajduje się na swoim miejscu, więc pewnie oprócz duchów, które nie istnieją, zaczynam też widywać inne nieistniejące rzeczy.

- Lepiej sprawdźmy całe mieszkanie. Upewnisz się, czy nikt tu nie wszedł i czy nic nie zginęło.

Oględziny mieszkania nic nie dały, a mimo to Nikki nie zdołała się pozbyć niemiłego uczucia. Kiedy wrócili na dół, skierowała się do kuchni i wyjęła z lodówki dwie zimne puszki coli. Jedną podała Brentowi.

- Ależ dziś gorąco... - zauważyła, nagle zakłopotana jego bliskością. Kuchnia wydała jej się stanowczo za mała.

- No... Jak w piekle - mruknął z uśmiechem.

Cofnęła się o krok, gdyż zarówno ten uśmiech jak i owo mruknięcie wydały jej się bardzo zmysłowe. Owszem, cieszyła się, że był przy niej, ale... Ale nieznośne gorąco, które zalewało ją niczym fale przyływu, wytrącało ją z równowagi i przeszkadzało zebrać myśli. To znaczy... przeszkadzało jej myśleć o wszystkim z wyjątkiem jednego.

- Skoro już mnie odprowadziłeś, możesz iść na ten obiad, pewnie jesteś głodny.

- Czemu nie zamówimy czegoś do domu albo nie ugotujemy?

- Nie mam siły gotować, sama jestem ugotowana od tego upału, muszę zaraz wejść pod prysznic, jestem mokra i lepka od potu...

Nie, to ostatnie nie zabrzmiało najlepiej. Mokra i lepka... Czy miał te same skojarzenia co ona?

- Ty też pewnie chętnie byś to zrobił, więc nie krępuj się - dodała z troski o swojego gościa, po czym nagle dotarło do niej, co powiedziała.

Dokładnie to, co miała na myśli. Idę pod prysznic, nie krępuj się, dołącz do mnie...

Och, nie! A jeśli on też usłyszał zaproszenie w jej słowach?

- Musiałbym znowu pożyczyć jakieś rzeczy Juliana - odparł, traktując jej propozycję właśnie jako oznakę gościnności i nie doszukując się ukrytych znaczeń.

- Bierz swobodnie, co jest ci potrzebne.

- Mam inny pomysł. Weźmy oboje prysznic, potem przejdźmy się do mojego hotelu, przebiorę się, a w drodze powrotnej kupimy coś do jedzenia. Co ty na to?

- Może być. - Zawahała się. - Zostaniesz na noc?

- To zależy od ciebie.

Mmm, jak wspaniale było wejść pod prysznic... Naprawdę lepiała się od potu i była wykończona.

Umyła włosy, a potem odkręciła kurki do oporu, by spłukać z siebie zmęczenie całego dnia, zamknęła oczy i stała tak z błogim uśmiechem na twarzy. Wreszcie otworzyła oczy.

I krzyknęła przeraźliwie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak widać, Julian często nocował u Nikki i było też oczywiste, że spał w pokoju gościnnym, a nie w sypialni pani domu. W niedużej szafie wisiały jego rzeczy, a na półkach leżały czyste skarpetki, bawełniane koszulki oraz bokserki. W niewielkiej łazience znajdowały się kosmetyki do golenia i mydło o świeżym, lekko sosnowym zapachu.

Brent rzeczywiście marzył o tym, by wskoczyć pod prysznic, gdyż tego dnia upał straszliwie dawał się we znaki, lecz nie był pewien, czy nie musi poczekać, aż Nikki wyjdzie ze swojej łazienki. Czasami w starych domach ciśnienie wody było dość słabe i korzystanie z wody w jednej łazience oznaczało, że zabraknie jej w drugiej. Kiedy jednak odkręcił kurek, woda poleciała silnym strumieniem.

Stał pod prysznicem, zaciskając zęby prawie z całej siły i starając się nie myśleć o tym, że ona też się kąpie, i to tuż obok. Znalazł się tu z powodu zadania, jakie miał wykonać, musiał jakoś opanować narastające pożądanie, bo jedno z drugim nie szło w parze. Nikki znajdowała się w niebezpieczeństwie, nie mógł więc pozwolić, by cokolwiek rozpraszało jego uwagę.

I wtedy usłyszał krzyk.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że się przesłyszał, ale za drugim razem nie miał już wątpliwości. Wyskoczył z łazienki nagi, ociekający wodą i ruszył do sypialni Nikki. Wpadł do jej łazienki, złapał za zasłonę prysznica, pociągnął z całych sił.

Nikki krzyknęła po raz trzeci, tym razem na jego widok.

– Co?! – spytał bez tchu, nie widząc nic przerażającego.

– Co ty wyprawiasz?! – Wyrwała mu półprzezroczystą zasłonę z ręki i przycisnęła do siebie, starając się choć trochę zakryć. Niewiele to dało.

Jej wzrok prześlizgnął się po jego nagim ciele. Spłonęła rumieńcem i wbiła spojrzenie w oczy Brema.

– Przecież krzyczałaś – wytknął oskarżycielsko. – Co się stało, u diabła?

Nerwowo zwilżyła językiem usta, już i tak mokre i zmysłowe, zakryła oczy rękami, długimi i zadziwiająco ciemnymi jak na naturalną blondynkę.

O, tak, była naturalną blondynką...

Wymruczała coś pod nosem.

– Słucham? – Odruchowo postąpił krok w jej stronę.

– Karaluch – powiedziała wyraźniej.

- Karaluch? – powtórzył dziwnym głosem.

- Tak, karaluch! – rzuciła gniewnie. – Wielki, ohydny, siedział akurat na prysznicu i zleciał prosto na mnie.

- Krzyczałaś z powodu karalucha?

Poczuł ulgę, niedowierzanie, gniew. Boże wielki, jak on się przeraził! Nie pamiętał, kiedy ostatnio serce waliło mu tak mocno... Ten stres pewnie skrócił mu życie o dobrych dziesięć lat.

- Nie życzę sobie żadnych głupich uwag – uprzedziła z rozdrażnieniem. – Prawie umarłam ze strachu.

- Ty?! A co ja mam powiedzieć?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Oboje byli mocno zdenerwowani.

I oboje byli zupełnie nadzy. Nagle cały jej gniew wyparował bez śladu. Uśmiechnęła się.

- Wyglądasz na całkiem żywego... – zauważyła łagodnie.

Trudno, by sam o tym nie wiedział... I trudno, by był w stanie znieść dłużej tę sytuację.

Odwrócił się, wzburzony do granic wytrzymałości, rozdarty między poczuciem obowiązku a palącym pożądaniem. Naraz poczuł na ramieniu delikatny dotyk wilgotnych palców i dobiegi go cichy głos:

- Brent...

Nawet syrena nie zdołałaby zawołać go słodziej. Odwrócił się z powrotem.

Zasłona leżała na podłodze, woda wciąż lała się z prysznicza, parując niechętnie.

- Czy... Czy ze mną jest coś nie tak? – spytała ze ściśniętym gardłem Nikki, wpatrując się w niego oczami o kolorze Morza Karaibskiego. I o jego głębi.

- Nie.

- Więc...

- Więc co? – spytał ostro. Czuł się tak, jakby lada moment miał się rozlecieć na milion kawałków.

- Noc, dwoje dorosłych ludzi... Nagich. Mężczyzna podniecony, kobieta... spragniona jego objęć, spragniona tak bardzo, że... że jest gotowa się upokorzyć i poprosić... by nie odchodził – zakończyła.

Patrzył na nią bez słowa. Nie spotkał równie ekscytującej kobiety od... od... Chyba w ogóle nigdy, ale nie mógł z tego powodu zapomnieć o grożącym jej niebezpieczeństwie. Chciał jej to wszystko powiedzieć, wyjaśnić...

I nie zdołał wydobyć z siebie nawet słowa.

Obiema dłońmi chwycił Nikki w talii, przeniósł ją przez próg kabiny prysznicowej, przycisnął do siebie i dopiero wtedy powoli opuścił na podłogę, by mogła nie tylko zobaczyć, ale i poczuć jego pożądanie. Z jękiem wtulił twarz w szyję Nikki, smakując delikatną skórę, potem zanurzył palce w jasnych włosach, mokrych i ciężkich, odnalazł ustami rozchylone wargi.

Otoczyła go ramionami, przejechała dłońmi po jego wilgotnych plecach, zsunęła je niżej, zamknęła dłonie na jego pośladkach, przyciągnęła bliżej do siebie. Wokół unosiła się para, woda z głośnym szumem biła o kafelki podłogi. Brent przejechał ustami po brodzie, szyi i dekolcie Nikki, kierując się ku piersi, odnalazł sutek, zaczął pieścić go językiem, lekko złapał zębami, usłyszał cichy jęk, poczuł, jak delikatne palce otaczają jego penis.

Podniósł ją znowu, wszedł pod prysznic, przycisnął ją plecami do ściany, podsunął wyżej, cały czas patrząc jej w oczy, a gdy znalazła się dostatecznie wysoko, przysunął się bliżej i zaczął ją powoli opuszczać. Oplotła nogami jego biodra, ani na moment nie spuszczał spojrzenia z jego twarzy, aż wreszcie wtuliła twarz w ramię Brenta, gdy już był w niej i zaczął się poruszać.

Woda lała się na nich gwałtownym strumieniem, spływała po rozgrzanej, mokrej skórze, oszalałamiąc ich jeszcze bardziej. Brent, półprzytomny z pożądania, nawet nie czuł ciężaru Nikki. Jęki, jakie jej się wyrzywały, doprowadziły go do stanu, w którym mógł już tylko gorączkowo zmierzać do zaspokojenia. Wbiła palce w jego ciało, podniosła głowę, całowała go chciwie, mocno, głęboko, aż nie był świadomy już niczego, czuł tylko gorąco, wilgoć, przyspieszający do granic wytrzymałości puls, a wreszcie eksplozję rozkoszy, która nastąpiła tuż po tym, jak Nikki krzyknęła, wygięła się i kurczowo ścisnęła go nogami.

Kiedy odrobinę oprzytomniał. Nikki spoczywała w jego objęciach zupełnie bezwładnie, drżąc leciutko. Potem poruszyła się, spojrzała na Brenta, delikatnie przejechała opuszkami palców po jego mokrych włosach, uśmiechnęła się i ku jego największemu zaskoczeniu szepnęła:

- Dziękuję.

Opuścił ją powoli, z żalem wysuwając się z niej. Zakreślił wodę. Przytulił Nikki do siebie i z czułością pogładził kciukiem jej policzek.

- Za co? - spytał.

- Nie muszę już się martwić, że ze mną coś nie tak.

Domyślił się, czemu przybrała lekki ton. Dawała do zrozumienia, że niczego nie oczekuje, żadnego emocjonalnego zaangażowania, żadnych deklaracji, nic. Chciała, by o tym wiedział.

- Nie tak? Z tobą? Przeciwnie. Z tobą jest wręcz wspaniale... - powiedział ze szczerym przekonaniem.

Znowu się uśmiechnęła, lecz moment później spoważniała i podniosła na niego wzrok.

- W takim razie czemu zajęło ci to tyle czasu?

- Jak to? Przybiegłem, ledwo krzyknęłaś.

- Nie mówię, że teraz, tylko... w ogóle.

- Przecież dopiero się poznaliśmy.

- Ja od pierwszej chwili wiedziałam, że tego chcę - szepnęła. - Dotknąłeś mnie... i od razu wiedziałam.

Zauważył, że dostała gęziej skórki. Jemu też zrobiło się chłodno, stali przecież mokrzy i nadzy na gołej podłodze, gorąca woda była zakrecona, działała klimatyzacja. Sięgnął po ręcznik kąpielowy i otulił nim ramiona Nikki.

- Wystarczył sam dotyk? - spytał również szeptem. - Wydawało mi się, że na początku nie wzbudzałem w tobie sympatii.

- To prawda. Wcale nie chciałam cię lubić.

Odwróciła się i wyszła do sypialni, a Brent podążył za nią. Stała przy łóżku, pozwoliła, by ręcznik opadł na podłogę, czekała.

Zbliżył się niespiesznie, ujął ją pod brodę, nachylił się, pocałował z bezgraniczną czułością.

- Coś ci wyznam... Nie mogłem przestać o tobie myśleć, odkąd cię spotkałem tamtej nocy. Zrobiłaś na mnie takie wrażenie, że musiałem jak najszybciej odejść. To, co się dzieje... trochę mnie przeraża.

Z uśmiechem oparła czoło na jego policzku.

- Nigdy się tak nie zachowuję, to się zdarzyło po raz pierwszy, zazwyczaj jestem dość powściągliwa. Pewnie byś się tego nie domyślił, prawda? Ale zdarza się przecież, że między ludźmi coś zaskoczy i... Och, chyba sama nie wiem, co chcę powiedzieć.

- Ale ja wiem - odparł

Tym razem nie zamierzał się spieszyć, wolał sycić się nią do upojenia. Z jednej strony odgadywał, że mają przed sobą całe życie, by się sobą nacieszyć do woli, a z drugiej zapomniał i o przyszłości, i o przeszłości, zanurzył się cały w chwili obecnej. To był czas, by odczuwać - odczuwać wszystkimi zmysłami.

Obrócił Nikki plecami do siebie, uniósł jej wilgotne włosy, zaczął całować kark, potem ramiona, łopatki... Wszystko to robił powoli, bardzo powoli, pragnąc poznać każdy centymetr jej ciała, poznać dotyk, smak i zapach jej skóry, nauczyć się jej na pamięć.

Przez jakiś czas Nikki stała nieruchomo, napawając się jego niespieszną pieśczością, wreszcie odwróciła się, nie mogąc już wytrzymać, tak bardzo znów ją rozпалиł. Całowała go długo i namiętnie, co stanowiło zapowiedź tego, co miało potem nastąpić.

Brakowało im rąk, pragnęli dotykać się nawzajem wszędzie jednocześnie, brakowało im ust, by całować każdą część ciała. Brent nawet nie wiedział, kiedy upadli na chłodną pościel. Czuł na skórze wilgoć języka Nikki, czuł, jak chwyciła go lekko zębami, smakując...

Dłonie dążące do poznawania. Usta spragnione nowych doznań. Gorące, mokre, najbardziej intymne z pieśczoć, wzajemny dar kochanków.

Wieczór przeszedł w noc, a oni leżeli ciasno spleceni, płynąc w jakimś słodkim beczasie pozbawionym myśli, słów, trosk...

Nagle Brent poczuł, jak Nikki drgnęła. Natychmiast otworzył oczy, przytulił ją mocniej.

- Coś nie tak?
- Nie wiem. Wydawało mi się...
- Andy?
- Nie... To naprawdę coś głupiego - wyznała z zakłopotaniem. - Miałam wrażenie, jakby ktoś poruszył klamkę u drzwi wejściowych. Ale przecież nie mogłabym tego tutaj usłyszeć.

Bez słowa wyślizgnął się z łóżka, zabrał z podłogi upuszczony przez Nikki ręcznik, owinał go sobie wokół bioder i ruszył ku drzwiom.

- Poczekał - zażądała.
- Nikki, nie powinnaś...
- Idę z tobą - oznajmiła zdecydowanie.

Skoczyła do łazienki po drugi ręcznik i cichutko podążyła za Brentem na dół. W kuchni jak zwykle paliła się mała lampka, jej łagodny blask dosięgał schodów, więc nie musieli szukać drogi po omacku i szybko znaleźli się przy drzwiach. Brent znieruchomiał, zaczął nasłuchiwać. Nic się nie działo, klamka nie poruszyła się. Po chwili bezszelestnie odsunął zasuwę i gwałtownie otworzył drzwi.

Na zewnątrz ujrzeli tylko ciemny mur, drzewo, huśtawkę i światła ulicznych latarni, rzucających blask ponad ogrodzeniem. Jeśli nawet rzeczywiście ktoś był na werandzie, zdażył zniknąć.

- Mówiłam, że to głupie - mruknęła pod nosem.

Brent starannie zamknął drzwi, obrócił się ku Nikki, ujął ją pod brodę, z powagą zajrzał w zielononiebieskie oczy.

- Nic nie jest głupie. Kiedy tylko będzie ci się coś wydawać, kiedy tylko cokolwiek poczujesz, masz mi powiedzieć.

Uśmiechnęła się.

- Jeśli mam być zupełnie szczerą, to właśnie coś czuję...

- Pochlebiasz mi!

Roześmiała się.

- Czuję głód.

- Traktuj mnie jak bar otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę - zaproponował żartobliwie.

- Raczej jak restaurację... Jednak chwilowo myślałam o zwyczajnym głodzie. Poszłabym coś zjeść.

- Dokąd?

- Znam takie jedno miejsce, gdzie o każdej porze można dostać świetne kanapki.

- Dobrze, chodźmy coś zjeść, a potem wpadniemy do mojego hotelu po czyste rzeczy.

- Idę się ubrać. - Uśmiechnęła się i dodała: - Ty też powinienes.

Ruszyła ku schodom, lecz Brent pozostał jeszcze przy drzwiach wejściowych, nasłuchując. Cisza.

Nie wiedział, czy Nikki się przesłyszała, czy też nie, ale czuł niepokój. Była druga w nocy. Właśnie o tej godzinie Andrea Ciello wróciła do domu i niedługo potem została zamordowana. Sprawca dostał się do jej mieszkania, nie włamując się do niego, co mogło oznaczać, że albo podpita Andy zapomniała starannie zamknąć drzwi, albo napastnik miał własny klucz.

A jeśli miał klucz również do domu Nikki i próbował wejść?

- Ty jeszcze na dole? - zawołała z piętra.

- Właśnie idę na górę - odkrzyknął, lecz nim poszedł, upewnił się jeszcze, czy porządnie zamknął drzwi.

Patricię obudził jakiś hałas. Gwałtownie otworzyła oczy i nagle zdała sobie sprawę, że jest w łóżku sama. Wstała, znalazła szlafrok, narzuciła go na ramię, poszła do kuchni, w której paliło się światło. Nathan stał przy lodówce, nalewając sobie do szklanki sok pomarańczowy. Był bosy i bez koszuli, za to w dżinsach.

- Hej - powiedziała i podeszła do niego, po drodze potykając się o porzucone niemal na środku kuchni męskie buty. Odruchowo odstawiła je na bok.

- Obudziłem cię? Przepraszam, nie chciałem.

Miał potargane włosy, przez co wydał jej się jeszcze bardziej seksowny. Objęła go od tyłu ramionami, przytuliła policzek do pleców Nathana, odrobinię wilgotnych od potu, jakby dopiero co śnił mu się jakiś koszmar albo jakby miał za sobą intensywny wysiłek fizyczny.

- Nie, sama się obudziłam. Zobaczyłam, że cię nie ma i stęskniłam się za tobą. Trochę mnie to przeraża...

Obrócił się w objęciach Patricii, spojrzał jej w twarz.

- Ostatnio kiepsko sypiam.

- Czy to przeze mnie? - spytała, czując, jak ogarnia ją lęk. - Wolałbyś jednak być sam?

- Oczywiście, że nie.

- Jestem dużą dziewczynką, możesz powiedzieć mi prawdę.

Pełnym czułości gestem pogładził ją delikatnie po policzku.

- Nie mogło mi się przytrafić nic lepszego od ciebie - rzekł cicho.

Uśmiechnęła się, wyjęła mu z ręki szklankę z sokiem i pociągnęła go za sobą do sypialni.

- Chodź, zajmijmy się twoją bezsennością... To znaczy, nie od razu, ale zapewniam, że potem zaśniesz bez problemu - obiecała.

Dopiero gdy Nathan rzeczywiście spał już głębokim snem u jej boku, uświadomiła sobie kilka niepokojących faktów. Dlaczego w środku nocy miał na sobie dzinsy? Dlaczego jego bufy stały na środku kuchni? Czy gdzieś wychodził? W Nowym Orleanie zawsze było dokąd pójść, tylko dlaczego Nathan nic o tym nie wspomniał? Czy coś przed nią ukrywał?

Nikki nie pamiętała, kiedy ostatnio była na ulicy o tak późnej godzinie. A może raczej o tak wczesnej? O wpół do trzeciej rano w Dzielnicy Francuskiej panował miły spokój. Z nocnych klubów ze striptizem sączyły się ciche dźwięki muzyki, spotykało się nielicznych przechodniów. Zaprowadziła Brenta do bezpretensjonalnego lokaliku „U Maxie”, znajdującego się nieopodal kasyna, które zapewniało mu napływ gości przez całą dobę. Właściwie oferowano tam wyłącznie kanapki, za to bardzo smaczne, zawsze świeże i w dużym wyborze.

Umierała z głodu, w końcu nie tylko nie jadła tego dnia obiadu, ale również dopiero co spaliła sporo kalorii... Czowała się cudownie, domyślała się, że pewnie cerę ma trochę zaróżowioną, a oczy jej błyszczą. Wystarczyło kochać się z odpowiednią osobą, by życie i świat od razu wydały się piękniejsze.

- Byłeś tu kiedyś? – spytała, kiedy kelnerka przyniosła im kanapki z kurczakiem i mrożoną herbatę.

Potrząsnął głową.

- Nie, nigdy, a dałbym głowę, że znam to miasto jak własną kieszeń.

- Bo znasz. Dzisiaj podczas oprowadzania wycieczek kilka razy wspomniałeś o czymś, o czym żadne z nas nigdy nie słyszało. Szczególnie spodobała mi się ta historia starego niewolnika, Hueya. I co za niesamowity zbieg okoliczności, że w grupie znalazła się akurat praprawnuczka jego dawnego pana!

- Może nie aż taki niesamowity... McManus zostawił po sobie trójkę dzieci, pewnie teraz chodzi po świecie całkiem sporo jego potomków, a ludzie zazwyczaj lubią dowiadywać się czegoś o swoich korzeniach i odwiedzać miejsca, z których pochodzili ich przodkowie.

- Mimo wszystko to doprawdy zdumiewające, że ta dziewczyna przyjechała tu właśnie teraz i wybrała się właśnie na tę wycieczkę.

Wzruszył ramionami.

- Czysty przypadek, chociaż rzeczywiście ciekawy – mruknął.

Spostrzegła, że wcale nie patrzył na nią, tylko gdzieś ponad jej ramieniem. Obejrzała się w tamtą stronę.

- Mitch? – wyrwało jej się ze zdumieniem.

Znajdował się przy samych drzwiach, musiał właśnie wejść. Usłyszawszy znajomy głos, odwrócił się. W pierwszej chwili widok Nikki i Brenta wyraźnie go zaskoczył, potem uśmiechnął się i podszedł do ich stolika.

- Co ty tu robisz o tak barbarzyńskiej godzinie? – spytała Nikki.

Usiadł obok niej, odgarnął z czoła grzywę płowych włosów.

- Skreca mnie z głodu, przyszedłem coś zjeść. A wy co tu robicie?

- Też przyszliśmy się najeść – odparł Brent.

- No tak, ale jakim cudem Nikki jest na nogach o takiej porze?

Z uśmiechem zerknęła na Brenta.

- Moi przyjaciele wiedzą, że jestem typem skowronka – wyjaśniła. – Dlatego marne ze mnie towarzystwo podczas imprez, bo albo szybko uciekam, albo przysypiam.

- Rozumiem, że ty z kolei jesteś typem sowy? – zagadnął Brent, zwracając się do Mitcha. Pytanie zostało zadane najzupełniej naturalnym tonem, jakby wynikało wyłącznie z grzecznego zainteresowania, jednak Nikki wyczuła szóstym zmysłem, że wcale nie było takie niewinne.

- Właściwie nie, ale widzisz, przez lata mieszkałem w pewnej dziurze w Pensylwanii, gdzie o dziesiątej wieczorem wszystko było już zamknięte na głucho. Dlatego tutaj czasami wychodzę z domu o trzeciej czy czwartej w nocy, bo zawsze jest dokąd pójść. - Obrócił się nieco na krześle i rozejrzał po lokalu, jakby kogoś szukał.

- Słuchajcie - powiedział nagle ściszym głosem. - Czy ten facet w samym rogu to przypadkiem nie jest gliniarz, który prowadzi sprawę Andy?

Oboje zerknęli w tamtym kierunku. Detektyw siedział nad jakimiś papierami, pogrążony w pracy, zarośnięty, znużony.

- Tak, to Massey - potwierdziła Nikki.

Mitch spojrzał na zegarek.

- Zrobiło się naprawdę późno. A może wcześniej, cholera wie. Chyba będą się zbierać.

- Przecież umierałeś z głodu - przypomniał Brent.

- A właśnie, zapomniałem coś zamówić. Z tego upału człowiek zaczyna zachowywać się jak wariat... - Skinął na kelnerkę, a gdy podeszła, zamówił to samo co Nikki. - I jak ci się podobał pierwszy dzień w pracy? - spytał Brenta.

- Fajnie było.

- Bo to naprawdę fajna robota - zgodził się Mitch. - Hej, jak myślicie, czy powinniśmy podejść do detektywa Massey'a i spytać o postępy w śledztwie?

- Moim zdaniem tak - odparła Nikki i spojrzała pytająco na Brenta.

- Pewnie - zgodził się.

Kiedy podeszli we trójkę do detektywa, ten podniósł wzrok, po czym szybko zamknął teczkę z dokumentami, nad którymi ślęczał.

- Nie wiem, jak należy się przywitać o tej porze dnia, a może raczej nocy - zagaiła z uśmiechem Nikki. - W każdym razie zauważyliśmy pana i postanowiliśmy na chwilę podejść.

- Widziałem, jak państwo wchodziliście, ale nie chciałem się narzucać - odrzekł z powagą. - Zwłaszcza pani mogła nie mieć ochoty na moje towarzystwo.

- Proszę tak nie mówić! - zaproponowała szybko. - Zawsze był pan dla mnie niezmiernie miły, w dodatku wiem, jak ciężko pracuje pan nad interesującą mnie sprawą.

- Czy policja ustaliła coś nowego? - spytał Mitch.

- Niestety nie. To może naprawdę trochę potrwać, proszę państwa - dodał łagodnym tonem i westchnął.

- Zawsze tak przesiadujesz po nocach? - zainteresował się od niechcienia Brent.

- Nie, po prostu nie mogłem zasnąć, więc wolałem posiedzieć trochę nad robotą niż...

- Ja też nie mogę dzisiaj spać - wtrącił Mitch. - Jakaś dziwna noc, nie odnoscie takiego wrażenia? Parna i gorąca.

- Chyba faktycznie coś wisi w powietrzu... Nie tak dawno widziałem tu innego z państwa przewodników - zdradził Massey.

- Kogo? - zdumiała się Nikki.

- Tego przystojnego młodego mężczyznę, z którym pani do nas przychodziła.

- Juliana?

- Tak. Siedział w tamtym kącie z jakąś damą, więc nie chciałem im przeszkadzać.

Brent przyglądał mu się uważnie.

- Widziałeś może kogoś jeszcze?

- Tak, tę fałszywą Francuzkę. - W głosie Massey'a pobrzmiwał ślad niechęci.

Mitch zrobił wielkie oczy.

- Jaką fałszywą Francuzkę?

- Mówi pan o Madame? - odgadła Nikki. - To wyjątkowo miła osoba, chociaż udaje kogoś, kim nie jest. No i serwuje najlepsze pączki w całym Nowym Orleanie. Był pan kiedyś w jej kawiarni?

- Nie. Moim zdaniem ceny są tam dość wygórowane. - Wskazał w stronę ich stolika. - Chyba przyniesiono państwu jedzenie.

- To pewnie moje zamówienie. - Mitch skinął głową detektywowi. - Do zobaczenia.

Nikki pożegnała się również, lecz Massey zwrócił się do niej:

- Gdyby cokolwiek przyszło pani do głowy w wiadomej sprawie, proszę zadzwonić albo wpaść.

- Dziękuję.

Dopiero gdy usiadła przy stoliku, zorientowała się, że Brent nie poszedł za nimi, tylko zajął miejsce naprzeciw Massey'a i wdał się z nim w rozmowę.

- O czym oni tak gadają? - zdumiał się Mitch.

- Skąd mam wiedzieć?

- Słuchaj, myślisz, że Julianowi udało się poderwać tę dziewczynę z cmentarza?

- Zadajesz mi pytania, na które tak samo jak ty nie znam odpowiedzi. W każdym razie kogoś sobie znalazł.

Mitch nagle z troską ściągnął brwi.

- Ty, jak widać, też... Ty go w ogóle znasz? Chodzi mi o to, że teraz powinnaś być szczególnie ostrożna, rozumiesz. Owszem, gość wygląda w porządku, nic do niego nie mam, ale... ale czy nie dziwi cię na przykład jego zażyłość z tym gliniarzem?

- Nie, nie dziwi mnie. Jest zatrudniony w pewnej instytucji, która czasami współpracuje z policją.

- Tak? Myślałem, że pracuje u nas.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Może oprowadzać wycieczki, a w wolnym czasie robić, co mu się podoba, prawda?

- Hm... - mruknął bez przekonania Mitch, bacznie obserwując tamtych dwóch.

- Przyznaj, po prostu nie podoba ci się fakt pojawienia się kolejnego samca w stadzie - zażartowała Nikki.

- Może... Tak czy siak na wszelki wypadek będę miał na niego oko - oświadczył Mitch tonem starszego brata.

Roześmiała się.

- W porządku, jak chcesz.

Brent wrócił do stolika, nie oferując żadnego wyjaśnienia w kwestii swej rozmowy z Masseyem. Posiedzieli razem jeszcze kilka minut, rozważając pomysł rzucony przez Mitcha, by cała szóstka napisała wspólnie książkę o legendach i duchach Nowego Orleanu.

- Wszyscy tak robią - przekonywał.

- I w tym właśnie problem - zareplikowała Nikki.

- Tak, ale my dołączymy historie, które sami opowiadamy...

- Czyli praktycznie takie same, jakie opowiadają inni - przerwała mu. - Przecież korzystamy z tych samych źródeł i relacjonujemy te same wydarzenia.

Mitch pokręcił głową,

- Po pierwsze, nie wszyscy wiedzą wszystko. Brent dzisiaj wspomniał o paru rzeczach, które nigdy nie obły mi się o uszy. Po drugie, nie na darmo jesteśmy najlepsi, napiszemy to barwniej i lepiej niż pozostali.

- Zaczynaj więc, a potem zobaczymy - zaproponowała.

- Stworzymy coś wyjątkowego, przekonasz się. Moglibyśmy też dodać nasze własne duchy, prawda?

Na przykład Andree... Nikki wstała gwałtownie.

- Naprawdę zrobiło się późno. Pora wracać do domów.
- Musimy jeszcze poprosić o rachunek – przypomniał jej Brent.
- Idźcie, ja zapłacę, zwrócisz mi przy wypłacie – Mitch mrugnął do Nik-

ki.

Przy wyjściu spotkali się z Masseyem, który wyraźnie się spieszył.

- Napadnięto kogoś na Saint Louis Nr 1 – rzucił w przelocie. – Uważajcie na siebie.

Na ulicy Nikki wzięła Brenta pod rękę.

- O czym tak konferowaliście?
- O niczym szczególnym – zbył ją. – Ciekawszy jest fakt, że prawie wszyscy twoi znajomi i współpracownicy szwendają się dzisiejszej nocy po mieście.
- Na przykład my... – podsunęła.
- Mitch, Julian, i ta właścicielka kawiarni – wyliczał w zamyśleniu.
- I detektyw Massey – dodała niecierpliwie. – Do czego właściwie zmierzasz?

- Do niczego. – Rozejrzył się dookoła. – Mówię tylko, że to naprawdę dziwna noc. Tylu żywych nie śpi, poza tym spokój...

Zadrżała, podniosła na niego wzrok.

- Widzisz duchy przez cały czas?
- Nie, nie przez cały. – Zawahał się. – Jednak Nowy Orlean to jedno z tych miejsc... Ale dziś w nocy umarli są spokojni, to żywych nosi. – Wskazał boczną uliczkę. – Skoro idziemy po moje ubrania, musimy skręcić w lewo.

Zaprowadził Nikki do niewielkiego hoteliku mieszczącego się w starym wiktoriańskim domu. Nie rozmawiali już, by nikomu nie przeszkadzać. Cicho weszli do jego pokoju. Nikki przysiadła na łóżku, a Brent wrzucił trochę ubrań do niedużej torby. Wyszli równie bezszelestnie, jak weszli.

Kiedy wracali do niej, niebo powoli zaczęło się rozjaśniać.

- Ciekawe... – mruknął pod nosem Brent.
- Co takiego?
- Twój przyjaciele nie spali, kręcili się po mieście...

Ogarnęło ją złe przeczucie.

- I co z tego? – spytała z ociąganiem.

Brent nie patrzył na nią, tylko przed siebie.

I nie odpowiedział wprost.

- Nie stwierdzono śladów włamania do mieszkania Andy Ciello.
- Rozumiem... Zamordował ją ktoś, kogo znała, tak?

Milczał.

- Nawet nie próbuj podejrzewać nikogo z mojej grupy – ostrzegła.
- Nie denerwuj się. Kiedy człowiek szuka rozwiązania jakiejś zagadki, najpierw musi odsiać to, co absolutnie niemożliwe. Potem przygląda się temu, co zostało, bo tam kryje się odpowiedź, choćby wydawało się to nieprawdopodobne.

Odsunęła się od Brenta, obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- To najpierw wykonaj pierwszą część roboty. Podobno duchy nie istnieją – skwitowała i oddaliła się szybkim krokiem.

Nie miała wątpliwości, co to wszystko oznacza. Zaczynał się koszmar wzajemnej nieufności, podejrzeń, strachu... Po raz pierwszy w życiu zapragnęła gorąco, by jutro nigdy nie nadeszło.

Kiedy znaleźli się w jej mieszkaniu, odwróciła się do Brenta, ściągnęła mu torbę z ramienia, rzuciła na podłogę.

- Klócić się możemy potem – oznajmiła nieco drżącym głosem. – Ale teraz udawajmy, że nie ma żadnych duchów i że ich nie widzimy. I nie rozmawiajmy o niczym... nieprzyjemnym. Proszę Cię.

Dotknęła jego policzka delikatnym, niemal błagalnym gestem.

Uniósł dłoń, przycisnął jej palce do swojej twarzy.

Sekundę później Nikki znalazła się w jego ramionach.

Porozrzucone ubrania znaczyły ich drogę do sypialni, do której weszli już zupełnie nadzy. Padli na łóżko. Nad Nowym Orleanem wzeszło słońce i nowy dzień zaczął się na dobre, ale na szczęście zasłony były zaciągnięte i Nikki mogła udawać, że ta dziwna noc jeszcze się nie skończyła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nikki i Brent zjawili się w „Madame D'Orso” o wpół do dziesiątej. W kawiarni zastali już Mitcha. Patricia z Nathanem dołączyli do nich kilka minut później, wreszcie na końcu zjawił się Julian.

- Gorąca noc, co? – zagadnął go z miejsca Mitch.

- Słucham?

- Wiemy, że byłeś z jakąś babką w barze „U Maxie”.

Julian gapił się na niego przez chwilę, wreszcie aż pokręcił głową.

- O rany, ale to miasto jest małe!

- My z Brentem też tam wpadliśmy, tylko trochę później – dodała Nikki.

- A potem zajął tam również Mitch – dokończył Brent.
- Zdradź, co to za jedna – nagabywała Patricia.

Julian uśmiechnął się tylko.

- Czy to ta dziewczyna, którą poznaliśmy wczoraj na cmentarzu Lafayette? – zaciekała się Nikki.

- Tak, i jestem ci ogromnie wdzięczny, bo gdyby nie ty, nie spotkałbym jej. – Popatrzył na przyjaciółkę błagalnie. – Słuchaj, czy ty i Brent moglibyście wziąć dzisiaj pierwszą turę i cmentarz Lafayette? Patricia i Nathan zrobiliby potem Saint Louis, a ja bym dołączył do Mitcha na wieczorny spacer po Vieux Carré. Zgodzilibyście się wszyscy na taki układ?

Mitch domyślnie pokiwał głową.

- Kolejna gorąca randka, tym razem popołudniowa?

Nikki uśmiechnęła się do Juliana, a obserwujący ją Brent pomyślał, że od porannego powrotu do mieszkania zachowywała się, jakby zapomniała o wszystkim, co się wydarzyło. Wyglądała promiennie, sprawiała wrażenie ożywionej, kwitnącej.

Pojawiła się Madame, jak zwykle z nieodłącznym dzbankiem kawy.

- Dzień dobry, moi drodzy. Może komuś dolać?
- Ja poproszę – zgłosiła się Nikki.
- I ja – rzekł Brent. – Dziękuję. Ostatniej nocy długo pani bawiła na mieście, Madame.

Uniosła brwi.

- Coś takiego! Skąd wicie takie rzeczy?
- Widział panią nasz znajomy policjant – wyjaśniła Nikki.

Madame roześmiała się.

- Proszę, jak nas pilnuje! Mam nadzieję, że zajmował się również trochę poważniejszymi sprawami, a nie tylko śledzeniem ludzi, którzy nie mogli spać i włóczyli się po mieście. Jakaś dziwna była ta ostatnia noc, nie wiem, czy też to zauważyliście.

- Nie powinna pani chodzić sama po ulicach o tak późnej porze – zawyrokował stanowczo Julian.

- Daj spokój, dziecko, znam to miasto jak własną kieszeń. Wiem, które miejsca są bezpieczne, a które nie.

Wszyscy pomyśleli nagle, że własne mieszkanie też wydawało się Andrei najbezpieczniejszym miejscem na świecie. Ku wielkiemu zatroskaniu Brenta Nikki zbladła jak ściana.

- Rozumiem, ale niech pani będzie ostrożna – poprosił Julian.

- Będę, obiecuję. I dziękuję za troskę. Zresztą zawsze mam przy sobie gaz pieprzowy, nic mi się nie stanie. - Nagle spojrzała w stronę wejścia.

- Wielkie nieba, senator Harold Grant przyszedł do mnie na kawę! - Wyglądała na zadowoloną. - Oj, coś zmizerniał, pewnie myśli, że jednak przegra z tym pętakiem Banksem.

Brent odwrócił się, by przyjrzeć się dotychczasowemu senatorowi Luizjany. Miał koło sześćdziesiątki, był solidnej budowy, wysoki, krzepki, o gęstych stalowoszarych włosach. Wiedzano, że do swoich obowiązków podchodził z ogromną powagą, na której mu nie zbywało - w odróżnieniu od poczucia humoru i osobistego wdzięku. Tymi z kolei mógł poszczycić się jego rywal.

- Dziś po południu odbędzie się publiczna debata obu kandydatów na placu Jacksona - powiedziała Madame. - Na pewno w okolicy zaroi się od policji, dziennikarzy, turystów, gapiów, a to oznacza duży ruch u nas. - Pożegnała ich skinieniem dłoni i pospieszyła do środka.

W tym momencie odezwał się telefon komórkowy Brenta. Spojrzał na wszystkich przepaszając i odebrał połączenie.

- Blackhawk, słucham.

- Tu Massey. Możesz wpaść do nas na chwilę?

- Jasne. Coś się dzieje?

- Po prostu wpadnij jak najszybciej.

- Zaraz będę. - Schował telefon i zwrócił się do Nikki: - Zaczynamy na Lafayette o dwunastej, prawda?

Przytaknęła, przyglądając mu się z lekko ściągniętymi brwiami.

- Czy moglibyście zostać z nią do tej pory i odprowadzić na miejsce zbiórki? - spytał Patricję i Nathana.

- Dam sobie radę, w końcu jest biały dzień i wszędzie dookoła pełno turystów - zaprotestowała Nikki. - Na brak policji na ulicach też nie będzie można narzekać, słyszałeś przecież, co powiedziała Madame.

- Z przyjemnością dotrzymany jej towarzystwa i odstawimy na miejsce - zapewniła Brenta Patricia.

- Możemy nawet zostać na czas wycieczki - zaoferował Nathan.

- Naprawdę nie wydaje mi się to konieczne - upierała się Nikki.

- To świetnie, nie odstępujcie jej ani na krok - powiedział Brent, jakby nie słyszał jej słów. Wstał od stołu.

- Kiedy ja nie potrzebuję niańki - nalegała.

- Każdy z nas kogoś potrzebuje - uciał Brent. - Proszę, pozwól swoim przyjaciółom czuwać nad tobą.

Uniosła dłonie w geście poddania.

- Mamy jeszcze prawie dwie godziny - zauważyła Patricia. - Może chodźmy wszyscy do sklepu Hrabiny Moodoo Hoodoo Voodoo?

- Po co? - spytała niechętnie Nikki, która wolałaby nie odwiedzać miejsca, w którym była z Andy tuż przed jej śmiercią.

- Myślałem, że ją lubisz - zdziwił się Julian. - Co ci szkodzi kupić u niej jakiś amulet, obrócić się dookoła trzy razy i siarczyście splunąć? Nie lekceważ obrzędów wudu.

- Idź z nimi, to dobry pomysł - poradził Brent, po czym uspokojony, że zostawia ją pod dobrą opieką, pospieszył na policję.

Przy wejściu ktoś go zawołał. Gdy się odwrócił, ujrzał Maseya czekającego w samochodzie. Detektyw wskazał gestem, by Brent wsiadł do środka, potem włączył silnik i ruszył.

- Dokąd jedziemy? - spytał Brent.

- Do szpitala. Pamiętasz, jak wezwano mnie w nocy na Saint Louis Nr 1?

- Tak.

- Zaatakowano tam pewną dziewczynę, Marie McManus. Poprosiła, żebyśmy skontaktowali się z tobą. - Usłyszawszy cichy jęk Brenta, dodał: - Rozumiem, że ją znasz?

- Spotkaliśmy się wczoraj, była w grupie, którą oprowadzałem po cmentarzu. Nie mam pojęcia, co tam robiła po nocy, przecież wszyscy wiedzą, że takie wyprawy są niezwykle niebezpieczne.

- Widać nie wszyscy... Jedna z jej przyjaciółek miała książkę o wywoływaniu duchów, więc ta dziewczyna postanowiła odprawić stosowny rytuał i poprosić duchy niewolników o przebaczenie w imieniu swojego przodka.

Brent potrząsnął głową.

- Czy ludzie nigdy nie zmądrzeją? - spytał na poły ze smutkiem, na poły z gniewem. - W jakim ona jest stanie?

- Na szczęście nie najgorszym. Dostała w głowę czymś twardym i straciła przytomność, w powietrzu zaczęły latać kamienie. Przyjaciółki zdołały przejść przez bramę, wołały o pomoc, usłyszał je patrol. Poszkodowaną zabrano do szpitala i zatrzymano na dwudziestoczwierogodzinną obserwację, podejrzewając wstrząśnienie mózgu. Ma trochę sińców i skaleczeń, założono jej szwy. Nie potrafi nam nic powiedzieć, napastnik musiał zakraść się od tyłu. Ale koniecznie chciała widzieć się z tobą.

- Ja też chętnie zobaczę się z nią...

Marie McManus leżała sama w malutkiej Sali, posiniaczona i wyraźnie przestraszona. Bez makijażu wyglądała jeszcze młodziej.

- Dzięki, że pan przyszedł - powiedziała na widok Brenta.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby pętać się po nocy po cmentarzu? - spytał bez żadnych wstępów. - Chyba coś mówiłem na ten temat, prawda?

Zaczerwieniła się, spuściła wzrok.

- Przecież nie chcieliśmy zrobić nic złego, nie jesteśmy wandalami... Ja... kupiłam w sklepie wudu świeczki, trochę ziół i srebrny krzyżyk i poszłam odprawić modły, a to trzeba robić w nocy. Nie zajęłoby nam to dłużej niż kwadrans, więc pomyślałyśmy, że niczym nie ryzykujemy. Ale ktoś zaczął rzucać w nas kamieniami, ja dostałam w głowę i ocknęłam się dopiero w szpitalu.

Brent i Massey wymienili spojrzenia.

- Marie, masz wielkie szczęście, że żyjesz.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - wymamrotała cichutko i zerknęła na detektywa. - Ten pan powiedział mi, że znalezienie sprawców jest mało prawdopodobne.

- To prawda. Nie rozumiem jednak, czemu chciałaś widzieć się ze mną. Skoro policja może niewiele zdziałać w tej sprawie, to jak ja mam pomóc?

Zaczęła skubać palcami brzeg kołdry.

- Tak naprawdę, to ja chciałam... Czuję, że powinnam pana przeprosić.

Z westchnieniem potrząsała głową.

- Marie, nie potrzebuję twoich przeprosin, bo mnie nic się nie stało. To raczej tobie należałyby się przeprosiny ze strony tego, kto cię tak urządził... A na przyszłość trzymaj się z dala od odludnych miejsc, dobrze?

Posłusznie skinęła głową.

- Podobno ma pan jakieś wiadomości o moim przodku. Archibaldzie McManusie. Mogłabym je od pana dostać?

- Pewnie dowiesz się więcej, gdy sama pójdziesz do biblioteki miejskiej i powiesz, że chodzi o twoją rodzinę, ale oczywiście podrzucę ci to, co mam. Postaram się jeszcze dzisiaj znów cię odwiedzić.

- Nie, tu jest okropnie, może lepiej wpadnie pan do nas do pensjonatu, co? - poprosiła. - Zatrzymałyśmy się z Josie i Sarah w takim ładnym domu w Dzielnicy Francuskiej. Wczoraj wieczorem dałam panu adres.

- W porządku, wpadnę. Za to ty dasz mi słowo, że będziesz chodzić na nowoorleańskie cmentarze, a zwłaszcza ten, wyłącznie za dnia i w towarzystwie.

- Słowo – rzekła z powagą.

Obaj z Masseyem życzyli jej zdrowia, pożegnali się i opuścili szpital.

- Ofiara jak zwykle nic nie widziała i bądź tu człowieku mądry – gderał Massey. – Dobra, gdzie cię podzucić?

Brent sprawdził godzinę. Nie zostało mu zbyt wiele czasu, lecz z Saint Louis Nr 1 na Lafayette nie było daleko, wystarczyło wskoczyć do tramwaju, by w parę minut znaleźć się na miejscu.

- Na cmentarz, na którym ją zaatakowano.

- Wszystko już sprawdziliśmy, nic tam nie ma, naprawdę.

- Nie wątpię, że sprawdziliście. Po prostu powinienem tam zajrzeć.

- I poprosić o pomoc któregoś z twoich niewidzialnych kumpli?

Brent zerknął na niego z ukosa. Nie wiedział, czy Massey zwyczajnie pokpiwał sobie z niego, czy niepowodzenia kolejnych śledztw doprowadziły go do stanu, w którym był gotów zaaprobować niekonwencjonalne metody działania.

Kilka minut później Brent wchodził na cmentarz, na terenie którego znajdowało się kilka wycieczek, na szczęście zainteresowanie turystów skupiało się na grobie Marie Laveau, najsłynniejszej kapłanki wudu. Palono przy nim świece, znoszono różne rzeczy, rysowano na ścianach trzy krzyżyki, a wszystko to miało zapewnić spełnienie życzeń. Brent udał się w rzadziej uczęszczany kąt cmentarza, gdzie znajdowały się mniej okazałe groby, sprawdził, czy nikogo nie ma w zasięgu słuchu i powiedział cicho, lecz z furją w głosie:

- Huey, rusz tę swoją żalowaną dupę i pokaż mi się natychmiast.

Chwilę później pojawiło się przed nim szarawe widmo, niezbyt dobrze widoczne w ostrych promieniach stojącego w zenicie słońca.

- Moją żalowaną dupę? A kim ty jesteś, żeby tak do mnie mówić, czerwona skóra?

- Huey, zrobiłeś tej dziewczynie krzywdę – wysyczał Brent.

- Czego się mnie czepiasz, Indiańcu? – spytał dawny niewolnik agresywnym tonem, zdradzając tym samym, że ma nieczyste sumienie.

- Słuchaj, stałeś się bardzo silny przez te wszystkie lata. Jeszcze nigdy nie widziałem ducha, który potrafiłby tyle, co ty, ale musisz...

- Żadnego „ducha”, my teraz jesteśmy „ciała astralne”. – Huey zachichotał. – Tak gadał jeden z tych mądrali, którzy oprowadzają wycieczki.

- Nie udawaj nagle takiego wrażliwego na nazewnictwo. Ciało astralne?
- zirytował się Brent. - Kto przez cały czas uparcie nazywa mnie Indiańcem?

- Przeszkadza ci to?

- Nie. Jedyne, co mnie naprawdę wkurza, to przemoc. Nienawidzę jej.
Czemu skrzywdziłeś tę dziewczynę?

- To nie ja. Słowo. Jeśli ją trafiłem, to niechcący.

- Aha. Niechcący rzucałeś w nią kamieniami. - Głos Brenta ociekał ironią.

- Nie, rzucałem w tych, którzy łażą tu po nocy. Ciemne, podejrzane typy, naprawdę złe nasienie, mówię ci.

- Co to za jedni?

Huey wykonał przejrzystą ręką nieco nieokreślony gest.

- Ćpuny. I nie tylko. Ci, którzy im sprzedają, żadnego szacunku dla grobów, dla zmarłych. Dla żywych też. A te panny... - Potrząsnął głową z dezaprobatą. - Głupie to jak nieboskie stworzenie. Po co przyłaziły tu po nocy? To nie jest miejsce dla panienek, mają szczęście, że tamci ich nie zabili.

- Muszę się dowiedzieć, kim są ci ludzie, o których mówisz, ci, którzy rozprawdzają narkotyki. Gdyby dało się ich dopaść na gorącym uczynku i wyłapać, miałbyś więcej spokoju.

Huey bezradnie wzruszył ramionami.

- Niektórych widziałem, ale jak miałbym ci ich pokazać? Chyba że przyszliby tu z tą waszą wycieczką. A ci najgorsi mają naciągnięte takie ciemne maski...

- Kominiarki?

- Tak. Upał, że kamienie się gotują, a oni paradują w wełnianych kominiarkach.

- Zjawiają się co noc?

- Nie. Trudno zgadnąć, kiedy znowu wróca. Ale pojawiają się ponownie, bo to już trochę trwa.

- Jak długo? - indagował Brent.

- Ładnych kilka tygodni. Nie wiem, kiedy będzie następny raz.

- Dzięki za wszystkie informacje, muszę już iść, wpadnę w nocy. Powiedz mi tylko, co z tym agentem FBI, Tomem Garfieldem? Znalazłeś go już?

Huey potrząsnął głową.

- Może go nawet i widziałem, tylko skąd niby mam wiedzieć, że to on? Co ty myślisz? Że zmarli znają się po imieniu? Ty chyba też nie przedstawiasz się każdemu, kogo spotkasz na ulicy, co?

- Huey, spróbuj mi pomóc, proszę, to naprawdę bardzo ważne.
- W porządku, niech ci będzie, postaram się.
- Aha, tak na odchodnym zdradzę ci, że ta dziewczyna przyszła odprawić modły za ciebie.

- Nadal mi nie wierzysz, że nic jej nie zrobiłem? Bóg mi świadkiem! Ja chyba nawet jej pomogłem, bo rzucałem w tych drani.

- Porządny z ciebie gość, Huey.

Duch tylko prychnął.

- Ale ona to i tak nic dobrego, płynie w niej krew McManusa – stwierdził nieprzejednanym tonem.

- To przecież nie jej wina – tłumaczył Brent. – Dobra, muszę lecieć. Powiem policji, żeby obstawili cmentarz i wyłapali tych narkomanów i dealerów.

Huey przekrzywił głowę, przyglądając mu się z powątpiewaniem.

- Ja bym tego nie robił. Chcesz złowić ptaszki, to ich nie płosz. Zobaczą policję i pofruną gdzie indziej, szukaj wtedy wiatru w polu! W Nowym Orleanie jest dość miejsc, gdzie można się schować.

- Masz rację, dzięki za radę.

Zza rogu alejki wyłonił się przewodnik prowadzący wycieczkę, a Huey rozpłynął się w powietrzu. Brent wyminął turystów, wyszedł z cmentarza i omal nie wpadł na człowieka skręcającego właśnie w bramę. Rozpoznał go z miejsca, chociaż agent wyglądał zupełnie inaczej niż poprzednio.

W bejsbolowej czapeczce, okularach przeciwsłonecznych o modnym kształcie, kolorowej koszuli i dżinsach Haggerty sprawiał wrażenie typowego turysty. Na widok Brenta zaklął soczyście, po czym warknął przez zaciśnięte zęby:

- Co ty tu robisz, do cholery?

- Odwiedzam cmentarz.

Rozjuszony tą odpowiedzią Haggerty zbliżył twarz do twarzy Brenta i wyszczał:

- Słuchaj no, kretynie, możesz mi schrzanić sprawę. Zawsze pracuję sam i trzymam się z dala od innych, rozumiesz? Niejeden już zginął przez własną głupotę i brak ostrożności. Dlatego przestań mi w kółko wlaźć pod nogi, nie chcę cię więcej widzieć, jasne? I nie zdradź się przed nikim, że mnie w ogóle znasz. – Sapnął, wyminął Brenta i wszedł na cmentarz.

A jednak Massey i Joulette mieli rację, pomyślał z irytacją Brent. Ten facet faktycznie jest koszmarnym dupkiem. Zanim podejmę się kolejnego zadania,

każę sprawdzić Adamowi, czy sprawą nie zajmuje się również niejaki Haggerty z FBI, pomyślał rozeźlony. Jeśli tak, to umyję od tego ręce...

Podbiegł do tramwaju, by pojechać na Lafayette Nr 1. Kiedy spojrział na zegarek, odkrył ze zdziwieniem, że jest dopiero wpół do dwunastej. Zawahał się. Cóż, w takim razie może złożyć jeszcze jedną wizytę, tym razem bolesną.

- Na kogo głosujesz, Mitch? Oczywiście, o ile my na Południu przyznamy Jankesom prawo głosu - zażartowała Patricia. - Możesz w ogóle głosować?

Mitch przewrócił oczami.

- Pewnie, przecież tu mieszkam.

- No to kogo wybierzesz?

- O rany, nie wiem! Z jednej strony mamy starego łgarza, a z drugiej - młodego.

- Zabrzmiało to cokolwiek cynicznie - skomentowała Nikki.

Szli sobie spacerkiem do sklepu hrabiny, obserwując, jak ludzie zmierzają w stronę placu Jacksona, by zająć dogodne miejsca. Na każdym rogu nad porządkiem czuwali policjanci.

- A znasz polityka, który po wygranych wyborach wywiązał się ze wszystkich obietnic?

- Przecież wiesz, że łatwiej je składać, niż ich dotrzymać.

- Właśnie o tym mówię! Brakuje nam uczciwych polityków. Gdybym to ja startował w wyborach, nie udawałbym przed ludźmi, że mogę zmienić wszystko na lepsze, tylko przedstawiłbym im realny program i plan konkretnych działań, żadnych kłamstw.

Wybuchnęła śmiechem.

- Gdybyś się przyznał, że nie możesz rozwiązać wszystkich problemów, pewnie nikt by na ciebie nie głosował!

Przystanęli na chwilę przed słupem ogłoszeniowym, z którego spoglądała na nich uśmiechnięta twarz charyzmatycznego Billy'ego Banksa.

Mitch po przyjacielsku objął Nikki.

- Przystojniak, nie? Założę się, że będziesz na niego głosować.

- Ale ty masz o mnie zdanie! - zbeształa go. - Będę głosować na lepszego.

- A który z nich jest lepszy?

Wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie wiem - przyznała.

- Zostawmy na chwilę politykę, widzę już sklep, chodźmy – ponagliła ich Patricia.

Kiedy znaleźli się przed wejściem, Nikki dostrzegła kątem oka coś, co każało jej przystanąć. Nie pojmowała, o co właściwie chodzi. Rozejrzała się, lecz nie zauważyła nic szczególnego. Ot, tłum turystów, kilku biznesmenów w garniturach... Musiało jej się coś wydawać. Weszła do sklepu.

Wewnątrz zaczęli ze śmiechem przebierać w eliksirach miłosnych, odcytując na głos etykiety z opisem działania, zaś Nikki udała się w głąb sklepu, gdzie znajdował się regał z książkami i najróżniejszymi obiektami związanymi z obrzędami wudu. Czuła się dziwnie spięta, żałowała, że w ogóle tu przyszli. By zapomnieć o okolicznościach poprzedniej wizyty, sięgnęła pojedną z książek i zaczęła ją przeglądać.

Po jakimś czasie wyczuli, że ktoś się do niej zbliża i staje za nią. Obróciła się powoli, obawiając się zobaczyć osobę, której normalny człowiek nie ma prawa widzieć. Jeśli ujrzy Andy, niechybnie zacznie krzyczeć, może nawet zemdleje i koniec końców zostanie odstawiona do szpitala psychiatrycznego.

Na szczęście była to tylko hrabina. Jej niesamowite oczy przypatrywały się Nikki z dużym niepokojem.

- Ona umarła, prawda? Twojej przyjaciółki nie ma już między żywymi.

- Tak, umarła. A pani wiedziała, że tak się stanie – rzekła Nikki oskarżycielskim tonem.

Wróżka potrząsnęła głową.

- Ja tylko zobaczyłam wokół niej bardzo ciemną aurę, złą aurę, oznaczającą wielkie niebezpieczeństwo. To nie musiała być od razu śmierć. Ale twoja przyjaciółka nie zginęła z własnej ręki.

- Nie, chociaż wiele osób uważa inaczej.

- Ja cię nie pytałam, tylko stwierdziłam fakt.

Nikki westchnęła, jej twarz pobladła i ściągnęła się boleśnie.

- A nie wie pani przypadkiem, kto to mógł zrobić?

- Nie, ale wiem...

- Nikki, musimy już iść! – zawołała od drzwi Patricia.

- Zaraz! – odkrzyknęła i ponownie zwróciła się do hrabiny: – Co pani wie? Proszę mi powiedzieć.

Wróżka zawahała się. Zajrzała Nikki w oczy z ogromną powagą.

- Jesteś w niebezpieczeństwie. Takim samym jak ona. Otacza cię taka sama aura. Fioletowa, czyli zwiastująca zło.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Brent wszedł na teren cmentarza, rozejrzał się. Dostrzegł więcej umarłych niż żywych. Część z nich, wiedząc, że on ich widzi, pozdrawiała go skinieniem głowy lub dłoni, część go ignorowała. Jedne duchy siedziały smętnie na płytach grobowców, apatyczne i ponure, inne wydawały się zdeterminowane i gniewne, zaprzątnięte załatwianiem swoich spraw.

Ale jej nie było wśród nich.

Ani teraz, ani nigdy przedtem. Odeszła przed wieloma laty.

Ruszył w kierunku grobu, zauważając kątem oka, że turyści, których miał poprowadzić, powoli zaczynają zbierać się przy bramie. Miał jednak czas.

Stanął przy prostym sarkofagu, zawsze czystym i pięknie utrzymanym, ponieważ Brent zadbał o stałą opiekę nad grobem. U wezgłowia wiecznego łoża Tani stał smutny anioł ze zwieszoną głową, a na kamiennej płycie widniało nazwisko, data urodzin i śmierci oraz krótki napis: „Najukochańsza Córka i Żona”.

Brent również pochylił głowę, próbując odnaleźć w sercu spokój. Przecież sprawiedliwości stało się zadość, zabójca dostał dożywocie. Wtedy Brentowi było tego mało, chciał, by sędzia orzekł karę śmierci, w Luizjanie wciąż ją wykonywano, chociaż w niektórych stanach została zniesiona lub obowiązywało na nią moratorium. Nie zasądzono jej jednak, ponieważ sprawca nie dokonał morderstwa z premedytacją. Tania zginęła od przypadkowej kuli. Znalazła się w niewłaściwym momencie w niewłaściwym miejscu.

Jej zabójca wkrótce potem zmarł, współwięzień poderzwał mu gardło, a ponieważ zrobił to niewprawnie, tamten konał długo i w potwornych męczarniach.

Dopiero wtedy Brent zrozumiał, że żadna kara, choćby najostrzejsza, nie jest w stanie złagodzić poczucia bólu i straty. Świadomość istnienia życia po śmierci też mu nie pomagała, ponieważ w żaden sposób nie leczyła tęsknoty za ukochaną osobą.

Boże, jak on ją kochał... Jej śmiech, blask oczu, dźwięk głosu, jej charakter, sposób bycia. Była pogodna, lubiła żartować, a nawet droczyć się z nim, ale kiedy wymagała tego sytuacja, potrafiła w paru słowach powiedzieć coś głębokiego i mądrego. Nigdy nikogo nie osądzała. Rzadki dar.

Brent położył dłoń na kamiennej płycie, pod którą spoczywały tylko dočasne szczątki. Czy to nie ironia losu, że człowiek, który widział duchy i

rozmawiał z nimi, nie mógł zobaczyć zmarłej żony? Odeszła od razu, podczas gdy on tak bardzo pragnął, by została. Z jednej strony żałował, a z drugiej wiedział, że ona jest szczęśliwa. Jeśli w ogóle ktokolwiek zasługiwał na nagrodę na tamtym świecie, to właśnie Tania.

A mimo to...

Tyle dusz zostawało na ziemi, ociągało się z wyruszeniem w dalszą podróż, czasem nawet nie wiedziały, co je trzyma i jak można im pomóc. To jednak nie był przypadek Tani. Oczywiście cieszył się z tego, że względu na nią, ale jeśli chodzi o niego...

Od dziesięciu lat snuł się po świecie sam jak ten duch, zagubiony i samotny, błądząc dawnego siebie. Tylko chwilami się ożywiał, kiedy mógł komuś pomóc. Wtedy czuł, że jego życie ma jeszcze jakiś sens.

Pogładził zimną płytę.

Gdybym mógł cię dotknąć, pomyślał ze smutkiem.

Ale nigdy nie było mu to dane. Tak samo jak po tamtej pamiętnej nocy w dzieciństwie nigdy więcej nie doświadczył pocałunku zmarłych rodziców.

Czas jednak leczył rany, bolesna szrama zasklepiła się i w końcu w sercu Brenta pozostał jedynie osad smutku, który, o czym był przekonany, będzie mu towarzyszył już zawsze. Przeszłość odsuwała się od niego coraz dalej, a może to raczej on się od niej odsuwał. Nagle poczuł się winny wobec Tani, co dotąd mu się nie zdarzyło. Po raz pierwszy od jej śmierci był naprawdę szczęśliwy z inną kobietą. Śmiał się z nią, żartował i znów czuł się pełen życia. Sama obecność Nikki elektryzowała go, od pierwszej chwili zrodziła się między nimi więź, coś podobnego nie przydarzyło mu się nawet z Tanią.

Trwał tak przed grobem, zapomniawszy o otaczającej go rzeczywistości, pogrążony w myślach. Naraz coś wyrwało go z odrętwienia i od razu wiedział, że to właśnie obecność kobiety, dzięki której wszystko się zmieniło. Odgadł to, nim jeszcze Nikki odchrząknęła dyskretnie za jego plecami. Odwrócił się.

Była trochę blada, wyglądała jednocześnie na zdenerwowaną i pełną współczucia.

- To twoja żona? - spytała cicho.

Bez słowa skinął głową.

- Tak mi przykro. - Zawahała się. - Właściwie... właściwie mogłeś mi powiedzieć, że miałaś żonę i że jest tu pochowana.

- Nie zauważyłaś nigdy tego grobu?

- Nie przyglądałam się, bo jest... nowy, a my opowiadamy zazwyczaj o ludziach, którzy odeszli dawno temu. - Zadrżała, gdyż nagle coś sobie uświadomiła. Oczy jej się rozszerzyły. - Czy ty... Czy ona... - wyjąkała.

- Czy ona tu jest? Czy widzę ją, jak ty widzisz Andy?

Skinęła głową.

- Nie. Odeszła od razu, nigdy jej tu nie było. Tu spoczywa tylko jej ciało. Nikki odsunęła się i stanęła po przeciwnej stronie grobu, jakby czuła, że wymagał tego szacunek dla zmarłej.

- Jak to się stało? - spytała ostrożnie.

- Trafiła ją przypadkowa kula podczas ulicznej strzelaniny.

- Och... Tym bardziej dziwne, że nie została. Okropna śmierć. I w takim młodym wieku...

- Ona nie potrafiła czuć do nikogo żalu, więc nic jej tu nie trzymało. Była pełna życia, wiary i wewnętrznego spokoju. Cokolwiek czekało na nią po drugiej stronie, poszła tam bez wahania. Polubiłabyś ją. Ona ciebie też.

Nikki z zakłopotaniem skinęła głową, odwróciła wzrok.

- Czy to... Czy to po jej śmierci zacząłeś widywać duchy?

Potrząsnął głową.

- Nie, widzę je od dziecka. Odkąd umarli moi rodzice.

Drgnęła. Nagle zrozumiała, że przecież ona, także wcześniej osierocona, miała podobny dar, tylko pozostający jakby w uśpieniu. Przez te wszystkie lata przeczuwała to i dopiero po śmierci Andy zaczęła naprawdę widzieć i słyszeć tych, którzy odeszli.

Brent uśmiechnął się lekko.

- Hej, czy my przypadkiem nie powinniśmy iść do roboty?

Oprzytomniała.

- A tak, rzeczywiście. Ale może wolisz, żebym to ja prowadziła? Jak ty się właściwie czujesz?

- W porządku. Moja żona zginęła dziesięć lat temu. A jak ty się czujesz?

- Też w porządku - zapewniła, lecz coś w jej głosie kazało mu zważyć w szczerść tych słów.

- Widziałaś znowu Andy?

- Nie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie zdziwię się jednak, jeśli niedługo ją zobaczę, to chyba... to chyba jedno z jej miejsc.

Andy jednak nie pokazała się, a wycieczka przebiegła bez żadnych niespodzianek. Zdziwiło to Nikki, która od rozmowy z hrabiną podświadomie spodziewała się jakichś dramatycznych wydarzeń. Nie wspomniała nikomu o ostrzeżeniu wróżki, ponieważ już i tak mieli ją za trochę nie zrównoważoną. Brentowi też nie bardzo chciała o tym mówić, zwłaszcza od momentu, gdy zobaczyła go pograżonego w rozmyślaniach przy grobie żony.

Po zakończeniu wycieczki wszyscy wrócili do Dzielnicy Francuskiej, ustalając po drodze, że tego dnia Brent weźmie razem z Mitchem grupę wieczorną, by Julian miał wolne.

- Dziś go oczywiście zastąpię, ale nie zawsze będę do dyspozycji - ostrzegł ich Brent.

Nathan łypnął na niego podejrzliwie.

- Masz jakieś inne zobowiązania?
- Miewam.

Przez chwile mierzyli się wzrokiem, potem Nathan odwrócił spojrzenie.

- Dobra, najważniejsze, żebyś zastąpił go dzisiaj - rzekł.
- Pora na trochę miłości w życiu Juliana - zaśmiała się Patricia i poszła wraz z Nathanem poprowadzić następną wycieczkę.

Mitch spytał, czy Nikki i Brent nie mieliby nic przeciw temu, gdyby przyłączył się do nich na czas obiadu. Nie mieli. Szczególnie Nikki była zadowolona z jego towarzystwa, ponieważ przebywanie w obecności samego Brenta zaczęło wprawiać ją w zakłopotanie. Nawet przez moment nie podejrzewała, że jest wdowcem, więc kiedy podeszła do niego na cmentarzu i zorientowała się w sytuacji, poczuła się jak intruz.

Zdecydowali się na kuchnię włoską, znaleźli niewielką, przyjemną restaurację. Jedzenie było wyśmienite, obsługa bez zarzutu, popołudnie przebiegło w miłej atmosferze. Kiedy po obiedzie czekali na kawę, Brent położył dłoń na kolanie Nikki. Spojrzała na niego niepewnie, a ujrawszy uspokajający uśmiech, zrozumiała, że on odgadł przyczynę jej skrępowania i pragnął, by znów czuli się swobodnie w swoim towarzystwie.

Odpowiedziała uśmiechem i przykryła jego dłoń swoją.

Przyniesiono im kawę, na każdym spodeczku leżała czekoladka w ciemnofioletowym papierku. Na widok tego koloru Nikki natychmiast przypomniało się ostrzeżenie wróżki. Czy naprawdę groziło jej to samo co Andy? Czy powinna przejmować się jakimiś mglistymi przepowiedniami? Ona, która zawsze twardo stąpała po ziemi?

Jednak ta stara kobieta naprawdę widziała więcej niż zwykli śmiertelnicy...

W tej sytuacji Nikki musiała przestać bać się duchów. Powinna jak najszybciej porozmawiać z Andy, dowiedzieć się, co dokładnie przydarzyło się przyjaciółce. Może dzięki temu uniknie podobnego losu.

Mitch dopił kawę i z błogim westchnieniem oparł się wygodniej.

– Wiecie co? Ja chyba powinienem być diabelnie bogaty. Lubie oprowadzać wycieczki, ale zupełnie by mi nie przeszkadzało, gdybym nie musiał pracować. Siedziałbym sobie przez cały dzień na werandzie i sącył drinki. Koniecznie z listkami świeżej mięty, żeby było bardziej elegancko.

Nikki roześmiała się.

– Przecież ty nie lubisz mięty.

– Nie, ale gdybym był bogaty, tobym się przyzwyczył.

– Ponieważ żadne z nas nie jest diabelnie bogate... – Nagle zerknęła na Brenta. – Bo ty chyba też nie, prawda?

Rozłożył ręce.

– Przykro mi.

– W takim razie musimy wracać do pracy – skwitowała Nikki.

Kiedy przybyli na miejsce zbiórki, ze zdumieniem ujrzeni pod kawiarnią kłębiący się tłum.

– Wiedziałem, że jesteśmy popularni, ale żeby aż tak bardzo? – mruknął Mitch.

– To nie my, to jakiś polityk ich tu przyciągnął – skorygował Brent, zerknąwszy ponad głowami ludzi.

Nikki wspięła się na palce i przez oszklone drzwi zobaczyła siedzącego przy jednym ze stolików Billy'ego Banksa, który z uśmiechem odpowiadał na pytania otaczających go ludzi i rozdawał autografy. Stojąca za ladą Madame aż pokraśniała z dumy, że kandydat na senatora zawitał właśnie do jej lokalu.

– On ma naprawdę spore szanse – skomentowała Nikki. – Jest młody, rzutki, energiczny, łatwo zjednuje sobie sympatię.

– Znasz jego program? – zainteresował się Brent.

– Jego priorytetem jest walka z przestępczością, ale pod tym względem wcale nie różni się od Harolda Granta. W takim razie po co wymieniać jednego na drugiego? – zamyśliła się na głos. – Grant nie jest chyba taki zły. Z drugiej strony mogę być odrobinę uprzedzona do Billy'ego Banksa, bo nie podobają mi się jego imię i nazwisko.

- A według mnie jesteś w głębi duszy bardzo konserwatywna - zawyro-
kował Mitch.

Potrząsnęła głową.

- Nie sędzę. Nigdy nie sugeruję się przynależnością partyjną, tylko gło-
suję na konkretną osobę. W tym przypadku...

- Przepraszam bardzo - odezwał się za nimi nieco nieśmiały głos.

Odwrócili się i ujrzeli ładną kobietę z trójką nastoletnich dzieci.

- Czy państwo może też na wycieczkę po Dzielnicy Francuskiej?

- Tak, jesteśmy przewodnikami. - Nikki wskazała najpierw na Mitcha, a
potem na Brenta. - Ten pan sprzedaje bilety, a ten oprowadza. Wyruszamy za
dziesięć minut.

Powoli zaczęli zjawiać się kolejni turyści. Nim ruszyli, Nikki zauważyła
jeszcze, jak zarumieniona i wyraźnie zadowolona Madame podaje Banksowi
menu, by zechciał złożyć na nim autograf. Proszę, jej kawiarnia stawała się
właśnie miejscem, w którym należy bywać, skoro zachodzą do niej takie oso-
bistości.

Dwie minuty później Nikki słuchała już pierwszej opowieści Brenta, doty-
czącej pewnego żołnierza z czasów wojny secesyjnej. Nigdy wcześniej nie ze-
tknęła się z tą historią, zastanowiła się więc, czy Brent jej aby nie usłyszał od
samego zmarłego... W połowie wycieczki, gdy przyszła kolej na doskonale jej
znaną relację o generale Andrew Jacksonie, który bohatersko zmusił do od-
wrotu przeważające siły Anglików spod Nowego Orleanu, a potem został pre-
zydentem Stanów Zjednoczonych, Nikki oparła się ramieniem o mur i zaczęła
leniwie rozglądać dookoła. Nagle zeszywniała.

Już wiedziała, co wcześniej tego dnia przykuło jej uwagę. Włóczęga, który
naprawdę nie był włóczęgą, tylko agentem FBI. Nie rozpoznała go jednak za
pierwszym razem, ponieważ prezentował się zupełnie inaczej niż poprzednio.
Ubrany w elegancki ciemny garnitur, ogolony i starannie ostrzyżony był na-
prawdę bardzo przystojny.

Nie patrzył na nią, znajdował się w środku grupy i najwyraźniej słuchał
słów przewodnika, zaciekawiony jego opowieścią.

Nikki wyprostowała się i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co powinna
teraz zrobić. Tom Garfield z jakichś powodów jej ufał, a Brent koniecznie
chciał z nim porozmawiać. Ale przecież nie mogła krzyknąć ponad głowami
tych wszystkich ludzi, że w samym środku grupy stoi duch agenta FBI.

Brent dokończył i wycieczka ruszyła dalej. Nikki zaczęła torować sobie
drogę wśród turystów, by znaleźć się w pobliżu agenta i jakoś zwrócić na sie-

bie jego uwagę. Znajdowała się już niedaleko, gdy nagle on spojrzał w prawo, zmarszczył brwi i błyskawicznie skręcił w wąską alejkę między domami. Przepchnęła się przez tłum i pospieszyła za nim, lecz w ciemnym przejściu nie dostrzegła już nikogo.

- A niech to!

Pobiegła w głąb alejki, po jakichś trzydziestu metrach przystanąła.

- Proszę pana! Panie Garfield! Gdzie pan jest? Potrzebuję pańskiej pomocy i ja też mogę panu pomóc! Proszę, niech pan się pokaże, wiem, że pan tu jest, widziałam pana!

Odpowiedziało jej milczenie.

Rozejrzała się. Po lewej miała ogrodzenie z cegieł, po prawej był malutki żwirowy parking, stały przy nim metalowe pojemniki na śmieci, a z uchylonych drzwi sączył się jazz oraz restauracyjne zapachy.

- Panie Garfield?

Nagle usłyszała za sobą jakiś odgłos. Odwróciła się i zdążyła dostrzec rzucającego się na nią mężczyznę. Pomimo upału miał twarz zasłoniętą kominiarką i nosił rękawiczki. Kątem oka zauważyła w jego ręku jakiś ciemny materiał czy worek, którym zapewne zamierzał zatkać jej usta.

Krzyknęła przeraźliwie, kopnęła napastnika i jednocześnie walnęła swoją dość ciężką torebką. Napastnik stęknął i zgiął się wpół, ponieważ jej cios okazał się bardzo mocny. Złość dodała jej sił. Przyłożyła mu jeszcze raz i pchnęła go z całych sił. Upadł, a ona odwróciła się, by uciec, lecz złapał ją za kostkę, przewrócił na ziemię, potem próbował do niej podpełznąć, przydusić ją całym ciałem. Przez cały czas krzyczała, histerycznie, bardzo wysokim głosem, gdyż wiedziała, że taki krzyk najbardziej zwraca uwagę, wierzgała rozpaczliwie, kopała jedną nogą, wila się jak piskorz, chociaż mężczyzna był silny i coraz bardziej ją przygniatał.

- Nikki! - rozległ się męski głos w głębi alejki.

Napastnik znieruchomiał, po czym zdecydował się na ucieczkę. Próbował wstać, lecz teraz to Nikki postanowiła go przytrzymać, bo skoro nadchodziła pomoc, należało go złapać i przesłuchać. Mocowali się z sobą, przy czym napastnik nie tylko chciał uciec, ale i koniecznie wyrwać Nikki torebkę. Broniła jej z całych sił, właściwie nie wiadomo po co. W obliczu zagrożenia nie było sensu walczyć o jakieś drobiazgi.

Puść to, nakazywał rozsądek, ale nie posłuchała. Coś jej kazało walczyć o torebkę jak lwica, chociaż nie miała w niej nic wyjątkowo cennego, a pieniędzy niewiele.

Nie tylko ona usłyszała szybkie kroki Brenta. Napastnik puścił ją i czmychnął w ciemną alejkę.

Brent dopadł Nikki, runął na kolana u jej boku, wbił spojrzenie w jej twarz.

– Nic ci nie jest? Co się stało? Odezwij się! Jesteś cała?

Z trudem skinęła głową.

– Nic... Nic mi nie jest.

– Co sie... Nie, to później. – Poderwał się i pobiegł za tamtym.

W tym momencie rozległo się wycie syreny policyjnej, a w alejce zaroilo się od ludzi. Pierwszy znalazł się przy Nikki Mitch. Ukląkł przy niej.

– O Boże, Nikki! Nic ci nie jest?

Teraz jego musiała zapewnić, że nic, potem turystów z ich grupy oraz obsługę i gości restauracji, którzy wybiegli tylnymi drzwiami z lokalu, a wreszcie policję. Ktoś pomógł jej wstać, musiała odpowiedzieć na pytania policjantów, wskazać, gdzie pobiegł napastnik, opisać go.

Tymczasem Mitch zastanawiał się, co dalej, wreszcie ogłosił, że wycieczka zostaje przerwana, oczywiście firma zwraca pieniądze za bilety. Wszyscy odmówili przyjęcia pieniędzy, jedni z powodu współczucia dla napadniętej przewodniczki, inni po cichu uznali prawdziwy napad za większą atrakcję niż zmyślone duchy. Większość osób pozostała w alejce mimo prośb policji, żeby się rozejść. Odchodzili parę kroków, kręcili się, zawracali, ciekawi, czy jeszcze coś się wydarzy.

Wrócił Brent, zdyszany i zły, ponieważ nie zdołał dogonić napastnika. Całą trójkę przewodników zawieziono na posterunek. Po wstępnym przesłuchaniu Mitchowi podziękowano, a Nikki i Brenta zaprowadzono do pokoju przesłuchań i kazano im zaczekać. Od policjantów dowiedzieli się, że ostatnio w mieście mnożą się napady na samotne kobiety, którym napastnicy wrywają torebki.

Usiedli przy stole, Brent patrzył na Nikki w milczeniu, rysy twarzy miał ściągnięte, na szyi pulsowała mu żyłka. Ledwo hamował gniew.

– Słyszałam, że biegiesz i dlatego szarpałam się z nim – zaczęła.

– Nic głupszego nie mogłaś zrobić – warknął, zerwał się i zaczął nerwowo krążyć po pomieszczeniu.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

– No wiesz! On mnie zaatakował, musiałam się bronić.

– Przecież mógł mieć nóż albo... – Przystanął, zaklął zduszonym głosem, odwrócił się ku niej. – Co ty w ogóle robiłaś sama w tej ciemnej alejce? –

Oparł dłonie o blat stołu, pochylił się, wbił spojrzenie w twarz Nikki, zmrużył oczy.

– Pobiegåłaś tam za kimś, tak?

Milczała, zaskoczona jego domyślnością. Czy on naprawdę nie umiał czytać w myślach?

– Za Andy? – naciskał.

– Nie, za Garfieldem. Widziałam go już dzisiaj, ale nie rozpoznałam, bo wygląda inaczej. Już nie przypomina żebraka, jest gładko ogolony, w garniturze...

– Widziałas go już? Gdzie, kiedy?

– Jak szliśmy do sklepu hrabiny. Ale to nie ma żadnego związku z tą sprawą, przecież nie napadł mnie duch, tylko człowiek z krwi i kości. I teraz już rozumiem, że nie powinnam była narażać się na niebezpieczeństwo, cokolwiek by się działo. Więcej tego nie zrobię.

– Zobaczyłaś Toma Garfielda i nic mi nie powiedziałaś? – spytał cichym, bardzo cichym głosem.

– A jak miałam...

– Obiecałaś mówić mi o wszystkim natychmiast. Pamiętasz?

– Do licha, prowadziłaś wycieczkę, między nami znajdowało się więcej niż czterdzieści osób, agent stał w samym środku i nawet mnie nie widział. Próbowalam dopchać się do niego, żeby... Nie wiem, jakoś nawiązać kontakt. Przecież ja tego ducha nie znam, a mam ci go przedstawić, więc najpierw sama muszę zawrzeć z nim znajomość... Boże, w życiu nie powiedziałam nic równie absurdalnego!

Drzwi otworzyły się.

– Detektyw Massey! – zawołała zaskoczona Nikki.

– Muszę przyznać, że pani bardzo się stara, byśmy tu nie zardzewieli – zażartował, starając się rozładować atmosferę, przy czym sam wyglądał na spiętego. Starannie zamknął za sobą drzwi.

– Przykro mi, nie miałam takiego zamiaru. Nie sądziłam, że zajmuje się pan takimi drobiazgami jak kradzieże torebek.

Obrzucił Nikki dziwnym wzrokiem, co nie uszło uwagi Brenta.

– Dobra, wal prosto z mostu – zachęcił.

– To zupełny idiotyzm – wyznał Massey, krzywiąc się z niechęcią. – Ale...

– Ale co?

- Na miejsce napadu przybyło paru policjantów, między innymi niejaki Robinson. Może go pani pamięta. Wysoki, szczupły, partner tego, który od razu sporządził protokół.

Nikki zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Tak, pamiętam go.

Massey z westchnieniem przysunął sobie krzesło, usiadł.

- Widziała pani napastnika?

- Tak, lecz nie opiszę twarzy, bo zasłaniała ją kominiarka. Średniego wzrostu, średniej budowy, silny.

- A... Jak by to ująć... żywy? - Na widok ich oślepiających min sprecyzował: - Czy pani myśli, że została zaatakowana przez ducha?

Zacisnęła zęby, wyprostowała się na krześle, zmierzyła policjanta lodowatym spojrzeniem.

- Jeszcze nie zwariowałam, niezależnie od tego, co pan o mnie sądzi. Zostałam napadnięta przez zwykłego bandziora.

Brent stanął u jej boku, ewidentnie gotów bronić jej przed dalszymi przykrościami.

- Ja też go widziałem, ścigałem go. To był jak najbardziej żywy człowiek - wycedził z furją.

- Proszę, nie obrażajcie się, pytam nie bez powodu. Otóż ten Robinson był na służbie również wtedy, kiedy wyrwano torebkę innej kobiecie. Nie dostrzegła napastnika, ale przedtem kręcił się przy niej jakiś podejrzany facet. Opisała go i Robinson, który przedtem był tu rysownikiem, sporządził portret. - Obejrzał się, by sprawdzić, czy drzwi są na pewno dobrze zamknięte. - Żadne z was nikomu nie powtórzy tego, co teraz ode mnie usłyszycie - ostrzegł surowym tonem.

- Dawaj - ponaglił Brent, spięty i niecierpliwy.

- Kobieta podała dokładny opis... Toma Garfielda. Pani potem rozpoznała go na zdjęciu jako typa, który stał w nocy przed pani domem. Czy... czy przypadkiem nie widziała go pani również w tej alejce tuż przed napadem? Niech to diabli porwą, wiem, że on nie żyje, ale albo po mieście grasuje jego sobowtór, albo...

- Albo? - spytał ostro Brent, gdy detektyw zamilkł.

Massey łypnął na niego

- Albo jego duch, tylko za cholere nie umiem powiązać tego z wyrwaniami kobietom torebek przez zwykłego złodzieja.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Brent milczał przez całą drogę powrotną do mieszkania Nikki, a ona nie przerywała milczenia, odgadując z łatwością, że wciąż był na nią zły.

Kiedy tylko otworzyła drzwi i przestąpiła próg, poczuła się nieswojo. Znowu odniosła to dziwaczne wrażenie, jakby podczas jej nieobecności coś się w domu zmieniło.

- O co chodzi? - spytał Brent, od razu zauważając podejrzliwe spojrzenie, jakim omiotła całe wnętrze.

- Właściwie sama nie wiem. Za każdym razem, kiedy wracam, wydaje mi się, że ktoś tu był. Czy... czy mogłabym mieć takie odczucie, gdyby za dnia po domu chodził duch? - spytała z wahaniem. Cały czas nie potrafiła pozbyć się przekonania, że podobne rozmowy nie świadczą najlepiej o zdrowiu psychicznym.

- Niewykluczone, ale pewności nie mam. Lepiej sprawdźmy, czy wszystko w porządku.

Nic nie znaleźli, ale Nikki wcale to nie uspokoiło. W końcu wytłumaczyła to sobie podenerwowaniem, jakie ostatnio prawie jej nie opuszczało. Kiedy zakończyli obchód i z powrotem znaleźli się na parterze, ruszyła do kuchni, lecz Brent wreszcie stracił cierpliwość, złapał Nikki za ramiona i gwałtownie obrócił ku sobie.

- Masz przestać łądować się w niebezpieczne sytuacje, słyszysz?

- Wcale się nie ładuję, raz mi się zdarzyło.

- I prosiłem cię przecież wyraźnie, żebyś natychmiast mi powiedziała, gdy tylko zobaczysz któreś z nich.

- Zamierzałam to zrobić, ale...

- Nie prosiłem, żebyś zamierzała, tylko żebyś zrobiła! To nie może się powtórzyć, rozumiesz? A gdyby cię zranił? Powinnaś mnie od razu zaalarmować...

- Wtedy Garfield zapewne zniknąłby jeszcze szybciej - ucięła. - Bądź uprzejmy mnie puścić, muszę się umyć. Tak się wytarzałam w tej alejce, że chyba zebrałam połowę tamtejszych śmieci.

Cofnął się natychmiast, wbił wzrok w podłogę, więc nie widziała wyrazu jego oczu, lecz cała postawa Brenta zdradzała, jak bardzo jest zdenerwowany.

Nikki ruszyła na górę, a z każdym krokiem czuła coraz wyraźniej, jak powiększa się dystans między nimi, nie tylko fizyczny. U szczytu schodów za-

wahała się, zerknęła za siebie. Oczywiście mogłaby zejść, zagadnąć go jakoś zapytać, czy on widzi jakiś związek między pojawianiem się Garfielda a kradzieżami torebek, ale tak naprawdę byłby to tylko pretekst, ona zaś nie miała ochoty prowadzić żadnych gier. Obróciła się, położyła dłoń na poręczy.

- Hej!

Drgnął zaskoczony i uniósł wzrok.

- Co?

- Chyba nie muszę znowu zobaczyć karalucha? Bo jeśli tak...

- Słucham?

Westchnęła.

- Czy muszę krzyczeć ze strachu, żebyś przyszedł do mnie na górę?

Brent rozpogodził się w ułamku sekundy, przeczesał włosy palcami.

- Już lecę!

- Ale ja muszę wziąć prysznic.

- Znakomity pomysł - zgodził się, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Nikki czekała na niego, a gdy zatoneła w jego ramionach, zapomniała o wszystkim, co ją spotkało tego dnia. Zapomniała o ostrzeżeniu wróżki, o zmarłej żonie Brenta, o duchu Toma Garfielda, o napadzie...

Nie odrywając się od siebie ani na moment, ruszyli w stronę sypialni, po drodze rozbierając się wzajem i rzucając rzeczy, gdzie popadnie. W łazience Nikki po omacku poszukała kurków, by nie przerywać pocałunku. Weszli pod prysznic. Dłonie i usta Brenta zaczęły przesuwając się coraz niżej i niżej po nagim ciele Nikki, wreszcie dostarczyły jej takiej rozkoszy, że drżąc, prawie osunęła się na niego. Jednak już po chwili poczuła takie pragnienie, by odwrócić rolę, że niedługo to Brent drżał z ekstazy pod wpływem jej pieszczot.

Potem umyli się wzajemnie, a Nikki odkryła ze zdumieniem, jak podniecająco może działać zwykła piana z mydła, od której skóra staje się śliska i ociera się o drugą w zupełnie nowy sposób... Gdy więc wreszcie zakręcili wodę, była gotowa na dalszy ciąg.

Wrócili do sypialni, zostawiając za sobą mokre ślady na wykładzinie, upadli na łóżko i zaczęli od nowa. Cały świat zniknął, zostali tylko oni dwoje, nic nie miało znaczenia, tylko to, co działo się między nimi - jego gwałtowność, równa sile jej nienasycenia.

Wreszcie opadł na poduszkę obok niej, oddychając ciężko. Kiedy przyciągnął ją do siebie, poczuła, że nic jej nie brakuje i jest zupełnie bezpieczna, a życie jest piękne. Zasnęła.

To musiało coś oznaczać, ale co?

Leżał przy Nikki, słuchając jej głębokiego oddechu, lecz sam nie mógł zasnąć. Łamał sobie głowę nad zagadkowym związkiem agenta FBI z kradzieżami torebek. Czy tamta napadnięta kobieta też zobaczyła Garfielda? Niewykluczone, mogła mieć pewne uzdolnienia, nic o tym nie wiedząc, przecież Nikki przez długi czas nie zdawała sobie sprawy ze swoich.

Nie, to bez sensu! Duch Garfielda byłby w zмовie ze złodziejem? Bzdura! Może tamta rzeczywiście widziała kogoś podobnego, podała opis Robinsonowi, a potem zasugerowała się tym, co narysował?

Zmienił pozycję, chociaż lepiej by mu zrobiło, gdyby wstał, ale nie chciał zostawiać Nikki, poza tym bał się, że ją obudzi. Próbował uspokoić myśli, w końcu o tej porze i tak niewiele by działał. Rano uda się na policję, jakoś wyciągnie od Massey'a dane i adres tej kobiety, która opisała Robinsonowi kogoś podobnego do zmarłego agenta, a potem sam z nią porozmawia i spróbuje ustalić, czy rzeczywiście istnieje jakiś związek między kradzieżami a zamordowaniem Garfielda.

Poprawił poduszkę i próbował zasnąć.

Nagle usiadł gwałtownie. Huey! Przecież obiecał spotkać się z nim tej nocy, zupełnie o tym zapomniał.

- Co się dzieje? - rozległ się głos Nikki.

Zawahał się. Właściwie mógł jej nic nie mówić, położyć się z powrotem, a na cmentarz pójść następnej nocy.

- Nie boisz się być tu sama?

- Nie jestem sama - odparła z uśmiechem.

- Wiesz, powinienem wyjść na jakąś godzinę. Mogę cię na tyle zostawić?

- Chcesz wyjść o tej porze? Wiesz, która jest godzina?

- Tak. Mnie nic nie będzie, ale martwię się o ciebie.

- A ja o ciebie.

Teraz on się uśmiechnął.

- Niepotrzebnie. Naprawdę niedługo wrócę. Po prostu coś komuś obiecałem i chciałbym dotrzymać słowa.

- Komu?

- Jednemu duchowi. Ale jeśli wolisz, żebym został, nigdzie nie pójde.

- Idź. Obietnic trzeba dotrzymywać, a mnie na pewno nic się nie stanie.

Zamknę drzwi na zasuwę.

Zawahał się.

- A co, jeśli...

- Nie boję się duchów.
- Nie? Przecież sama mówiłaś...
- To było przedtem. Teraz już się nie boję. Nic mi nie będzie, idź.

Wyskoczył z łóżka, zebrał rozrzucone rzeczy, ubrał się błyskawicznie. Im szybciej wyjdzie, tym szybciej wróci.

- Nie możesz mi powiedzieć, co to za sprawa? – zagadnęła.
- Później ci wszystko wyjaśnię, teraz muszę się spieszyć.

Wstała, narzuciła szlafrok, zeszła z Brentem na dół.

- Weź moje klucze, pewnie będę spała, kiedy wrócisz.
- Pamiętaj, żeby zamknąć zasuwę.
- Dobrze. Biegnij już. Aha, ostatni raz wypuszczam cię tak bez wyjaśnień, na drugi raz chcę wiedzieć, dokąd idziesz. I uważaj na siebie. Nawet nie masz broni.

Rzeczywiście, powinien był zabrać pistolet z hotelu. Nie, teraz nie miał na to czasu, był mocno spóźniony.

- Przyjmuje reprimendę – mruknął, musnął ustami jej czoło, wymknął się na werandę. Począł, aż usłyszy trzask zasuw, wyszedł na ulicę i zaczął biec.

Dzielnica Francuska jak zwykle tętniła życiem. Z lokali dobiegały dźwięki jazzu, paru podpitych rozmawiało głośno i bełkotliwie, idąc zygzakami po chodniku, z nocnego klubu ze striptizem wyłonił się mężczyzna, zapalił cygaro. Nieopodal jednego z dobrych hoteli młoda dziewczyna grała na flecie, przed nią stał kapelusz na drobne datki. Brent nawet w gorączkowym pośpiechu pamiętał o tym, by wrzucić do niego parę dolarów.

Dotarł do cmentarza, przeskoczył przez mur. W środku było cicho.

Za cicho.

Przysiadł przy ścianie jednego z większych mauzoleów i czekał, równie nieruchomy jak nagrobek. Niedługo zaczął dostrzegać mgłę, ale nie tę zwykłą, ścielącą się warstwą nad ziemią, lecz jej niewielkie skupiska, promieniujące delikatną poświatą. Bezszelestnie przemykały między nagrobkami. Brent zrozumiał natychmiast, że zmarli wystawili własne warty.

W miarę upływu czasu widział ich coraz wyraźniej. Młoda dziewczyna o wyglądzie sierotki, która tak bardzo chciała pomagać Hueyowi w płoszeniu wandali, krążyła czujnie z szeroko otwartymi oczami. Za rogiem zniknął stary pirat z drewnianą nogą. Jakaś para w strojach z epoki wiktoriańskiej patrolowała pobliską alejkę. Ani śladu żywych.

Oparł głowę o mur grobowca, przymknął oczy. Niepotrzebnie przyszedł. Huey się nie pojawiał, narkomani i dealerzy również nie przyszli. Niczego się tej nocy nie dowie.

Po raz kolejny próbował ułożyć w jakąś sensowną całość elementy łami-główki. Czy klucza należało szukać w kawiarni „Madame D'Orso”? U któregoś z przewodników? Gdzie właściwie podziewał się nieuchwytny Max Dubois?

Poczuł uderzenie w udo i gwałtownie otworzył oczy.

– Nie boję się duchów, nie boję się duchów, nie boję się duchów... – po-wtarzała sobie wytrwale Nikki.

Z dwojga złego wolała już wierzyć w duchy, niż przyznać, że jest niespełna rozumu, bo związała się z kimś równie stukniętym.

Ależ to szybko poszło! Ledwie się spotkali, a już nie potrafiłaby żyć bez niego, zaangażowała się w ten związek tak intensywnie i głęboko, jak jeszcze nigdy przedtem. Boże, to nie mogło być aż takie poważne!

Po co się oszukiwać? To było bardzo poważne...

Zapaliła wszystkie lampy w całym mieszkaniu, ponieważ każdy cień na-tychmiast pobudzał jej wyobraźnię do wyczerpanej pracy. Nikki widziała niepo-kojące zjawy czające się a to za oparciem fotela, a to za skrzydłem drzwi. Kie-dy Brent wyszedł, zamierzała położyć się z powrotem do łóżka, ale nie star-czyło jej na to odwagi. Chyba umarłaby ze strachu, gdyby obudziła się i naraz ujrzała wpatrującą się w nią Andy.

Po zapaleniu świateł wróciła na parter, włączyła telewizor w salonie, spe-cjalnie wybierając kanał, na którym leciał jakiś głupawy sitcom. Nie zamie-rzała oglądać programu o niewyjaśnionych zjawiskach, medycynie sądowej czy nawiedzonych domach. Nawet dramat historyczny chwilowo nie znalazł jej uznania. Poszła nastawić wodę na herbatę.

Brent niedługo wróci, przecież obiecał. Jeszcze tylko trochę...

Wróciła z herbatą do pokoju, przysiadła na brzeżku kanapy, zaczęła oglą-dać komedię, wkrótce nawet zaśmiała się z jakiegoś gagu. Bardzo dobrze, tyl-ko tak dalej. Najważniejsze, żeby nie myśleć o...

Nagle poczuła się dziwnie, spodeczek, który trzymała w dłoni, zaczął drzeć, stojąca na nim filiżanka zadygotała, wydając cichy brzęk. Nikki ogar-nał niemal paraliżujący strach, gdy kątem oka dostrzegła...

Przemagając zgrozę, obróciła się i krzyk zamarł jej w gardle.

- Huey! – Brent aż potrząsnął głową, zaskoczony, że dał się tak podejść.
Po raz pierwszy tamtemu udało się go nieźle przestraszyć.

- Spóźniłeś się – wytknął mu duch.

- Wiem. Przepraszam, ale dużo się dzisiaj wydarzyło.

Były niewolnik machnął ręką.

- I tak nie przyszli. Mówiłem ci, nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawia. Ale my i tak pilnujemy.

- Zauważyłem.

Huey uśmiechnął się szeroko.

- Ha, nic nie zauważyłeś, podszedłem cię jak pierwszego lepszego. – Nagle spoważniał i dodał z troską: – Na drugi raz bardziej uważaj, bo jak ktoś inny tak cię podejdzie...

Brent podniósł się, otrzepał spodnie.

- Będę uważał, obiecuję. Dałeś mi dziś niezłą nauczkę, nieprędko zapomnę.

- Idź do domu, chłopcze – poradził Huey. – Tej nocy już nie przyjdą.

- Dobrze. Wrócę jutro, oczywiście zjawię się wcześniej. – Ruszył w stronę tej części muru, gdzie było najłatwiej przeskoczyć, lecz nagle odwrócił się tknięty pewną myślą. – Słuchaj, czy ostatnio ktoś nie wrywał tu kobietom torebek?

Huey przewrócił oczami.

- Po moim cmentarzu łażą niebezpieczne łotry, a ty mnie pytasz o damskie torebki?

- To może być ważne. Widziałeś tu kogoś takiego?

- Nie. Widziałem za to kogoś naprawdę niebezpiecznego, chociaż udaje, że jest taki sam jak ty czy ja.

- O kim mówisz?

- Nie każdy gliniarz jest w porządku.

- Huey, konkretnie!

- Najpierw muszę zdobyć dowód. Zyskam pewność, to ci powiem. Idź już. Do zobaczenia jutro.

Po ulicach nadal snuły się pary i większe grupki, przy hotelu młoda dziewczyna wciąż grała na flecie. Brent skręcił wreszcie w Bourbon Street, przy której mieszkała Nikki i nagle poczuł, że jest śledzony. Obrócił się.

Ujrzał jedynie kilka rozbawionych nastolatków, które szły z jednej dyskoteki na drugą, obiecując sobie dalszą dobrą zabawę. Powiew wiatru poderwał z

ziemi porozrzucane ulotki wyborcze, których jeszcze nie zdążono uprzątnąć. Zawirowały, opadły na asfalt jak liście.

Poszedł dalej, wytyężając słuch. Czy mu się zdawało, czy rzeczywiście sły-
szał za sobą kroki? Odwrócił się gwałtownie.

Nikogo, ale to o niczym nie świadczy. Przecież ktoś mógł z łatwością ukry-
wać się wśród cieni rzucanych przez załomy murów, ozdobne balkony, pię-
trowe galerie biegnące wzdłuż fasad. Brent ruszył teraz w kierunku, z którego
przyszedł, bacznie obserwując wszystko dookoła. Nic z tego, nie udało mu się
nikogo wypłoszyć, nie słyszał już za plecami żadnych podejrzanych odgłosów,
więc tamten, przyczajony gdzieś, przestał za nim iść.

Naraz Brent zatrzymał się gwałtownie. Był już przecież prawie na miejscu,
lecz zawrócił w nadziei złapania kogoś, kto go śledził. A jeśli celem było wła-
śnie odciągnięcie go od domu Nikki? Przecież ona była tam zupełnie sama...
Poczuł, jak jego puls przyspiesza. Zaczął biec.

Kiedy dopadł ogrodzenia, prawie urwał zasuwkę furtki, potem pognął
przez werandę i załomotał pięścią do drzwi, nie zwracając sobie głowy szu-
kaniem kluczy.

- Nikki, to ja, Brent! Otwórz!

Przez moment nic się nie działo, więc zaczął go dławić zimny strach. Po-
tem drzwi powoli otworzyły się.

Brentowi wyrwało się westchnienie ulgi, gdy ujrzał stojącą w progu Nikki.
Nadal miała na sobie długi szlafrok, ale wyglądała dość blado, a jej oczy wy-
dawały się nienaturalnie rozszerzone. Patrzyła na niego bez słowa.

Szybko wszedł do środka, gotów stawić czoła wszystkiemu, co ją wystra-
szyło.

- Co się... - zaczął gwałtownie, lecz ona uspokajającym gestem dotknęła
jego policzka.

- Nic mi nie jest - zapewniła, potem starannie zamknęła drzwi, wzięła
go za rękę i zaprowadziła do salonu, gdzie na kanapie siedziała bardzo atrak-
cyjna młoda kobieta.

A raczej... duch bardzo atrakcyjnej młodej kobiety.

Smukła brunetka o nieco egzotycznej urodzie obrzuciła Brenta spojrze-
niem zalęknionej lani, poderwała się z kanapy i zaczęła rozplływać się w po-
wietrzu.

- Nie, Andy, błagam, nie znikaj - zawołała Nikki. - To jest właśnie
Brent, o którym ci mówiłam, nie ma powodu do obaw, zaufaj mi. Brent, to
jest Andrea Ciello.

Brent postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę na powitanie. Po chwili poczuł na skórze delikatne mrowienie, gdy duch podał mu swoją. Andy przestała się rozwiewać i nawet zdobyła się na uśmiech.

- Miło mi. - Zerknęła z uznaniem na przyjaciółkę. - O rany. Nikki, on jest naprawdę niezły!

Nikki uśmiechnęła się leciutko.

- Dobrze, to teraz usiądźmy i porozmawiajmy. Zgoda?

Andy przeniosła domyślne spojrzenie z jednego na drugie.

- Nie, ja już chyba sobie pójdę.

- Ani mi się waź! - zaprotestowała Nikki.

- Musisz zostać i powiedzieć nam, co się stało - dodał Brent.

Andy westchnęła. Usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę.

- Nie, to wy mi powiecie, co się stało.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Sama tego nie zrobiłam, uwierz mi - rzekła Andy do Brenta. - Owszem, kiedyś ćpałam, ale to przeszłość. Już nie jestem narkomanką. Teraz już nie jestem nikim... - skonstatowała z goryczą.

Nikki wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia, że to wszystko dzieje się naprawdę. Oto przyszedł do niej w odwiedzinach duch Andy i jakby nigdy nic rozmawiali sobie we trójkę z Brentem. Dopiero teraz Nikki uświadomiła sobie, jak zimno robi się w pomieszczeniu, w którym przebywa duch. Przedtem była zbyt przerażona, by to zauważyć, teraz zaś rozumiała już, co oznaczał ten lodowaty dreszcz, który ją czasami przenikał...

Właściwie była z siebie całkiem dumna, ponieważ Andy pojawiła się znowu, a ona nie krzyknęła, nie zemdląca, nie dostała zawału. Zdołała porozmawiać ze zmarłą przyjaciółką i nakłonić ją, by poczekała na powrót Brenta.

Przez ten czas dowiedziała się paru ciekawych rzeczy. Na przykład kiedy Andy bardzo się skoncentrowała, mogła pojawić się w dowolnym miejscu. Oczywiście najłatwiej było jej zmaterializować się na cmentarzu, stosunkowo łatwo w mieszkaniu Nikki. Płoszyły ją gwałtowne dźwięki, nie umiała temu zaradzić, znikająca wtedy natychmiast. W ogóle niewiele jeszcze wiedziała, bała się wielu rzeczy, a jednocześnie nie pojmowała, jak można być duchem i odczuwać strach. W końcu już nie żyła, więc co gorszego mogło ją jeszcze spotkać?

- Nie musisz mnie przekonywać, ja ci wierzę - zapewnił ją żarliwie Brent. - Nikki mi o tobie opowiadała, ja też jestem przekonany, że zostałaś zamordowana.

Andy chlipnęła żałośnie.

- Boże, wciąż nie potrafię pogodzić się z tą myślą... - Opanowała się po chwili. - Podobno jesteś tu z powodu tego włóczęgi. On też nie żyje. Zobaczyłam go na ulicy, kiedy próbowałam dostać się do tego mieszkania. Wiedziałam, że Nikki we mnie wierzy, że mi pomoże.

Serce Nikki ścisnęło się boleśnie. Andy się przeliczyła, przecież ona kazała jej odejść...

- Oboje chcemy ci pomóc - odparł z mocą Brent. - Ale sami również potrzebujemy twojej pomocy.

Piękne oczy Andrei rozszerzyły się.

- A co ja mogłabym zrobić? Nie wiem, kto mnie zabił, nic nie widziałam i nie słyszałam. Teraz jestem bezradna jak dziecko, które uczy się chodzić. Czasem chcę ukazać się Nikki, staram się ogromnie i nic mi nie wychodzi. Próbuję się do kogoś odezwać, ale oprócz was dwojga nikt nie reaguje na moją obecność. Próbuję coś przesunąć, podnieść... Czuję, że powinnam udać się w jakieś inne miejsce, daleko stąd, ale nie wiem, gdzie to jest i jak miałabym tam trafić. Z drugiej strony nie mogę stąd odejść, bo... bo to, co mnie spotkało, było złe.

- Może jednak spróbuj sobie coś przypomnieć poprosił Brent. Pamiętasz, jak rozstałaś się z przyjaciółmi pod pubem?

- Tak.

- I co potem?

- Wróciłam do domu.

- Czy ktoś cię śledził?

Przewróciła oczami.

- Mogłoby za mną iść stado nosorożców, a niczego bym nie zauważyła, byliśmy wszyscy nieźle podpici.

- Dobrze, a czy na przykład w pubie nikt ci się nie przyglądał?

Andy potrząsnęła głową, na co Nikki westchnęła.

- Cała masa facetów gapiała się na nią i chyba trudno się dziwić, prawda?

- Chyba byłam całkiem ładna? - spytała melancholijnie Andy.

Ładna? To mało powiedziane. Szalenie atrakcyjna.

- Olśniewająca - zapewnił z przekonaniem Brent - Zresztą nadal jesteś. Powiedz mi, czy tamtego dnia przydarzyło się coś dziwnego?

- Cóż, poszłyśmy do wróżki, ale to w końcu Nowy Orlean, więc taka wizyta to nic dziwnego - powiedziała ze śmiechem Andy.

Nikki poczuła wyrzuty sumienia. Właściwie powinna była przyznać się Brentowi do tego, co ostatnio usłyszała od wróżki. Cóż, może później, to raczej nie był właściwy moment.

- Tak naprawdę najdziwniejsze ze wszystkiego było spotkanie z tym włóczęgą u Madame D'Orso. Jakoś tak gwałtownie do nas podszedł, wystraszył nas trochę... Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

- A czy zamknęłaś za sobą drzwi po powrocie z pubu? - dociękał Brent.

- Nie pamiętam.

- Błagam, spróbuj sobie przypomnieć, to ma bardzo duże znaczenie.

Andy milczała przez chwilę.

- Głowy nie dam, ale... ale chyba jednak zamknęłam.

Brent w zamyśleniu pokiwał głową.

- Do czego zmierzasz? - spytała Nikki.

- Wolałbym nie mówić, bo będziesz zła.

- Mimo to powiedz.

- W porządku. Andy zamknęła drzwi, lecz nie było żadnych śladów włamania, czyli ktoś użył klucza. - Zwrócił się do Andy: - Czy oprócz ciebie ktoś miał klucz do twojego mieszkania?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Tak. Nikki.

- A ja go nikomu nie dawałam - oznajmiła Nikki.

- W to nie wątpię - odparł. - Po prostu ktoś go sobie pożyczył bez twojej wiedzy i zrobił duplikat.

- Nie zaczynaj znowu tego tematu! - rzuciła ostro Nikki, podnosząc głos i natychmiast tego pożałowała, gdyż Andy zaczęła znikać. - Zaczekaj, nie odchodź - poprosiła już znacznie ciszej.

- Kiedy jeszcze nie umie... - Rozwiąła się bez śladu, nie zdążywszy dokończyć.

Nikki zerwała się na równe nogi.

- No i widzisz, co narobiłeś?

- Wróci - odparł spokojnie. - A ty musisz wreszcie zrozumieć, że jest w to zamieszany ktoś, kto zna was obie i często was widuje.

- To na pewno żaden z moich przyjaciół!

- Nie musisz się od razu gniewać.

- Nie gniewam się. Jestem wściekła – poprawiła go, gotowa spierać się z nim do upadłego, lecz Brent popadł w głębokie zamyślenie, patrząc gdzieś przed siebie.

Z irytacją potrząsnęła głową, odwróciła się i poszła na górę. Rzuciła szlafrok na krzesło i padła na łóżko, wykończona tym upiornym dniem. Miała wszystkiego dosyć. Zaciśnęła powieki, chciała już tylko zasnąć...

Przez przykrycie poczuła dotyk silnej ręki na swoim biodrze, ciepły oddech owionął jej ucho, usłyszała szept:

- Nadal jesteś wściekła?

Odwróciła się do niego.

- Tak.

Wślizgnął się do łóżka.

- Jak bardzo?

- Może nie aż tak bardzo... – przyznała, po czym poprawiła się: – W żadnym wypadku nie aż tak bardzo...

Zanim zdążyła zapomnieć przy nim o wszystkim, pomyślała nagle, że podobno pary nigdy nie powinny kłaść się w gniewie, cokolwiek by się wcześniej nie wydarzyło.

A potem, zanim zasnęła, zastanowiło ją, czy rzeczywiście są już parą i czy on też tak sądzi. Jeśli chodzi o nią, chciałaby, żeby byli nią do końca życia, nawet gdyby musiała codziennie widywać duchy. Do tego mogła się przyzwyczaić, do życia bez Brenta – nigdy.

Massey przypatrywał się Brentowi z niedowierzaniem.

- Nie jesteś z policji, a ja mam ci pozwolić na przesłuchanie ofiary napadu?

- Tak.

- Nie brakuje ci tupetu, chłopie!

Na początku Blackhawk wydawał mu się spokojnym aż do bólu facetem, opanowanym w każdych okolicznościach. Kiedy jednak w grę zaczęła wchodzić Nikki DuMonde i jej bezpieczeństwo, pokazał pazury.

- Słuchaj, przecież obaj chcemy dopaść tego drania, który zabił agenta FBI i niewinną dziewczynę – przekonywał Brent.

- Nawet nie wiemy, czy te sprawy mają ze sobą związek, wszyscy są zdania, że nie.

- I wszyscy się mylą, o czym wiesz równie dobrze jak ja.

Massey łypnął na niego podejrzliwie. Czy ten facet umiał czytać w myślach?

- A ty wiesz, że nie wolno mi skontaktować cię z ofiarą.
- Ale możesz położyć na swoim biurku protokół przesłuchania, na który ja rzucę okiem.

Detektyw potrząsnął głową.

- Mamy sobie wzajemnie pomagać, ale jak dotąd ciągle ty chcesz czegoś od nas, a my nie dostaliśmy nic w zamian.

- Daj mi kilka godzin.
- Jeśli na coś trafiłeś, powiedz teraz.
- Nie, potrzebuję jeszcze trochę czasu. Niedługo coś ci podrzucę, słowo.

To co? Położysz na biurku protokół?

- Zaczynasz być bardziej upierdliwy niż ten dupek z FBI – zirytował się Massey.

- Naprawdę?
- Nie, jeszcze trochę ci brakuje – przyznał detektyw, pogrzebał w szufladzie i rzucił dokumenty na blat. – Pamiętaj, Blackhawk, przysługa za przysługę.

Tego dnia Nikki prowadziła razem z Julianem przedpołudniową wycieczkę po Saint Louis Nr 1. Dopiero gdy usiadła przy kawiarnianym stoliku, czekając na przyjaciela, uświadomiła sobie, że w końcu nie spytała Brenta, gdzie się podziewał w środku nocy. Co więcej, zapomniała nawet spytać, jakie miał plany na ten ranek. Była zbyt podekscytowana faktem, że już nie boi się duchów i może spotykać przyjaciółkę, co prawda inaczej niż poprzednio, ale przynajmniej widziała ją i mogła z nią porozmawiać!

Oczywiście nie zamierzała opowiadać Julianowi, co zaszło w nocy, ponieważ przeraziłby się stanem jej umysłu i natychmiast zaciągnąłby ją do lekarza.

Przyjaciel zjawił się niedługo po niej, opadł na krzesło i duszkiem wypił podwójną kawę. Chociaż próbował ukryć się za okularami przeciwsłonecznymi, Nikki i tak dostrzegła wyraźne oznaki niewyspania.

- Cześć. Chyba jesteś zmęczony.
- Cześć. Pewnie, że jestem. To prawdziwa harpia.
- Mówisz o Susan?
- A o kim? Chyba nie myślisz, że mam do dyspozycji cały harem?

Zaśmiała się.

- A wyglądasz, jakbyś miał.
- Ona prawie w ogóle nie sypia! – poskarżył się jak dziecko.
- Dobra, ja poprowadzę wycieczkę, ty sobie spokojnie pójdziesz na końcu.

Zmarszczył brwi.

- Słuchaj, nic nie rozumiem. Ja lecę z nóg, a ty kwitniesz w oczach, chociaż ostatnio chyba też się nie wysypiasz. Jak to możliwe?

- Widać mnie to bardziej służy – zażartowała. – Hej, popatrz! Harold Grant znów wstąpił do Madame na kawę.

Julian odwrócił się i oboje przez chwilę przyglądali się, jak senator płaci przy ladzie za kawę i wypija ją od razu na miejscu.

- On też wygląda kiepsko – stwierdziła ze współczuciem Nikki.

Nie przepadała specjalnie za Grantem, lecz doceniała, że nie szafował obietnicami bez pokrycia i starał się dotrzymać tych, które złożył. Całkiem dużo jak na polityka.

- A jak ma wyglądać, skoro ten młody wilczek podgryza go coraz mocniej?

Senator wyszedł z kawiarni wraz z dwoma współpracownikami, podchwycił spojrzenia Nikki i Juliana, uśmiechnął się do nich z roztargnieniem i pośpieszył dalej.

- Zobacz, nawet nas nie poprosił, żebyśmy na niego głosowali – zauważył Julian. – Dzięki temu zyskał w moich oczach. Banks przypomina mi trochę nawiedzonego kaznodzieję-showmana. Dużo gada, grzmi, obiecuje, czego to on nie zrobi i jak to wymiecie z Nowego Orleanu dealerów, gangi, pornografię dziecięcą i korupcję. Natomiast stary Harold jest jak uparty buldog. Mało szczeka, ale jak wbije w coś zęby, to już nie puści. Chyba zagłosuję na niego.

Nikki wstała.

- Na razie koniec z politykowaniem, klienci czekają.
- Zaraz, zaraz, a gdzie podział się twój kochaś? Co z nim?
- Nie wiem, miał coś do załatwienia.
- O, czyżby mały kryzys?

Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Wiesz, nie staliśmy się jedną osobą.

- Nie? Chyba niewiele brakuje, bo ostatnio prawie się nie rozstajecie.

Niedługo już zupełnie o mnie zapomnisz.

Pocałowała go w policzek.

- Zawsze będę cię potrzebować, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Zresztą ostatnio niewiele mam z ciebie pożytku, ta twoja harpia jest bardzo zaborcza.

Jęknął.

- Nie uwierzysz, a jak to komuś powtórzysz, to nie wiem, co ci zrobię, na pewno coś straszego... Nie wytrzymuję jej tempa!

- Biedaku! Gdzie ona teraz jest?

- Jak to gdzie? U mnie, czeka na mój powrót. Chyba będę musiał się wyprowadzić... Słuchaj, czy nie mogłabyś zwołać na wieczór jakiegoś spotkania biznesowego, narady, czegokolwiek? Dzięki temu odzipnąłbym przez kilka godzin.

- Nie jestem szefem, nie mogę zwoływać narad.

- Bardzo wygodnie – skomentował z goryczą. – Cały czas nami komentujesz, a jak przychodzi co do czego, to zasłaniasz się Maksem. Myślisz, że go obchodzi, co my tu robimy? Mamy generować zysk, to wszystko.

- Moim zdaniem obchodzi i wbrew pozorom całkiem sporo wie o naszych poczynaniach. Julian, jesteś już dużym chłopcem, chyba potrafisz sobie poradzić z dziewczyną. Powiedz jej, że masz swoje życie i nie możesz poświęcać jej całego czasu. A teraz chodźmy.

Kiedy Nancy Griffin weszła do popularnej „Cafe du Monde”, Brent od razu domyślił się, że to ona, ponieważ rzuciło mu się w oczy jej podobieństwo do Nikki. Były tego samego wzrostu, miały bardzo podobny kolor włosów i uczesanie, podobną figurę. Z bliska dostrzegało się więcej różnic, oczy Nancy były piwne, a rysy twarzy, choć ładne, bardziej wyraziste.

Podniósł się, patrząc na nią, więc podeszła do niego.

- Pan Blackhawk?

- Tak. Dziękuję, że zechciała pani spotkać się ze mną, pani Griffin.

Usiedli.

- Przyszłam tylko dlatego, że zadzwonili do mnie z policji. Jest pan kimś w rodzaju tajnego agenta?

Uśmiechnął się.

- Sprawdziła pani numer?

- Tak. Zaskoczył mnie pan, bo policja powiedziała mi wcześniej, że niewiele w tej sprawie może zrobić, właściwie nic. Wymieniłam zamki w mieszkaniu, zablokowałam karty... – Westchnęła. – Wie pan, co jest najgorsze? Stratę pieniędzy mogę przeboleć, ale w portfelu nosiłam też zdjęcia moich

siostrzeńców, nie wiem, czy dadzą mi drugie takie same, a bardzo je lubiłam. Ponadto miałam zdjęcie z siostra, jeszcze z dzieciństwa, tego to już zupełnie nie ma jak odtworzyć...

Podszedł kelner, Nancy zamówiła kawę.

– Może jakiś deser? – zaproponował Brent.

– Nie, dziękuję, jestem na diecie. – Uśmiechnęła się nagle. – I to bez przerwy, bo w Nowym Orleanie łatwo stracić linię, tyle tu pokus... Właściwie niewiele mogę panu powiedzieć. Był wieczór, słałam jak głupia u wylotu takiej małej ciemnej alejki przy Royal Street. Zobaczyłam oberwańca, którego potem ten policjant bardzo wiernie sportretował, a chwilę potem już nie miałam torebki. Poczułam tylko szarpnięcie.

– Interesuje mnie, jak przedtem wyglądał pani dzień. Co pani robiła?

Spojrzała na niego czujnie.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć?

– Ponieważ mogła być pani śledzona.

– Czemu ktoś miałby mnie śledzić?

Bo sądził, że jesteś Nikki DuMonde, pomyślał Brent.

– Rozważamy pewną hipotezę... – rzekł wymijająco, odczekał chwilę, gdyż zjawił się kelner z kawą Nancy, po czym dodał: – Niczego nie obiecuję, ale mógłbym spróbować odzyskać pani rodzinne zdjęcia.

Skinęła głową.

– Niech się zastanowię... Na śniadanie przyszłam tutaj. Potem byłam w muzeum wojny secesyjnej i postanowiłam też od razu zobaczyć to nowo otwarte muzeum drugiej wojny światowej. Wie pan, lubię chodzić po muzeach, zwiedzać, czasem zabieram z sobą moich siostrzeńców...

– Skoro lubi pani zwiedzanie, może brała pani udział w jakiejś wycieczce z przewodnikiem? Na przykład na któryś z cmentarzy? – podsunął z nadzieją.

– Nie, akurat tamtego dnia nie. Potem spotkałam się z przyjaciółkami i poszłyśmy na zakupy do Dzielnicy Francuskiej, rozstałyśmy się dopiero wieczorem. Aha, na obiad wstąpiłyśmy do jednego z hoteli. To chyba wszystko.

– Na pewno nie zachodziła pani na żaden cmentarz? Nawet na chwilę?

– Na pewno.

Ukrył rozczarowanie. Odkąd ją ujrzał, był absolutnie przekonany, że trafił na dobry trop, a tymczasem nie udało mu się znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Nancy przez cały dzień przebywała zupełnie gdzie indziej niż Nikki.

– Dziękuję za wyjaśnienia. Postaram się odzyskać pani zdjęcia.

- Przepraszam, ale kim pan właściwie jest?
- Pracuję dla pewnej prywatnej agencji, która ściśle współpracuje z policją. Ta kradzież może mieć coś wspólnego z kilkoma innymi sprawami.

- Rozumiem. - Milczała przez chwilę, wpatrując się w swoją kawę, a potem podniosła spojrzenie na Brenta. - Jest pan miłszy niż policjanci, oni nie potraktowali mnie poważnie, spisali protokół i tyle. Chyba mają za dużo podobnych zgłoszeń, żeby się przejmować takimi drobnostkami.

- Możliwe.

- Gdyby się pan czegoś dowiedział, proszę do mnie zadzwonić. Koniecznie. Niezależnie od godziny.

- Dobrze. Przepraszam, ale muszę już iść.

Brent położył na stole banknot i wstał. Nancy podniosła się również.

- Naprawdę proszę do mnie dzwonić o dowolnej porze.

Uśmiechnął się. Jeszcze nie tak dawno chętnie skorzystałby z tego jednoznacznego zaproszenia.

- Będę pamiętał.

- Pan pewnie nie jest stąd?

- Stąd.

- Żonaty? - spytała wprost.

- Nie, ale...

- Ale już zajęty - odgadła, westchnęła, a potem uśmiechnęła się nieco melancholijnie. - Najlepsi zawsze są już zajęci. Ha, trudno. W każdym razie dziękuję, że chce pan poszukać moich zdjęć. Gdyby udało się je odzyskać, byłabym szczęśliwa. - Skinęła mu głową, odwróciła się, odeszła parę kroków, zwolniła, po czym zawróciła. Jej czoło przecinała pionowa zmarszczka. - Wie pan, jak tak o tym myślę... Pytał pan o wycieczki z przewodnikiem i to mi teraz przypomniało, że śniadania wcale nie jadłam tutaj, tylko w kawiarni, przed którą zbierają się wycieczki. Nazywała się chyba „Madame”... i coś tam.

- „Madame D'Orso”?

Pstryknęła palcami.

- Dokładnie! No, to pewnie taki drobiazg bez znaczenia, życzę powodzenia! - Skinęła mu dłonią i oddaliła się.

- Patrzycie państwo na grób Marie Laveau, najsłynniejszej kapłanki wudu w historii Nowego Orleanu, zmarłej w 1881 roku - mówiła Nikki. - Podobno pod koniec życia nawróciła się i została gorliwą katoliczką. Niektórzy już wcześniej uważali ją za osobę natchnioną przez Opatrzność, inni zaś za-

rzucali jej konszachty z diabłem, nazywanym tu Papa Las Bas. Jedyne, czego możemy być pewni, to że posiadała iście niewiarygodny dar... podsłuchiwania. Ponieważ układała fryzury bogatych dam, słuchała wszystkiego i dokładała starań, by o każdym dowiedzieć się jak najwięcej. Dzięki temu potem z łatwością przychodziło jej udawanie jasnowidzącej. Szybko zyskała sławę. Wiele osób przychodzi tu prosić o spełnienie życzenia, jedni, bo naprawdę to wierzą, a drudzy, bo wszyscy tak robią – rzekła z uśmiechem. – Rysują na grobie trzy krzyżyki, okręcają się dookoła trzy razy, zostawiają kwiaty, świece, święte obrazki... No proszę, ktoś przyniósł duchowi w ofierze kanapkę! Ciekawe... W każdym razie tutejsze mrówki na pewno będą miały ucztę. Duch Marie Laveau podobno pokazuje się w wigilię świętego Jana i prowadzi niezwykłemu obrzędowi odprawianemu tej nocy.

Ludzie słuchali jej zafascynowani, w odróżnieniu od Juliana, który stał z tyłu grupy, oparty o jeden z grobowców. Miał zamknięte oczy i wydawał się spać na stojąco. Naprawdę musiał być wykończony.

– Czyli ona tak naprawdę była tylko oszustką, która powtarzała, co udało jej się podsłuchać, tak? – upewnił się któryś z turystów.

Nikki wcale nie spodobało się tak postawione pytanie, chociaż nie wiedziała dlaczego. Przecież sama nie tak dawno wygłosiła podobną uwagę podczas rozmowy z panią Montobello.

– Jeśli ktoś przepowiada różne rzeczy, a część z nich się sprawdza, to albo jest to zdumiewający zbieg okoliczności, albo ta osoba posiada pewne nadnaturalne zdolności, albo bardzo dobrze zna się na ludziach. Niewykluczone, że w przypadku Marie Laveau te trzy czynniki splotły się w jedną całość.

Turysta powiedział coś jeszcze, lecz nie słuchała go, gdyż właśnie przebiegł ją lodowaty dreszcz. Ujrzała Toma Garfielda.

Przystojny i smutny mężczyzna w eleganckim ciemnym garniturze minął Juliana, który drgnął gwałtownie, otworzył oczy, rozejrzał się, a nie ujrawszy nikogo, zamknął je z powrotem. Tom szedł w jej kierunku, a ludzie bezwiednie odsuwali się na boki. Jedna dziewczyna potarła nagie ramiona, spojrzała na słońce, ze zdumieniem potrząsnęła głową.

Duch agenta stanął przed Nikki i powiedział coś, ale żaden dźwięk nie dobiegł jej uszu. W napięciu śledziła ruch jego warg.

– Proszę pani?

Tom skończył mówić swą kwestię i rozpląnął się w powietrzu.

– Proszę pani? – powtórzył turysta. – Halo, nic pani nie jest?

Nikki otrząsnęła się i nieco nieprzytomnie spojrzała na stojącego przy niej turystę, po czym przeniosła wzrok na Juliana. Już nie przysypiał. Stał wyprostowany i przyglądał jej się tak, jakby zastanawiał się, czy nie podejść i nie zabrać jej natychmiast do psychiatry. Posłała mu uspokajający uśmiech i zwróciła się do pytającego ją o coś mężczyzny:

- Przepraszam, nie dosłyszałam.
- O rany, przez moment wyglądała pani, jakby wpadła w trans albo zobaczyła ducha – skomentował ze śmiechem. – Pytałem, czy Marie Laveau nawiedza ten cmentarz.

- Och, pewnie nie tylko cmentarz, ale i cały Nowy Orlean, a może też okoliczne mokradła i rozlewiska. To musi być bardzo zajęty duch – rzuciła Nikki żartobliwie, lecz myślami była gdzie indziej.

Tom Garfield zjawił się i próbował jej coś powiedzieć. A ona chyba dobrze go zrozumiała.

Brent pogodził się z faktem, że pewnie tej nocy w ogóle nie zmruży oka. Wypił niezliczoną ilość kaw, siedząc w lokalu Madame D'Orso, obserwując wszystkich wchodzących i wychodzących. Kiedy po godzinie lunchu liczba gości zmniejszyła się wyraźnie, zjawiła się właścicielka, jak zwykle krążąc między stolikami z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy.

Podeszła do Brenta.

- A cóż to? Dzisiaj sam? – zagadnęła wesoło.
- Na szczęście chwilowo.
- Rozumiem, że zostałeś jednym z przewodników?
- Tak, i bardzo się z tego cieszę. To świetna grupa.
- Szkoda, że Andrei już nie ma... – Madame westchnęła.
- Ona była kiedyś narkomanką. Wiedziała pani o tym?

Madame rozejrzała się, po czym przysiadła się do niego.

- Obiło mi się o uszy... Widać znowu wróciła do nałogu.
- Niektórzy w to nie wierzą.
- Nie tyle niektórzy, co jedna Nikki. Ona zawsze chce widzieć w ludziach samo dobro.

- Czyli pani zdaniem Andy znów zaczęła ćpać?
- Mój drogi, a cóżby innego?
- Musi pani przecież oglądać telewizję, czytać gazety... Media podawały informację o agencie FBI, który zmarł w taki tam sposób. Zresztą dziewczęta widziały go tamtego dnia właśnie w pani lokalu.

Madame bezradnie rozłożyła ręce, wyglądała na strapioną.

– Wiem, policja wypytywała mnie o niego. Bardzo chciałam im pomóc, a tu jak na złość nie zauważyłam go. Trudno się dziwić, bo rano i wcześniej po południu mam tu czasem taki ruch, że kręcę się jak w ukropie. Bogu albo mocom wudu niech będą dzięki. – Zabobonnie odstukała w spód blatu.

Brent zmienił temat.

– Mogłaby pani powiedzieć mi coś o Maksie? W końcu to mój szef, a ja w ogóle nic o nim nie wiem.

Madame prychnęła z dezaprobatą.

– Wyzyskiwacz! Sam palcem nie kiwnie, bawi nie wiadomo gdzie. Nikki wszystko za niego robi i to od samego początku.

– Może on po prostu świetnie umie rozdzielać obowiązki?

– Nie broń go. Wiesz, że nawet nie wrócił na pogrzeb Andy?

– A co pani powie o innych przewodnikach? W sumie ledwo ich znam.

Zawahała się, ale najwidoczniej lubiła plotkować, więc została z nim jeszcze przez chwilę.

– Wszyscy są bardzo mili. Patricia to urocze stworzenie, ale nie wiem, czy powinna aż tak ufać Nathanowi, on mi nie wygląda na równie zaangażowanego jak ona. Mitch... Sympatyczny chłopiec, chociaż czasem za bardzo się popisuje. Julian to urodzony aktor, gdyby miał większą siłę przebicia, zrobiłby karierę w Hollywood.

Uśmiechnął się.

– Pani byłaby świetnym przewodnikiem po mieście, powinna pani do nas dołączyć.

– Czemu?

– Przecież pani wie wszystko o wszystkim! Codziennie pani tyle słyszy od swoich klientów...

Lekceważąco machnęła ręką.

– Jednym uchem wpadnie, a drugim wypadnie. – Podniosła się z westchnieniem. – Miło się gawędzi, ale pora wracać do pracy.

– Madame, jest pani absolutnie pewna, że nie zauważyła tu Toma Garfielda, tego agenta FBI? – przycisnął ją ostatni raz.

– Mój drogi, gdybym zobaczyła w swoim lokalu jakiegoś podejrzanego obdartusa, wezwałabym patrol. Dlaczego zadajesz mi tyle pytań? Może powinienś zostać policjantem, nie myślałeś o tym?

Pokręcił głową, a Madame oddaliła się, by przywitać nowych gości.

Na prośbę Nikki Patricia i Nathan zgodzili się zamienić z nią wycieczkami – oni mieli poprowadzić wieczorną po Dzielnicy Francuskiej, ona zaś wzięła Dzielnicę Ogrodów z cmentarzem Lafayette. Bez trudu namówiła Juliana na towarzyszenie jej, ponieważ wolał snuć się za grupą, przysypiając na stojąco, niż wracać do mieszkania, w którym czekała nienasycona Susan.

Nic się nie wydarzyło. No, niezupełnie, przecież pokazał jej się Tom Garfield i nawet przekazał jej wiadomość. Z całą pewnością powiedział: „Tutaj. Dziś w nocy”.

Coś miało wydarzyć się tej nocy na Saint Louis Nr 1.

Przed bramą cmentarza Lafayette znajdowała się kwiaciarnia, więc gdy wycieczka dobiegła końca. Nikki kupiła dwa bukiety. Pierwszy zaniosiła do grobowca swojej rodziny. Stała tam przez jakiś czas, licząc na pojawienie się przyjaciółki. Czekiła, zastanawiając się przy okazji, gdzie właściwie zniknął Julian. Ponieważ nic się nie działo, poszła do grobu żony Brenta i złożyła na nim drugi bukiet.

I w tym momencie zdała sobie sprawę, że ktoś ją obserwuje.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Prosto z kawiarni “Madame D'Orso” Brent udał się na policję. Od pierwszej chwili wiedział, że jest śledzony.

I przez kogo.

Nie przeszkadzało mu to, raczej zaciekało.

Najpierw jednak musiał porozmawiać z Massey'em, a od wyniku tej rozmowy naprawdę wiele zależało.

– To musisz być ty, i to sam – powtórzył Brent chyba po raz setny.

Detektyw łypnął na niego spode łba.

– Jeśli to jest jakaś poważniejsza operacja, to...

– Tego właśnie nie wiem. Równie dobrze może się nic nie wydarzyć.

– Od kogo uzyskałeś te informacje?

– Wolałbyś nie wiedzieć – mruknął Brent.

Massey z irytacją potrząsnął głową.

– Czy tobie się wydaje, że ja nie mam nic lepszego do roboty, tylko łączyć nocą po cmentarzu?

– A masz jakiś inny punkt zaczepienia?

– Nie – przyznał ponuro.

Joulette podszedł do nich z kubkiem kawy w ręku, przyglądając im się z zaciekawieniem.

- Namawiam Massey'a na pewną eskapadę, ale to równie dobrze może być szukanie wiatru w polu – wyjaśnił mu Brent.

- Oczywiście pójdę z wami. Gdzie idziemy i po co?

- Mam powody przypuszczać, że na cmentarzu odchodzi niezły handel narkotykami – rzekł Brent, po czym zdradził tyle, ile uznał za stosowne, podając jako dodatkową wskazówkę napad na Marie McManus, która mogła nieświadomie zaskoczyć dealerów i dlatego została brutalnie zaatakowana. Oczywiście nie ujawnił, że jego informatorem jest duch starego niewolnika...

Joulette obrzucił partnera dziwnym spojrzeniem i spytał:

- Chciałeś tam iść, nic mi nie mówiąc?

Massey pokręcił głową, ale zdradzał go wyraz twarzy.

- Zastanawiam się, czy powinniśmy powiadomić Haggerty'ego.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Lepiej tego nie rozgłaszać – stwierdził w końcu Brent.

- A co? – Joulette nastroszył się. – Uważasz, że spartaczymy robotę?

- Tego nie powiedziałem. Po prostu możemy nikogo nie dopaść, bo nikogo tam nie będzie. Wtedy w oczach federalnych wyjdziemy na durniów. – Wstał z krzesła. – Widzimy się po zmroku na Saint Louis.

Wyszedł z posterunku, wiedząc doskonale, że Patricia będzie czekać na ulicy, nie przewidział jednak, że dziewczyna spłoszy się i ucieknie. Dogonił ją bez trudu. Nie próbował łapać jej za ramię, by ją zatrzymać, tylko cicho zawołał ją po imieniu. Stała, a potem powoli obróciła się ku niemu.

Uśmiechnął się.

- Szłaś za mną. Dlaczego?

- Ja... Właściwie sama nie wiem. Przypadkiem zobaczyłam, jak rozmawiasz z Madame, i to całkiem długo, zaintrygowało mnie to. A potem poszedłem prosto na policję...

- Wiesz przecież, że Nikki została wczoraj napadnięta.

- Moim zdaniem byłeś na posterunku z zupełnie innego powodu. I nie jesteś prawdziwym przewodnikiem. – Zerknęła na niego, spuściła wzrok. – Ale chyba nie chcę wiedzieć, kim jesteś naprawdę.

- Szłaś za mną – powtórzył. – Czemu?

Wyglądała na coraz bardziej zakłopotaną.

- Nie powinnam była.

- Patricia, widzę, że coś cię gnębi. Możesz mi o tym powiedzieć, bo cokolwiek usłyszę, zachowam to wyłącznie dla siebie.

Wciąż była wyraźnie zmieszana i niechętna do zwierzeń.

- Nie masz ochoty na kawę? - zaproponował.

- Raczej na mrożoną herbatę... - odparła po chwili ku uldze Brenta.

Widać mimo dużych oporów postanowiła z nim pogadać.

Znaleźli cukiernię, gdzie znajdowało się niewielu gości i zajęli stolik z dala od pozostałych. Patricia najpierw bawiła się łyżeczką, potem zaczęła składać i rozkładać serwetkę. Znowu była pełna wątpliwości i zaczęła się wycofywać.

- Nie powinnam tu z tobą siedzieć.

- Ale martwisz się o Nathana.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, jej oczy rozszerzyły się, a potem zarumieniła się leciutko.

- Nie trzeba być jasnowidzem, żeby mnie przejrzeć, prawda? - Westchnęła. - Jak go naprawdę kocham. I naprawdę się martwię.

- Dlaczego?

- Tej nocy, kiedy Andy... Obudziłam się, a jego nie było.

Uniósł brwi.

- Ale przecież to bez sensu - ciągnęła. - Nathan nie miał żadnego powodu... Jak w ogóle mogłam pomyśleć coś tak głupiego? On jest dobry, łagodny, kochany... Nie potrafiłby wyrządzić nikomu krzywdy. Raz przez pomyłkę nie zapłacił w sklepie za gumę do żucia, zorientował się po dwudziestu minutach i musieliśmy tam wrócić, bo on nie wyobrażał sobie, że mógłby postąpić inaczej. Nie wiem, co on robił tamtej nocy i gdzie był, ale... Chyba po prostu musiałam o tym komuś powiedzieć, a ty przecież przyjechałeś tu z powodu Andy, prawda? Próbujesz dowiedzieć się, co zaszło.

Delikatnie dotknął jej dłoni.

- Nie, sprowadza mnie tu co innego, jednak sprawa Andy ma z tym jakiś związek.

Patricia milczała przez chwilę.

- Jeśli go kocham, powinnam mu ufać... Ale też nie można być ślepym i głuchym.

Jęknęła cicho.

- Boże, nie wiem, co on by sobie pomyślał, gdyby wiedział, że siedzę tu z tobą i opowiadam ci o naszych prywatnych sprawach!

- Pozwól, że przy okazji delikatnie go wybadam, dobrze? Oczywiście nic mu nie powiem o naszej rozmowie.

Z wdzięcznością skinęła głową i wstała.

- Cieszę się, że Nikki trafił się taki mężczyzna. - Uśmiechnęła się. - Taki wspaniały.

- Dziękuję.

Patricia odeszła raptem dwa kroki, po czym odwróciła się, na jej twarzy znów malował się niepokój. Zawróciła.

- Nie zostawisz jej, prawda? To nie jest tylko... No wiesz.

To pytanie zaskoczyło go. Zastanawiał się nad odpowiedzią przez całą sekundę.

- Nie zostawię jej. Zostanę z nią tak długo, jak będzie tego chciała.

Podniósł się również, dołączył do Patricii i razem wyszli na ulicę.

- Mam nadzieję, że nigdy jej nie skrzywdzisz... kimkolwiek jesteś.

- Nigdy.

- I nie pozwolisz, by skrzywdził ją ktoś inny?

Na samą myśl o tym serce ścisnęło mu się tak, że przez moment prawie nie mógł oddychać.

- Prędzej zginę, niż pozwolę ją tknąć.

Uśmiechnęła się z uznaniem, a potem mruknęła melancholijnie:

- Ciekawe, czy Nathan też by tak powiedział, gdyby chodziło o mnie...

Nieważne. Idź poszukać Nikki.

Skinął jej głową i odszedł.

Joulette siedział przy biurku, udając, że czyta jakiś protokół, chociaż w rzeczywistości zastanawiał się intensywnie, co ma teraz zrobić. Spojrzał w stronę sąsiedniego biurka.

- Zadzwoń do Haggerty'ego? - zagadnął.

- Po co? Przecież nie wiemy, czy ta akcja wypali - burknął Massey, wstał i poszedł gdzieś.

Marc przez kilka chwil siedział bez ruchu, po czym zdecydował, że jeszcze jedna kawa mu nie zaszkodzi, za to na pewno rozjaśni mu w głowie. Podniósł się. Ledwie uszedł kilkanaście kroków, ujrzał swego partnera stojącego we wnętrzu sali, obróconego plecami do wszystkich, rozmawiającego przez telefon komórkowy.

Joulette zawrócił do dzielonego z Masseyem boksu, sięgnął po słuchawkę, zawahał się. Nie, nie stacjonarny. Wyjął swoją komórkę.

Wciąż jeszcze mówił, gdy do boksu wszedł Robinson. Joulette w pół słowa przerwał połączenie i schował telefon.

- Masz coś dla mnie?
- Nie wiem, ale może cię zainteresuje. Właśnie wezwano nas do mieszkania Andrei Ciello. Sąsiadka zauważyła zerwane plomby. Ktoś włamał się i wywrócił wszystko do góry nogami.
- Złodziej?
- Jeszcze nie wiemy, trzeba będzie wezwać jej przyjaciół, żeby powiedzieli, czy coś zginęło. Z cenniejszych rzeczy w mieszkaniu był sprzęt grający, DVD, trochę biżuterii. I to wszystko nadal tam jest. Na moje oko ktoś czegoś szukał.
- Kto was wezwał?
- Ta Włoszka, pani Montobello. – Robinson przewrócił oczami. – Ona też myśli, że ktoś czegoś szukał, tylko jej zdaniem to duch Andy. Gdybyście chcieli rzucić okiem na protokół, leży na moim biurku.

Po rozstaniu z Patricią Brent pobiegł do tramwaju i pojechał do Dzielnicy Ogrodów. Gdy wszedł na Lafayette Nr 1, cmentarz wydał mu się dziwnie cichy i pusty. Przystanął, zamknął oczy, poczuł wokół siebie chłodny dotyk mgły. Otworzył oczy.

Ujrzał niematerialnych mieszkańców miasta umarłych, lecz nie zauważył wśród nich Andrei ani znanego mu z fotografii Toma Garfielda. Miał nadzieję, że Nikki jeszcze nie wyszła, choć zapewne już zakończyła oprowadzanie wycieczki. Skierował się ku mauzoleum jej rodziny, lecz nie zastał tam nikogo, więc sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy, by do niej zadzwonić. Jednocześnie, kierowany przeczuciem, ruszył w stronę grobu Tani.

Z daleka ujrzał Nikki, lecz częściowo zasłaniał ją jakiś dziwny człowiek w czarnym płaszczu czy też pelerynie. Był bardzo wysoki, miał długie czarne włosy i przypominał jednego z tych cudaków, na brak których Nowy Orlean nie mógł się uskarżyć. Ten wyraźnie uważał się za wampira. Co gorsza, sprawiał wrażenie, jakby zamierzał zaatakować Nikki.

- Hej! – ryknął Brent.

Nikki obróciła się ku niemu, a mężczyzna w czerni wykonał taki gest, jakby chciał złapać ją za ramię. Brentowi pociemniało w oczach. Wcale nie przesadzał, mówiąc Patricii, że prędzej sam zginie, niż pozwoli tknąć Nikki. Dopadł ich w kilku susach, runął na napastnika, powalił go na ziemię, przyduślił.

- Brent, puść go! – krzyknęła Nikki, lecz on nie słuchał.
- Coś ty za jeden? – warknął groźnie. – Czego od niej chcesz?

Ku jego największemu zdziwieniu dziwak przyglądał mu się z rozbawieniem, a wreszcie z uśmiechem zerknął na Nikki.

- Zatrudniłaś ochroniarza? Tylko dla siebie czy dla całej firmy?
- Co? - spytał zbity z tropu Brent.
- Jestem Max Dubois. Twój szef.

Brent przez ładnych parę chwil trwał w bezruchu. Poczuł się jak kompletny idiota. Wreszcie podniósł się i pomógł Maksowi wstać.

- Brent Blackhawk - przedstawił się z zakłopotaniem.

Nikki przyglądała mu się takim wzrokiem, jakby zupełnie mu odbiło. W odpowiedzi leciutko wzruszył ramionami, dając jej do zrozumienia, że przecież nie mógł wiedzieć...

- Domyśliłem się - odparł Max, zdecydowanie bardziej ubawiony niż zły.
- Miło cię poznać.
- Przepraszam, ale wczoraj jakiś bandyta napadł na Nikki, więc teraz zareagowałem odruchowo.

- Rozumiem. Opowiedziała mi o wszystkim, wiem, że udało ci się spłoszyć tego drania. - Uśmiechnął się. - Masz czas? Może poszlibyśmy we trójkę na kawę?

Na myśl o kolejnej kawie Brent omal nie jęknął. Chyba przez cały następny tydzień nie weźmie do ust ani kropli.

- Tak, mam - odparł.

Max intrygował go. Po pierwsze, był straszliwie chudy, Brent nie zdziwiłby się, gdyby miał przed sobą narkomana. Max jednak nie sprawiał wrażenia wyniszczonego, więc może jednak nie ćpał. Po drugie, gdzie on się podziewał przez cały ten czas? Czemu nie wrócił do Nowego Orleanu nawet po śmierci Andy, która dla niego pracowała? A może wcale nie opuszczał miasta, tylko udał, że wyjeżdża, podczas gdy w rzeczywistości gdzieś się ukrywał, atakując kobiety i wyrywając im torebki? Nie, według Nikki napastnik był średniego wzrostu i średniej budowy... Ale nawet jeśli to nie Max napadł ją i Nancy, jego zachowanie nasuwało liczne pytania. Koniecznie należało go sprawdzić.

Nie tylko jego zresztą. Brent musiał też dokładnie prześwietlić Nathana. A potem pozostałych, ponieważ trop prowadził do kawiarni „Madame D'Orso”.

Max spojrzał na zegarek.

- Albo nie, lepiej skoczmy gdzieś na drinka. Ja zapraszam. Mój samochód stoi przy bramie, wrócimy razem do Vieux Carré. Pasuje wam?

Nikki po ledwie zauważalnym wahaniu skinęła głową, patrząc przy tym z troską na Brenta.

- Tak, dzięki za zaproszenie – powiedział.

Max ruszył ku bramie, za nim Nikki, zaś Brent został jeszcze przez moment przy grobie Tani. Swoim zwyczajem dotknął płyty na pożegnanie, jak zwykle czując przy tym ukłucie bólu i tęsknoty. Nagle zauważył piękny bukiet świeżych kwiatów. Czyżby od Nikki?

Podniósł wzrok i spostrzegł, że ona właśnie obróciła się, by sprawdzić, dlaczego im nie towarzyszy. Uśmiechnął się ciepło.

- Już idę.

Kosztowny lexus Maksa był cały zachlapany błotem, za to w środku panował idealny porządek.

- Przepraszam za jego wygląd, ale pojechałem na mokradła, miałem tam coś do załatwienia.

Nikki zaśmiała się cicho.

- Wygląda, jakbyś wjechał nim prosto w jakieś bagno.

Zajęła miejsce obok szefa, Brent usiadł z tyłu. Max zręcznie wykręcił i zawrócił w stronę Dzielnicy Francuskiej. Podchwycił we wstecznym lusterku zaciekawione spojrzenie nowego pracownika.

- Odwiedziłem znajomych poławiaczy krewetek. Wiecie, że nadal nie ma przepisu, który oficjalnie zezwalałby na połów? Dlatego wielu restauratorów woli kupować importowane mrożone krewetki, żeby nie wejść w kolizję z prawem, niż brać świeże od lokalnych dostawców. Ci ludzie nie mają innego źródła utrzymania i niedługo wszyscy pójdą z torbami, tylko nie wiem dokąd. Przeprowadzą się gdzie indziej? Za co? I co tam będą robić, skoro ich zawodem jest łowienie krewetek? Uważam, że powinni zebrać się razem i zacząć naciskać na polityków. Mogliby utworzyć wspólny front z restauratorami, przecież taniej jest kupować na miejscu, zresztą nasze krewetki są smaczniejsze. Trzeba jednak tych ludzi popchnąć do działania, oni sami są dość bierni. Ale co się dziwić? Ci, którym brak wykształcenia, bywają na ogół bezradni. Przez te dwa tygodnie wielokrotnie poruszałem z nimi ten temat.

Nikki obróciła ku niemu głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Coś takiego! Przecież miałeś być w Kolorado. Nie zrozum mnie źle, ogromnie się cieszę, że próbowałeś komuś pomóc... Och! – zawołała nagle ze zgrozą.

Obaj mężczyźni drgnęli gwałtownie.

- Co się stało? – spytali jednocześnie z niepokojem.

- Zapomniałam o Julianie!

- Jak to?

- Był razem ze mną na cmentarzu, potem gdzieś się zapodział. - Pośpiesznie wyjęła z torebki telefon komórkowy, a on jak na zawołanie zadzwonił. Odebrała połączenie.

Brent i Max słyszeli niewyraźny, podenerwowany głos Juliana i uspokajające odpowiedzi Nikki:

- Tak... Tak... Dobrze... Nic się nie martw, przecież powiedziałam, że dobrze.

Zakończyła rozmowę i spojrzała na Maksa.

- Czy moglibyśmy wrócić na Lafayette?

Zaśmiał się, znowu wykręcił zgrabnie jak rajdowiec i lexus pomknął w kierunku cmentarza.

- Aha, zwołałeś na dzisiaj wieczorem ważne spotkanie - ciągnęła. - Obecność obowiązkowa.

- Naprawdę zwołałem? - zdziwił się uprzejmie Max.

- Nie bądź taki - poprosiła.

- No dobrze. Jestem wrednym szefem, który nie daje wam chwili oddechu, tak?

- Tylko dzisiaj - zapewniła.

- Czy wy dwoje mówicie jakimś szyfrem? - zainteresował się Brent.

Nikki odwróciła się ku niemu.

- Nowy romans Juliana okazał się tak gorący, że biedak chyba się sparzył. Ona praktycznie już u niego mieszka, a teraz dopadła go na cmentarzu. Powiedział jej, że ma bardzo ważne spotkanie.

Julian czekał na nich przy bramie, u jego ramienia wisiała Susan. Przedstawił ją Maksowi i Brentowi, po czym odwieźli ją, ale do hotelu, nie do mieszkania Juliana. Odprowadził ją na górę, wrócił szybko, wskoczył na tylne siedzenie i poprosił:

- Max, gazu!

Lexus wyrwał do przodu, a Julian z ulgą opadł na oparcie i zamknął oczy. Po chwili otworzył je i spytał z wyrzutem:

- Nikki, jak mogłaś mi to zrobić?

- Kiedy ja nawet nie wiedziałam, gdzie ty się podziewasz.

- Dlaczego mnie nie szukałaś?

- Bardzo cię przepraszam, naprawdę, ale tyle się stało... Najpierw zniecka pojawił się Max, potem Brent, który prawie go napadł, no i...

- Co? - zdumiał się Julian.

- Nie wiedziałem, kim on jest - wyjaśnił Brent. - Z mojej perspektywy wyglądało to tak, jakby Nikki znowu wpakowała się w tarapaty.

- Prawie mnie napadł? - powtórzył Max. - Jak to „prawie”?

- Nie nazwałbym tego napaścią - uściślił Brent. - To była próba unieszkodliwienia potencjalnego złooczyńcy. Po tym, co się stało wczoraj, miałem przecież prawo zareagować nieco zbyt gwałtownie.

- Daj spokój, Nikki zna te stare cmentarze lepiej niż my wszyscy razem wzięci, wie, do których krypt można bez trudu wejść - powiedział Max. - W razie zagrożenia wiedziałaby, gdzie się schować i nikt by jej nie znalazł.

- Ale jeszcze trzeba mieć czas, by uciec i schować się - zauważył Brent. Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Czekaj! - powiedziała nagle Nikki, odwracając się do szefa. - Siedziałeś przez cały czas pod Nowym Orleanem i nie przyjechałeś na pogrzeb Andy? Jak mogłeś?

- Po pierwsze, spotkałem ją ledwie dwa razy. Po drugie, łowiliśmy krewetki w głębi bagien, nie mogłem żądać od przyjaciół, by przerwali pracę i odstawili mnie z powrotem na suchy ląd.

Julian miał coraz większe oczy.

- Łowileś krewetki?

Nikt go nie słuchał.

- Max, zatrudniłeś ją, pracowała dla ciebie, powinieneś był przyjechać na pogrzeb, skoro byłeś tak blisko - zganiła go Nikki.

- Tak naprawdę to ty ją zatrudniłaś, ja tylko zaakceptowałem twój wybór, bo poręczyłaś za nią, - Zawahał się. - Powiedziałaś mi, że przestała ćpać.

- Bo to prawda!

Westchnął.

- Oj, dziewczyno... Ty zawsze wierzysz, że ludzie są dobrzy, uczciwi i prawdomówni jak ty.

- Ale nie jestem naiwna.

- Nikki ma rację - wtrącił Brent, stając po jej stronie. - Nawet policja podejrzewa morderstwo.

Max spojrzał we wsteczne lusterko.

- Na jakiej podstawie?

- Mniej więcej w tym samym czasie wykończono agenta FBI, dokładnie w ten sam sposób. Był czysty jak łąza, nigdy w życiu nie brał narkotyków, a miał w żyłach ilość heroiny, która uśmierciłaby słonia.

- Ale co Andy mogła mieć wspólnego z agentem FBI?

- Spotkałyśmy go razem u Madame D'Orso – wyjaśniła Nikki. – To znaczy, wpadł na nas. Myślałyśmy, że to jakiś żebrak.

- No, nawet dałaś mu dwadzieścia dolców – przypomniał Julian.

- W takim razie przepraszam – rzekł ze skruchą Max. – Tak naprawdę nie przyjechałem, bo byłem trochę zły na ciebie, Nikki. Myślałem, że przez twoją nadmierną ufność zatrudniłem osobę, która miała problemy.

- Bardzo mi przykro, jeśli śmierć Andy sprawiła ci jakiś kłopot. Jej też na pewno byłoby przykro z tego powodu – skwitowała ostrym tonem.

- Wiesz, że nie to miałem na myśli.

Zapadła cisza, atmosfera stała się napięta.

Brent zaczął się zastanawiać, co robić. O zmroku miał spotkać się z Masseyem przy Saint Louis Nr 1, oczywiście nie zamierzał brać ze sobą Nikki. Za nic też nie chciał zostawiać jej w towarzystwie tych dwóch, ponieważ żadnemu nie ufał.

- Dokąd właściwie jedziemy? – spytał Julian. – Max, mógłbyś postawić drinka swoim ciężko pracującym przewodnikom.

- Właśnie zamierzam to zrobić. Staniemy przy biurze i skoczymy do knajpy przy kanale.

Brent dyskretnie sprawdził godzinę. Już po piątej.

Max zaparkował w bocznej uliczce, a gdy wysiedli, zwrócił się do Nikki:

- Dawno temu byłaś w biurze?

- Jakies dwa tygodnie.

- W takim razie zabiorę pocztę, musiało się jej sporo uzbierać.

Wyłowił z kieszeni czarnej peleryny klucze, podszedł do drzwi, przy których widniała tabliczka z napisem „Tajemnice Nowego Orleanu. Wycieczki z przewodnikiem. Biuro”.

- Sprawdzę przy okazji, czy ktoś nie nagrał się na sekretarkę – zdecydowała Nikki i poszła za nim.

Brent przystanął w progu razem z Julianem, zajrzał do środka. Biuro było niewielkie, lecz przyjemnie urządzone, od razu rozpoznał rękę Nikki. Na ścianach wisiały prace lokalnych artystów, pod jedną ze ścian stała sofa, przy przeciwnej szafy na dokumenty, środek zajmowało biurko, przy którym stał fotel, a z przeciwnej strony kilka krzeseł. Całości wyposażenia dopełniały komputer i telefon.

Max przykląkł w małym korytarzyku, by pozbierać listy, ulotki i broszury reklamowe, które wrzucano przez otwór w drzwiach. Nikki odsłuchiwała nagrane wiadomości. Najpierw odtworzyła się nagrana przez nią krótka informacja

o wycieczkach. Potem było kilka nagranych wiadomości, lecz wszystkie zostały w swoim czasie przekierowane na komórkę Nikki, więc odsłuchiwała je dość pobieżnie, by się upewnić, że żadna nie została pominięta, a potem wszystkie skasowała. Chociaż starała się niczego po sobie nie pokazać, Brent od razu spostrzegł, że coś jest nie tak.

Kiedy Max zamknął biuro i poprowadził ich w kierunku jednej ze swoich ulubionych knajp, Brent postarał się, by on i Nikki zostali trochę z tyłu. Poczekał, aż Julian wda się w rozmowę z Maksem, po czym spytał cicho:

– Coś cię niepokoi. Co?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, zaskoczona jego domyślnością, ale szybko się opanowała. Lekko wzruszyła ramionami.

– Cóż, zamordowano mi przyjaciółkę, zaczęłam widzieć duchy, a nawet z nimi rozmawiać, w dodatku... w dodatku wciąż nie wiem, kim ty tak właściwie jesteś.

– Wiesz o mnie wystarczająco dużo. I przestań udawać. Co cię gnębi? Westchnęła.

– Pamiętasz, jak parę razy miałam dziwne wrażenie, że ktoś był w mieszkaniu podczas mojej nieobecności? W biurze poczułam się podobnie. Nic nie zginęło, ale papiery na biurku leżały trochę krzywo. Nie patrz tak, jestem jednym z tych maniaków, którzy zawsze wszystko kładą równo i zawsze w tym samym miejscu.

– Może macie myszy w biurze? – rzucił lekkim tonem.

Spiorunowała go wzrokiem. Spoważniał.

– Nie martw się, postaram się sprawdzić, co się za tym kryje.

– Jak?

– Mam swoje metody.

– Nie wątpię... Teraz twoja kolej na udzielenie odpowiedzi. Jesteś spięty i już z dziesięć razy spojrzalesz na zegarek.

– Muszę koniecznie wyjść o zmroku i martwię się o ciebie.

– Nie ma potrzeby, mam Juliana i Maksa.

Kiedy nic na to nie odrzekł, aż jęknęła cicho.

– Zmiłuj się, znam Juliana od wieków, a z Maksem pracuję już od dłuższego czasu.

– Pewnie się rozzłościysz, kiedy to powiem, ale nie ja jeden mam wątpliwości co do pewnych osób z naszej grupy. Nie mogę zdradzić więcej, usłyszałem to w zaufaniu.

Przez chwilę szła obok niego w milczeniu, patrząc prosto przed siebie.

- W takim razie wrócę sama do domu.
- Ale przecież...
- Już nie boję się powrotu Andy.
- Nie podoba mi się, że zostaniesz sama. Jednak chyba nigdzie nie pój-
dę. Policja poradzi sobie i beze mnie.

- Nie! – zaprotestowała gwałtownie, obracając ku niemu głowę. W jej oczach widniała determinacja. – Idź i zrób to, co masz do zrobienia. Ja z przyjemnością posiedzę w domu, może znów zjawi się Andy. Chętnie z nią pogadam.

Przyjrzał jej się bacznie.

- Ty coś knujesz!

Właśnie przechodzili obok tarasu kawiarni Madame. Właścicielka dołała komuś kawy, wyprostowała się, ujrzała ich i aż zamarła z wrażenia. Podeszli.

- A kogo my tu mamy? Proszę, proszę, sam szef we własnej osobie!

Max uśmiechnął się i pocałował ją w pulchne policzki.

- Witam, Madame.

Poklepała go po twarzy.

- Oj, coś mizernie wyglądasz.

- Bo Brent go trochę poturbował – zażartował Julian.

- Jak mogłeś, mój drogi? – spytała Brenta z wyrzutem i nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do Maksa: – Nie wyrzuciłeś go?

- Szkoda by było, podobno znakomity z niego przewodnik, zwłaszcza po cmentarzach, zna historie, których nikt przedtem nie słyszał. – Max mrugnął do niej porozumiewawczo. – Kto wie, czy nocami nie zakrada się do grobowców, żeby porozmawiać bezpośrednio z duchami?

Madame lekceważąco machnęła ręką.

- Nie ma żadnych duchów.

- Myli się pani – odezwał się znajomy głos od stolika, który zasłaniała przed ich wzrokiem dorodna sylwetka Madame. – Istnieje wiele rzeczy, których ludzie po prostu nie widzą.

Hrabina podniosła się, a jej dziwne oczy od razu spoczęły na Nikki z sympatią, ale też z troską.

- Duchy rzadko chcą kogoś skrzywdzić – ciągnęła z ogromną powagą Hrabina. – Cmentarze nocą to bezpieczne i smutne miejsca. Kiedy jednak w tych czarnych godzinach pojawiają się na nich żywi i prowadzą tam swoje brudne interesy... wtedy rodzi się zło.

Madame zaśmiała się.

- Pani jest naprawdę dobra! - Przeniosła spojrzenie na Maksa. - Przyszliście na kawę? Siadajcie, proszę, zaraz przyniosę. Dziś na mój koszt, żeby uczcić twój powrót.

Julian zamachał rękami.

- Bardzo pani miła, Madame, ale dzisiaj stawia Max, i to coś mocniejszego.

- Naprawdę nie chcecie kawy? - spytał Max.

- Nie próbuj się wykręcić - ostrzegł go Julian.

- W takim razie idziemy dalej.

Skinęli głowami Madame i Hrabinie. Ta ostatnia przez cały czas nie odrywała spojrzenia od Nikki.

- Po zmroku cmentarze nie są miejscem dla żywych - rzekła dobitnie i odeszła.

- Dziwna osoba nawet jak na Nowy Orlean - skwitowała Madame.

Ruszyli we czwórkę dalej, a Brent i Nikki znów zostali trochę z tyłu.

- Do diabła, co się dzieje? Co znaczyły słowa Hrabiny?

- Nie mam pojęcia.

Zdenerwował się nie na żarty.

- Nikki, nie udawaj idiotki i nie traktuj mnie jak debila. Wiem, kim jest Hrabina. Mów.

Zawahała się, po czym podjęła decyzję i wyrzuciła z siebie szybko:

- Idę wieczorem na cmentarz. Po południu zobaczyłam podczas oprowadzania wycieczki na Saint Louis Toma Garfielda, próbował mi coś powiedzieć, jestem prawie pewna, że kazał mi tam przyjść dziś w nocy. On chyba wie, co mu się przydarzyło, a więc wie również, co naprawdę stało się z Andy. Może dzisiaj uda mi się rozwiązać zagadkę. Muszę tam iść.

- Co?! - prawie krzyknął Brent. - Czyś ty oszalała? Czy ty nie wiesz, jakie to jest niebezpieczne? Zamierzałaś iść sama po nocy na cmentarz, nie uprzedzając mnie o tym? - pytał z niedowierzaniem. - Widziałaś Garfielda i nic mi nie powiedziałaś? Przecież obiecałaś...

- Wybacz, a kiedy miałam ci powiedzieć? Kiedy dusiłeś Maksa czy jak odwoziliśmy Susan do hotelu? A może w obecności Madame i Hrabiny?

Zreflektował się nieco.

- Dobra, faktycznie nie było sposobności, ale jak w ogóle mogłaś pomyśleć o samotnej eskapadzie na Saint Louis?

- Brent, ja naprawdę znam masę doskonałych kryjówek na cmentarzu, założę się, że więcej niż ty. Schowam się, nikt mnie nie zauważy. Będę tylko

obserwować, co się dzieje. Z jakiegoś powodu Tom Garfield ma do mnie zaufanie. Muszę tam iść, nie rozumiesz?

Nie zdołał odpowiedzieć na pytanie Nikki, gdyż Max i Julian zatrzymali się, by na nich poczekać.

– Coś nie tak? – zawołał Julian tonem zaniepokojonego starszego brata, gdy dostrzegł wściekłą minę Brenta.

– Nie, już idziemy! – odkrzyknęła Nikki.

– Potem pogadamy – warknął cicho Brent.

– A dokąd ty się wybieralesz dziś w nocy? – spytała równie cicho dość ostrym tonem. – Czy aby nie w to samo miejsce?

– Ja to co innego. Zresztą jestem umówiony z policją. Twoja obecność jest zbędna, a nawet niepożądana.

– Mylisz się – ucięła. – Beze mnie nic nie zrobisz. Nie zapominaj, że to ze mną Garfield chce rozmawiać.

Westchnęła, przyspieszyła kroku i z uśmiechem wzięła pod rękę czekającego na nich Juliana.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ku zaskoczeniu Nikki Brent nie poszedł z nimi dalej.

Widać wściekł się na nią bardziej, niż sądziła, ale jej zdaniem nie miał prawa, przecież naprawdę nie było czasu, by opowiedzieć mu o spotkaniu z Garfieldem. Nim jednak się rozstali, zwrócił się do niej:

– Wpadnę po ciebie przed ósmą, dobrze?

Bez słowa skinęła głową. Pożegnał się wtedy z Julianem i Maksem, tego ostatniego jeszcze raz przeprosił za niefortunny sposób zawarcia znajomości, po czym dodał, że ma kilka ważnych spraw do załatwienia i musi ich opuścić. Na koniec jeszcze raz spojrzął na Nikki. a jego wzrok mówił wyraźnie: „Przyjdę po ciebie. Czekaj na mnie”.

– Nietuzinkowy człowiek – podsumował krótko Max, gdy zostali we trójkę.

– Zdecydowanie nietuzinkowy – zgodził się Julian. – Na początku nie miałem do niego zaufania, ale chyba nie okazałem się najlepszym znawcą charakterów. – Mówiąc to, nie odrywał czujnego spojrzenia od twarzy Nikki.

Weszli do knajpki, zaprowadzono ich do stolika, zjawił się kelner. Max zamówił martini. Julian również, lecz Nikki wolała nie pić nic mocniejszego,

wybrała piwo. Przyłapała się na tym, że ukradkiem rozgląda się dookoła, by sprawdzić, czy nie przygląda jej się nikt podejrzany. Czyżby zaczynała popadać w paranoję? Czy resztę życia spędzi w strachu przed mordercą Andrei, który mógł czyhać i na nią?

- Skąd pochodzi Brent? – zainteresował się Max.
 - Z Nowego Orleanu.
 - Naprawdę? Nigdy przedtem go nie widziałem. Ciekawe...
 - Myślę, że mieszka tu całkiem sporo ludzi, których nigdy nie widziałeś
- zauważyła Nikki.
- Akurat on mocno rzuca się w oczy.
 - Ale przez ładnych parę lat go tu nie było – wyjaśniła.
 - W każdym razie wygląda na to, że nie mógł zjawić się w lepszym momencie, co?
- To prawda... – zaczął Julian, lecz Nikki ostrzegawczo kopnęła go pod stołem.

Sama nie wiedziała, czemu to zrobiła. Czy przestała ufać Maksowi, ponieważ ukrywał przed nimi prawdziwe miejsce swojego pobytu?

Julian zamilkł posłusznie, lecz przy tym obrzucił ją spojrzeniem, które niedwuznacznie dawało do zrozumienia, że przyjaciółka powinna znowu udać się do lekarza.

- Max, opowiedz nam o tych poławiaczach krewetek – zaproponowała Nikki, pragnąc sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory.

Nie musiała prosić dwa razy. Max był tak zapalony do sprawy, że natychmiast zaczął opowiadać o życiu na bagnach, o trudnej walce o przetrwanie, o rażących zaniedbaniach ze strony polityków, których nie obchodziły biedne i pozbawione siły przebicia grupy społeczne. Nikki zdołała zapomnieć o swoich obawach, tak ją pochłoniął ten temat, ale nawet wtedy nie przestała jej dręczyć jedna myśl. Dokąd poszedł Brent?

I w jakim celu?

Brent wrócił do hotelu i zadzwonił do Adama.

Nie miał pojęcia, jak tamten tego dokonał, ale w ciągu dwudziestu minut przekazał Brentowi informację, że Vince Haggerty na pewno jest prawdziwym agentem FBI i faktycznie ma opinię samotnika. Do tego Adamowi udało się też sprawdzić, czy w ciągu minionych dwóch tygodni Max Dubois posłużył się którąś ze swoich kart płatniczych na terenie Nowego Orleanu. Ani razu.

Gdy skończyli rozmawiać. Brent wyjął z walizki laptop, odebrał pocztę i przeczytał przesłane mu przez Adama dossier dotyczące wszystkich osób pracujących w firmie. Nic podejrzanego, żadne z nich nie było nigdy notowane, z wyjątkiem Andrei Ciello. Parę razy została zgarnięta przez policję, trafiła nawet na krótko za kratki, ale po pobycie na detoksie przestała sprawiać kłopoty.

Akta żadnej z osób nie dostarczały najmniejszej wskazówki, trudno przecieżyć było podejrzewać Juliana tylko dlatego, że miał talent aktorski. Chodził z Nikki do tej samej szkoły, był o rok wyżej, potem razem studiowali. Miał znakomite oceny, prowadził teatr akademicki, po uzyskaniu dyplomu pracował przez jakiś czas jako barman, potem spędził parę miesięcy w Europie, po powrocie występował z monodramem w jednym z lokalnych teatrów, wreszcie został przewodnikiem.

Przejrzawszy otrzymane informacje, Brent ponownie zadzwonił do Adama i zażądał informacji na temat Maseya i Joulette'a.

- Aha, spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej o Haggertym. I o kawiarni o nazwie „Madame D'Orso”. Może na wszelki wypadek sprawdź też właścicielkę.
- Zastanawiał się przez chwile, po czym dodał: - I niejaką Hrabinę Moodoo Hoodoo Voodoo.

- Z dwiema ostatnimi pójdzie łatwo, ale dogrzebanie się do czegoś o gli-niarzach i agencie FBI potrwa dłużej, wiesz, jak to jest - ostrzegł Adam.

- Postaraj się, bardzo mi na tym zależy. Z góry dziękuję.

Kilka minut później Brent miał już kolejne informacje. Jak przewidywał Adam, policja i federalni nie okazali się zbyt pomocni. Przekazali mu jedynie fotografie interesujących go osób. Brent w życiu nie rozpoznałby Maseya na jego zdjęciu z młodości. Haggerty musiał przed sesją fotograficzną udać się do stylisty, ponieważ wyglądał na zdjęciu o niebo lepiej niż w rzeczywistości. Jeden Joulette przypominał samego siebie.

Madame D'Orso, w rzeczywistości Debra Smith, przybyła do Nowego Orleanu z północy kraju przed piętnastoma laty. By otworzyć kawiarnię, wzięła spory kredyt, odsetki spłacała regularnie.

W lokalu wróżki poprzednio mieścił się sklep z zabawkami. Wcześniej Hrabina miała sklepik na przedmieściu, a kiedy stała się dość znana, mogła sobie pozwolić na otworzenie interesu w bardzo popularnej wśród turystów Dzielnicy Francuskiej.

Nadal żadnego punktu zaczepienia. Brent z irytacją wyłączył laptop, wyjął z walizki pistolet, podwinął nogawkę, przypiął broń nad kostką, opuścił no-

gawkę, zabrał materiały o Archibaldzie McManusie, które parę dni wcześniej wydrukował w bibliotece i wyszedł z hotelu.

Po drodze i tak miał mijać pensjonat, w którym zatrzymała się Marie, więc zamierzał zostawić dla niej kopertę na portierni. Przypadek chciał, że akurat wtedy w holu pojawiła się również Marie, która wychodziła na miasto. Ucieszyła się na widok Brenta, a na widok koperty jeszcze bardziej. Podziękowała mu gorąco.

- Jak się czujesz? - spytał.

Wciąż jeszcze była mocno posiniaczona, ale nastrój miała dużo lepszy niż w szpitalu. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, dziś już całkiem dobrze. Cieszę się, że uniknęłam czegoś znacznie gorszego. I wie pan co?

- Co?

- Duchy naprawdę istnieją.

- Czemu tak myślisz?

- Bo dlaczego ten bandzior dał mi po głowie, a potem uciekł? Nie zabił mnie, nie okradł. Ktoś go spłoszył. Może będzie pan się śmiał, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby uratował mnie duch tego starego niewolnika. Muszę mu się jakoś odwdziaczyć.

- Marie, ani mi się waż narażać się na jakieś niebezpieczeństwo! - ostrzegł ostro. - Huey nie żyje od ponad stu lat, nic już nie możesz dla niego zrobić.

- Proszę się nie obawiać, przecież obiecałam zachować ostrożność. Ale i tak chcę mu się jakoś zrewanżować, tylko nie wiem jak. - Zawahała się. - Wie pan, myślę, że na tym cmentarzu dzieje się coś... niedobrego.

- Nie zajmuj się tym. Nie próbuj tam chodzić po nocy, w ciągu dnia możesz, ale w większym towarzystwie - przypomniał.

Marie solennie obiecała zastosować się do jego rad. Gdyby równie łatwo dało się przekonać Nikki, pomyślał z żalem. Z drugiej strony rozumiał jednak, że ktoś nie chce czekać jak bezwolna ofiara, aż stanie się zdobyczą bandyty. Nikki miała prawo być zła.

Pożegnał się z Marie, wyszedł na ulicę. Kilka minut później schował się w bramie nieopodal mieszkania Patricii i Nathana. Nie musiał długo czekać. Wyszli, kierując się do „Madame D'Orso”, skąd niedługo mieli wyruszyć na wieczorną wycieczkę. Niepostrzeżenie poszedł za nimi, próbując podsłuchać ich rozmowę.

Patricia powiedziała, że ma ochotę poprowadzić grupę, chociaż to nie jej kolej, na co Nathan bardzo chętnie przystał, dodając coś o zmęczeniu i kłopotach ze snem. Kiedy dotarli na miejsce, został na tarasie, zaś Patricia weszła do środka, by zamówić kawę. Brent skorzystał z okazji i usiadł naprzeciwko Nathana, który aż drgnął ze zdziwienia.

- Nie mam czasu - oznajmił Brent bez wstępu.
- Słucham?
- Co ty ostatnio robisz po nocach na mieście? Widziałem cię - zablefował.

Nathan poruszył się niespokojnie.

- O czym mówisz, u licha?
- Ona zaraz wróci tu z kawą.
- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.
- Zadam ci to samo pytanie w obecności Patricii.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Nathan pochylił się nad stołem.

- Jeśli sugerujesz, że mógłbym wyrzucić Andy jakąkolwiek krzywdę albo że mam coś wspólnego z narkoty...
- Niczego nie sugeruję. Chcę znać prawdę. I lepiej, żebyś podparł ją dowodami. - Spojrzał przez okno do środka kawiarni. Patricia właśnie płaciła za kawę młodej dziewczynie stojącej za ladą. - Czas ucieka.

Patricia zabrała filiżanki i ruszyła ku drzwiom prowadzącym na taras.

- Ostatnia szansa... - poinformował Brent.

W oczach Nathana błysnęła panika.

- Dobrze, przyznaję, była inna kobieta, ale to już skończone, naprawdę skończone! - wyrzucił z siebie. - Chyba za szybko zgodziłem się na wspólne życie, bałem się, że to pułapka, sam nie wiem, chciałem sobie udowodnić...

- Kiepska bajeczka - przerwał mu Brent.
- Przysięgam! Spotkaliśmy się w barze, nazywa się Varina White, jest z Chapel Hill w Karolinie Północnej, już wyjechała, ale mam jej numer, mogę ci dać, tylko na miłość Boską nie...

- Jeśli skłamałeś... - rzucił cicho Brent, nie kończąc pogróżki. Wstał: - Cześć, Patricia! - Odsunął dla niej krzesło.

- O, Brent! Szkoda, że cię wcześniej nie zauważyłam, przyniosłabym kawę i dla ciebie.

- Dziękuję, ale i tak nie mógłbym z wami zostać. Akurat przechodziłem obok, zobaczyłem Nathana na tarasie, więc podszedłem na chwilę, żeby się przywitać i powiedzieć, że Max wrócił.

- To świetnie – rzekła Patricia, a Nathan tylko skinął głową, nie patrząc na nikogo i wsypując do swojej filiżanki jedną łyżeczkę cukru za drugą. Ręce mu drżały.

- Naprawdę nie możesz z nami zostać? – spytała Patricia.

- Naprawdę, zresztą zakochanym nie należy przeszkadzać. Aha, i wolałbym, żebyście się nie rozstawali. Po tym, co się przydarzyło Andrei...

- Będę się trzymać Nathana, obiecuję.

Brent skinął im głową, odwrócił się i odszedł.

Rzadko mylił się co do ludzi, więc ta rozmowa uspokoiła go. Nathan powiedział szczerą prawdę. Brent dałby za to głowę. Zaskakująca była jedynie łatwość, z jaką udało się go nakłonić, by wszystko wyśpiewał. Wystarczyło mu uświadomić, że może stracić Patricię.

Jedna zagadka rozwiązana. Brent sprawdził godzinę i zaklął cicho. Robiło się późno, już nic więcej nie uda mu się dzisiaj załatwić. Pospieszył w stronę Bourbon Street.

- Dobra, dzieciaki, pora się zbierać, mam jeszcze dzisiaj to i owo do załatwienia – oświadczył Max, po czym z powagą spojrzał na Nikki. – Dzięki za wszystko. No i przepraszam. Trochę za dużo zwałem ci ostatnio na głowę i nawet nie przyjechałem na pogrzeb. Chyba jestem większym egoistą, niż mi się wydawało. Za to ty spisałaś się na medal.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Cóż, zawsze mówiłeś, że grunt to dobrze rozdzielić obowiązki. Ty założyłaś firmę, ja robię resztę.

- Powinieneś zrobić ją współniczką – zauważył Julian.

- Hej, właśnie zafundowałem wam drinki i owoce morza, nie wystarczy? – zaprotestował Max. Wstał, pochylił się, ucałował Nikki w policzek. – Dobra, na jutro zwołuję zebranie, obecność obowiązkowa. Obiecuję, że będę się bardziej przykładał do obowiązków.

- Tylko nie zapomnij! – zawołał za nim Julian, po czym obrócił się z powrotem do Nikki. – Masz ochotę na następną kolejkę? Czeka, przecież ty się jeszcze nie napiłaś, ledwo spróbowałaś piwa, a potem zamówiłaś mrożoną herbatę.

Podniosła się.

- Muszę wracać do domu.

- Idę z tobą.

- Po co? Nic mi się nie stanie, pewnie Brent już na mnie czeka.

- Nie będziesz chodzić sama po ulicach, odprowadzę cię.

Westchnęła, zdenerwowana jego uporem, ponieważ tego wieczoru towarzystwo Juliana było jej ogromnie nie na rękę. Będą musieli z Brentem od razu wyjść, lepiej, by Julian o tym nie wiedział i nie zadawał pytań.

- Przecież to całkiem blisko, a na ulicach jest pełno ludzi. Naprawdę nie trzeba mnie niańczyć. Oczywiście doceniam twoją troskę i dobre chęci. Tak wiele dla mnie zrobiłeś. Jestem ci bardzo wdzięczna, trudno wyobrazić sobie lepszego przyjaciela, ale dzisiaj...

- Dzisiaj mogłabyś się odwdziaczyć i zaproponować mi nocleg. U mnie na pewno czeka już Susan.

- Nie zachowuj się jak dziecko - zbeształa go. - Nie wrócisz do siebie, bo tam siedzi dziewczyna, której nie umiesz wyprosić? Powiedz, żeby sobie poszła.

- Najpierw cię odprowadzę - powtórzył z uporem.

Kiedy dotarli do jej do domu. Nikki spodziewała się, że Julian pożegna się z nią przy furtce, lecz on wszedł na werandę.

- Słuchaj, prześpię się u ciebie w pokoju gościnnym, co? Brent na pewno z niego nie korzysta.

- Julian, idź do siebie i wytłumacz taktownie Susan, że nie jesteś gotów zaangażować się w związek w takim stopniu, w jakim ona by sobie tego życzyła.

Skinał głową z rezygnacją, lecz nadal stał przed jej drzwiami.

- O co chodzi? - spytała.

- Nie ruszę się stąd ani na krok, dopóki Brent nie przyjdzie.

Jęknęła.

- Dobrze, wejdź.

Gdy Nikki otworzyła Brentowi drzwi, miała trochę dziwny wyraz twarzy. Pewnie znowu zjawiała się Andy, pomyślał, lecz w salonie siedział mężczyzna z krwi i kości.

- Julian nie chciał mnie zostawić, dopóki nie przyjdiesz - wyjaśniła Nikki.

- Dzięki - rzekł Brent. - Jak widzisz, już jestem - dodał, gdy tamten nie ruszył się z kanapy.

- Nie wiem, co zamierzacie, ale nie zrobicie tego beze mnie - oświadczył z determinacją Julian.

Nikki zaśmiała się cicho, lecz chwilę potem zdradziło ją pobrzmiwające w jej głosie napięcie, chociaż starała się obrócić całą sprawę w żart.

- Rozumiem, że twoje życie erotyczne chwilowo przerosło możliwości, ale z moim wszystko jest w najlepszym porządku. Nie potrzebuję przyzwoitki.

- Akurat nie seks wam teraz w głowie – stwierdził bezceremonialnie. – Bardzo dziwnie zachowywałaś się dzisiaj na Saint Louis, od tamtej pory obserwowałem cię uważnie. Coś się święci.

- Tak, widziałam, jak mnie obserwowałeś – zakpiła. – Oczy ci się kleiły, spałeś na stojąco.

- Tak ci się tylko wydaje – sprostował. – I nie próbuj mnie oszukiwać. Znam cię. Znam cię lepiej niż on. Wiem, że coś knujesz.

Brent zacisnął zęby. Czas naglił, a oni tymczasem nie umieli pozbyć się Juliana. A jeśli to dobry moment, by przekonać się, na ile można mu ufać? Tylko czy cena nie okaże się zbyt wysoka?

Błyskawicznie rozważył sytuację. Będzie miał do pomocy Massey'a i Joullette'a, może zatem zaryzykować.

- Dobrze, chodźmy.

Nikki spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jak to?

- Idziemy, tylko on musi najpierw zmienić koszulę. Włóż coś czarnego. Julian, inaczej będziesz rzucał się w oczy.

Zaskoczony takim łatwym zwycięstwem Julian zerwał się na równe nogi, skoczył ku schodom, ale w połowie drogi zatrzymał się i odwrócił do Brenta.

- Słuchaj, wymyśliłeś to, żebyście mogli się wymknąć, kiedy będę się przebierał?

- Nie. Poczekamy na ciebie.

Kiedy Julian zniknął na piętrze, Nikki spytała natychmiast:

- Pozwolisz mu iść z nami?

- Pójdzie tak czy owak.

- Przecież mu nie ufasz – przypomniała. – Ty w ogóle nikomu nie ufasz.

- On nie odpuści. Dlatego wolę, żeby był z nami, niż żeby nas śledził.

- Chcesz go mieć na oku – odgadła, po czym dodała ostrym tonem: – Dla naszego bezpieczeństwa, tak?

- Dla jego własnego też – rzekł z powagą Brent.

Julian zbiegł po schodach, a podejrzliwy wyraz jego twarzy świadczył o tym, że mimo obietnicy Brenta wcale nie był pewien, czy na niego zaczekają. Starannie zamknęli drzwi i wyszli na ulicę.

- Nie powinniśmy przemykać się pod ścianami? – spytał po chwili Julian.

Brent z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Przyjaciel Nikki wyglądał na bardzo przejętego.

- W tej części dzielnicy nie ma to sensu, tu jest pełno ludzi.
- Aha.

Kiedy jednak oddalili się nieco od najbardziej uczęszczanych miejsc, Brent faktycznie poprowadził ich w cieniu budynków, gdy zaś zbliżyli się do cmentarza, kazał im iść gęsiego przy samym murze.

- W tym miejscu łatwo przeskoczyć - wyszeptał w pewnym momencie Julian.

- Brama będzie otwarta - odparł równie cicho Brent.
- Skąd wiesz?
- Przeczucie.

I rzeczywiście. Albo ktoś już wszedł na teren cmentarza przed nimi, albo Huey zdołał jakoś otworzyć bramę. Wślizgnęli się do środka i otoczyła ich zupełna cisza.

Brent zamknął oczy, odetchnął głęboko, otworzył je z powrotem.

Przed nim stał Huey.

- Jeszcze ich nie ma. Może w ogóle nie przyjdą. W każdym razie jeszcze za wcześnie.

Brent skinął głową.

- Musimy się gdzieś schować - szepnął.

Nikki natychmiast wskazała znajdujący się nieopodal grobowiec ozdobiony klasycznymi greckimi kolumnami. Ręcznie kuta brama z żelaza uchyliła się bez trudu, wystarczyło lekko ją pchnąć. Pod ścianami stały trumny, na środku znajdowało się kilka wmurowanych sarkofagów, betonową podłogę pokrywała gruba warstwa pyłu i kurzu, witrażowe okna były częściowo stłuczone, mogli więc obserwować, co dzieje się dookoła. Na razie panował spokój, między nagrobkami i figurami aniołów mogli dojrzeć jedynie blask księżyca.

- Co teraz? - spytał niemal bezgłośnie Julian.
- Czekamy - odparł Brent.

Julian skinął głową, usiadł przy jednym z sarkofagów, oparł się o niego. Brent podszedł do okna z wybitą szybą. Z rozgrzanej w ciągu dnia ziemi unosiła się mgła, w niektórych miejscach zdawała się gęstsza. Jedno z takich skupisk zaczęło powoli zbliżać się do grobowca, w którym się ukrywali, otaczała je biała poświata. Brent wstrzymał oddech.

Oby się nie rozplynęło, oby szło właśnie do nich...

Nikki stanęła tuż za nim, widziała to samo. Serce biło jej coraz mocniej.

- O Boże... - wyszeptała.

Nie chciała się bać. Nie chciała się bać tej mgły, ale ona stawała się coraz gęstsza i... i robiło się zimno, bardzo zimno, lodowato.

- Co my tu, do cholery, robimy? - spytał z irytacją Joulette.

- Gapimy się na cmentarz - wyjaśnił Massey, który siedział za kierownicą.

Joulette spojrział na zegarek, pokręcił głową i napił się trochę kawy z kubka od termosu.

- Czy nam zupełnie odbiło? I czemu nie pracujemy o normalnych godzinach jak normalni ludzie?

- Bo jesteśmy z policji.

Joulette wyprostował się gwałtownie.

- Cholera, patrz!

- Co, gdzie?

Joulette wskazał coś kubkiem, rozchlapując kawę. Ciemna sylwetka skradała się wzdłuż muru cmentarza na wysokości tak zwanych pieców. Była to kolejna z osobliwości nowoorleańskich nekropolii. Zdarzało się, że ktoś umierał przed upływem owego roku i dnia, po których można było otworzyć grobowiec i wstawić nową trumnę w miejsce którejś z poprzednich. Trumny przechowywano więc w otworach muru, co zyskało miano „pochówku w piecu”, ponieważ w gorącym klimacie Luizjany mur i jego zawartość nagrzewały się do całkiem wysokiej temperatury.

- A jednak! - powiedział Massey.

Otworzył drzwi, by wysiąść z samochodu, lecz one zatrzasnęły się z powrotem. Zaskoczony podniósł wzrok.

Za oknem ujrzał kolejną ciemną sylwetkę.

Skupisko mgły zatrzymało się przed wejściem do grobowca i zaczęło przybierać wyraźniejsze kształty. Julian zamarł, ponieważ do środka wdzierało się dziwne, przenikliwe zimno.

- Co... Co? - wyjąkał.

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

- To on? - spytał Brent.

- Chyba tak - odparła Nikki.

Nagle poczuła na plecach lodowaty dreszcz, obróciła się i ujrzała Andy.

- Dobrze, że jesteś, potrzebuję cię - wyszeptała Nikki.

Brent odwrócił się także i on również ucieszył się na widok ducha.

- Andy, on musi nam pomóc, jeśli mamy dopaść tych, którzy skrzywdzili was oboje. Idź do niego.

Skinęła głową, choć wyglądało to tak, jakby musiała włożyć w tę czynność dużo wysiłku.

- Bardzo trudno mi być... tutaj. Nie wiem... dlaczego. Ale postaram się.

- On nazywa się Tom Garfield. Wytłumacz mu, że koniecznie potrzebuję jego pomocy.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Cała trójka usłyszała nagle szcęk zębów Juliana.

- Powariowali oboje, gadają do... do ściany. Boże, jak tu zimno... O tej porze roku, w Nowym Orleanie? To przez te kamienie, przez te kamienie... - mamrotał, ale bez większego przekonania.

Andy obrzuciła go pełnym politowania spojrzeniem, po czym wzruszyła ramionami.

- Mimo to fajny z niego chłopak - mruknęła.

Wyszła z mauzoleum - mglista, zimna, otoczona poświatą. Duch Toma Garfielda, poważny i smutny stał bez ruchu w alejce, przyglądając jej się z wyraźną nieufnością, ale pozwolił jej podejść. Wyciągnęła rękę, delikatnie dotknęła jego ramienia, powiedziała coś, obróciła się w stronę grobowca.

- Ty pierwsza - szepnął Brent. - To z tobą próbował nawiązać kontakt.

- Zwariowali, zupełnie zwariowali - powtarzał Julian, trzęsąc się jak osika.

- Siedź cicho - upomniała go Nikki.

- Może jednak lepiej było spędzić kolejną noc z tą nienasyconą harpią - lamentował, łapiąc się za głowę.

- Julian! - odezwał się Brent cicho, lecz tak ostrym tonem, że tamten natychmiast umilkł i spojrzał na niego przestraszony. - Zamknij się. Na cmentarzu to nie duchy są niebezpieczne.

To go trochę otrzeźwiło. Przestał dygotać, bez słowa skinął głową.

Nikki uchyliła bramę, która skrzypnęła, co w panującej dookoła ciszy zabrzmiało nienaturalnie głośno. Tom zmaterializował się już tak dalece, że znów można było z powodzeniem wziąć go za żywego człowieka. Przeniósł spojrzenie z Andy na zbliżającą się ku nim Nikki.

- Tom, szukałeś mnie - rzekła bez wstępów. - Teraz już umiem z tobą rozmawiać.

Brent szedł tuż za nią.

- Jestem Brent Blackhawk. Nikki ma do mnie zaufanie, oboje chcemy ci pomóc. Mam za zadanie odnaleźć twoich morderców.

Julian obiecał co prawda siedzieć cicho, lecz to przerosło jego możliwości. Słyszeli dobiegające z wnętrza grobowca ciche biadolenie:

- O Boże, Boże, Boże, oni proszą duchy o pomoc...

Nikki obejrzała się. W ciemności zdołała dostrzec skulony ciemny kształt przed jednym z sarkofagów.

Julian zakrył twarz dłońmi.

- Co ja tu robię? - wyjęczał.

Odwróciła się z powrotem do Toma Garfielda. Wpatrywał się w Brenta, oceniał go, namyślał się. Trwało to kilka naprawdę długich chwil, Tom nie spieszył się z podjęciem decyzji. Wreszcie odezwał się, a jego głos brzmiał chropawo i rwał się, jakby duch dopiero uczył się mówić:

- Niedługo... tam z tyłu... przy piecach. Tam przychodzą... mają kryjówkę. Nie jestem pewien... gdzie dokładnie. Zawsze są... zamaskowani.

- Chodźmy - zażądała Nikki.

- Nie, ty nie - zaoponował Brent. - Zostań z Julianem.

- Idę z tobą.

- Nie, proszę. Nie będę sam, za murem jest policja.

Nagle z tyłu cmentarza dobiegł ich głuchy odgłos - jakby ktoś zeskoczył z muru. Potem rozległo się kilka następnych.

Brent pchnął Nikki w stronę grobowca.

- Błagam... Tak będzie mi łatwiej. Gdy wiem, że coś ci grozi, tracę szybkość i refleks.

To ją przekonało, cofnęła się. Mgła wokół nich zaczęła gęstnieć, pojawiało się coraz więcej świetlistych skupisk. Tom Garfield ruszył alejką. Brent bezszelestnie podążył za nim. Andy odprowadziła ich spojrzeniem i rozwiała się. Nikki zawróciła do grobowca, gdzie Julian kulił się na betonowej podłodze. Podniósł na nią zawstydzone spojrzenie.

- I to się nazywa, że ja cię chronię? - spytał ironicznie.

Przykucnęła przy nim, wzięła go za rękę. Trochę po to, by dodać mu otuchy, a trochę po to, by się ogrzać.

- Duchy naprawdę istnieją - rzekła łagodnie.

Nie przytaknął, ale też i nie zaprzeczył. Naraz spojrzął ponad ramieniem przyjaciółki w kierunku bramy wejściowej i jego oczy rozszerzyły się ze strachu.

- Ktoś tu idzie! I to z pewnością nie jest żaden duch.

- Ty tutaj? – wykrzyknął Massey.
Joulette kłął siarczyście, bo wylał na siebie całą kawę.
- Co tu robicie? – warknął z furją Haggerty.
- Przeszkadzasz nam – rzucił Joulette, wściekły jak diabli.
- Uważaj, do kogo mówisz! Pytam, co tu robicie.
- Podobno na cmentarzu grasują chuligani – wyjaśnił Massey. Obrócił głowę ku partnerowi i obrzucił go chmurnym spojrzeniem, które wyrażało pytanie: „To ty go zawiadomiłeś?”.

Joulette łypnął na niego równie podejrzliwie.

- Chuligani? Wydawało mi się, że macie mi pomagać przy poważniejszym zadaniu – prychnął Haggerty.

- Niedawno zaatakowano tu dziewczynę – dodał Massey. – Mogła zginąć, a to już jest poważna sprawa.

Nagle zrobiło się bardzo ciemno. Haggerty zadarł głowę.

- Chmury zasłoniły księżyc – mruknął.

- Mam gdzieś chmury, ktoś łązi po cmentarzu. – Massey z gniewem narpał na drzwi, odpychając agenta. – Przesuń się, z łaski swojej. Jestem oficerem policji, to mój rejon, muszę sprawdzić, co się dzieje.

Joulette wysiadł również, lecz zanim zdążył zamknąć drzwi, rozległ się huk wystrzału.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Duchy były niewidzialne, przynajmniej dla większości ludzi.

Duchy tak, ale Brent nie.

Podążając za Tomem Garfieldem, przemykał bardzo ostrożnie od grobu do grobu, a mimo to ktoś go spostrzegł i oddał strzał. Kula roztrzaskała nos gipsowego anioła. Brent błyskawicznie rzucił się na ziemię, przeturlał, ukrył za jednym z grobowców. W samą porę, gdyż za pierwszym strzałem natychmiast padł drugi.

Potem usłyszał głośny tupot, dobiegający z różnych stron jednocześnie, jakby po cmentarzu biegło kilka osób, każda w inną stronę. Podniósł głowę, zobaczył oddalającą się ciemną sylwetkę, która pędziła prosto w stronę grobowca, w którym zostali Nikki z Julianem.

Brent już miał w ręku swój pistolet, już zrywał się na nogi. Przeklinał swoją głupotę. Przeczuwał, że wydarzy się coś złego, powinien był najpierw wyprowadzić Nikki z cmentarza w bezpieczne miejsce, niezależnie od jej protestów. Ale jakim cudem ktoś odkrył, gdzie się ukryła?

Przed Brentem mknął Tom Garfield. Zważywszy, jak łatwo się materializował, mógł opanować podobne sztuki jak Huey, niewykluczone, że dalby radę jakoś przeszkodzić napastnikowi. Niestety, tamten miał nad nimi przewagę, dotarł do grobowca, zatrzymał się przed wejściem, uniósł pistolet...

Naraz z tyłu cmentarza dobiegł odgłos krótkiej, lecz gwałtownej strzelaniny. Bandyta zawahał się.

- Rzuć broń! - krzyknął Brent.

Tamten okręcił się w miejscu, wycelował w Brenta, który jednak strzelił jako pierwszy. Celował w uzbrojoną dłoń. Trafił.

Rozległ się okrzyk bólu, pistolet upadł na ziemię. Moment później zza pleców Brenta padł drugi strzał i niedoszły morderca Nikki runął bezwładnie na ziemię. Rozległo się wycie syren policyjnych. Brent obrócił się i ujrzał skierowany w swoją stronę wylot lufy. W ułamku sekundy jego niezawodny smith & wesson celował w ubraną na czarno sylwetkę.

- Rzuć broń - usłyszał, a gdy tego nie zrobił, usłyszał ostre: - FBI! Rzuć broń!

- Haggerty?

- Właśnie ocaliłem ci życie. A teraz rzuć broń.

Za plecami Haggerty'ego rozległ się głośny tupot.

- To ty, Blackhawk? - wolał już z daleka Massey.

- Tak, to ja. - Brent opuścił pistolet. Haggerty uczynił to samo.

- Szlag mnie trafi! Nie dość, że mam na karku tych dwóch pajaców, to jeszcze musi się tu szwendać indiański łowca duchów. Spieprzyliście wszystko! - ryknął. - Przestańcie wreszcie wchodzić mi w drogę, słyszycie? I nie wracajcie mi dupy papierkową robotą i wypełnianiem protokołów! - Obrócił się na pięcie i znikł między grobami.

Massey i Joulette dobiegli do Brenta.

- Blackhawk, nie jesteś ranny?

- Nie, ale ten, którego ścigałem... - Przerwał w pół słowa, runął biegiem do grobowca, prawie wyrwał bramę z zawiasów i wpadł do środka.

Nikogo.

Nikki zeskoczyła z muru. Julian ją złapał.

- Zupełne szaleństwo! - Spiorunował ją wzrokiem. - W co wyście się wpakowali, na litość Boską? Wiesz, lubię Brenta, ale to zupełny świr, i to niebezpieczny. Omal nie straciliśmy życia!

Obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

- Nie prosiliśmy cię o towarzystwo, to ty się napraszałeś.

Znowu powietrze rozdarł zbliżający się odgłos syren.

- Zmywajmy się stąd, zanim zostaniemy w to wplątani - zażądał Julian.

- Już jesteśmy.

- Nie, przecież znajdujemy się poza terenem cmentarza.

- Ale w środku został Brent.

- Myślisz, że nie dogada się z policją? Przecież on z nimi żyje bardzo dobrze.

- Tak, ale tam była strzelanina i...

- I omal nas nie zabito, tylko ktoś zdążył sprzątnąć tego bandytę, a nam udało się dać nogę. Nikt nas nie zauważył. Chcesz teraz wrócić i wpakować się w sam środek tego zamieszania? Co im powiesz? Że miałaś przecucie, więc przysłaś na cmentarz, a potem rozmawiałaś z duchami? Już widzę, jak ci uwierzą! Wsadzą nas do mamra, nim się obejrzymy. O ile wcześniej ktoś nas nie zastrzeli... Błagam, chodźmy stąd.

Pokręciła głową.

- Tam jest Brent.

- I chyba z tysiąc glin. Nic mu nie grozi.

- A przedtem padło mnóstwo strzałów. Skąd mam wiedzieć, czy wyszedł z tego cało?

- Bo to nie jest pierwszy lepszy facet - zirytował się Julian. - Dam głowę, że to agent FBI, CIA albo innej tajemniczej organizacji. Twardziel. Zawsze da sobie radę.

- Nie zostawię go.

Zrezygowany Julian spojrział z irytacją na przyjaciółkę. Obok nich śmignął wóz policyjny na sygnale, Julian w ostatniej chwili zdążył wciągnąć Nikki za załom muru, by ich nikt nie dostrzegł.

- W takim razie... - Sięgnął do kieszeni.

- Blackhawk, co ty wyprawiasz?! - krzyknął Massey.

Brent nie słuchał. Wypadł z krypty, rozejrzał się dookoła pochłonięty jedną myślą - musi odnaleźć Nikki, natychmiast. Zaczął ją wołać, ale bez rezultatu. Rzucił się niemal na oślep w najbliższą alejkę, szarpiąc drzwi grobow-

ców, zaglądając wszędzie, gdzie tylko się dało. Cały czas wykrzykiwał jej imię. a za nim biegł Massey, który z kolei wołał jego, próbując namówić go do opamiętania.

Naraz Brent stanął jak wryty, gdyż przed nim zmaterializował się Huey.

- Uciekli stąd, przeskoczyli przez mur – poinformował szybko.
- Jesteś pewien? – spytał nieswoim głosem Brent.
- Blackhawk, do kogo ty mówisz?
- Nie ma jej tutaj. Nic jej nie grozi – zapewnił stary Murzyn.
- Słodki Jezu, Blackhawk, przestań się zachowywać, jakbyś widział du-

cha, można dostać zawału – denerwował się Massey.

Brent patrzył na Hueya, czując, jak ogarnia go bezbrzeżna ulga. Aż nogi się pod nim ugięły.

- Nic jej nie grozi – powtórzył jak we śnie, przymykając oczy. – Tak się bałem, że znajdę ciała...

- No bo są ciała! – zagrzemiał Massey. – I to trzy! Blackhawk, jak nie zacznie zachowywać się normalnie...

W tym momencie w kieszeni Brenta zawibrował telefon komórkowy. Wyszarpnął go.

- Nikki? – rzucił chciwie do słuchawki.

Ku swej największej radości usłyszał jej głos.

- Jesteśmy na zewnątrz, Julian chce, żebyśmy się zmywali, bo co powiemy, jak nas zgarnie policja? – mówiła szybko. – Ale najpierw musiałam upewnić się, co z tobą.

- Wszystko w porządku.

- Co mam zrobić? Nie chcę rozmawiać z policją, znowu potraktują mnie jak wariatkę. O tobie pewnie mają podobne zdanie, ale ty przynajmniej jesteś stuknięty oficjalnie, och, przepraszam, już nie wiem, co mówię... Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Nic mi się nie stało.

- Blackhawk, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Mamy tu trzy trupy, zastawiliśmy pułapkę, bo dałeś nam cynk, robota spartaczona, a ty sobie gruchasz z dziewczyną przez telefon?!

- Nikki, posłuchaj. Idź do... – Brent zawahał się. Był niemal pewien, że Julian jest niewinny, podobnie jak Nathan i Patricia, jednak ktoś z bliskich Nikki ludzi był w to wszystko zamieszany, a on nadal nie wiedział kto. – Idź na posterunek. Niech Julian cię odprowadzi. Gdyby nie chciał tam z tobą zo-

stać, niech wraca do domu. Powiedz policjantom, że czekasz na mnie. Nie ruszaj się stamtąd, dobrze?

- Jesteśmy tu uziemieni na kilka godzin – uprzedził Massey.
- No i dobrze – warknął do niego Brent.
- Nikki, idź na posterunek i zostań tam. Czekaj na mnie – powtórzył.
- Dobrze.

Brent schował telefon do kieszeni, obrócił się do Masseya, ściągając brwi.

- Trzy trupy?
- Tak, mieliśmy pomoc. Haggerty się objawił – wyjaśnił cierpko detektyw. – Przynajmniej tyle dobrego, że żaden bandzior nie uciekł.
- Ale też i żaden nic nie powie... A niech to! Rozpoznałeś któregoś?
- Jeszcze nie zdążyliśmy się przyjrzeć, są zamaskowani. Chodźmy, zaraz zjawia się eksperci. Cholera, stary, oberwie nam się za schrzanioną akcję...

Na posterunku kazano Nikki i Julianowi usiąść i czekać.

Mijały godziny.

Julian nie mógł wytrzymać na miejscu, wstawał, kręcił się, przeszkadzał, wszyscy mieli go dosyć. Jego telefon komórkowy dzwonił niezliczoną ilość razy, a Julian wzdrygał się wtedy gwałtownie, krzywił, ale nie odbierał.

- Czemu z nią nie porozmawiasz? – spytała w końcu Nikki.
 - Bo będzie chciała wiedzieć, gdzie jestem. Jeszcze tu po mnie przyjdzie!
- Otrząsała się ze zgrozą.
- I tak będziesz musiał to z nią załatwić.

Westchnął ciężko.

- Wiem... Czemu ja zawsze mam kłopoty z kobietami?
- Bo jesteś słodki i nie potrafisz ci się oprzeć? – podsunęła usłudnie z niewinną minką.

Łypnął na nią ponuro, wstał po raz kolejny i znowu zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- Ale z nas para! Ty sobie znalazłaś gościa, który gada z duchami, a ja... psiakość, miałem się za mądrego, a trafiłem na nimfomankę stulecia! O rany, czy my naprawdę musimy tu siedzieć? Nie możemy iść na przykład do kasyna? Tam jest przecież pełno ludzi i bezpiecznie.

- Brent kazał mi czekać tutaj.
- Ale niedługo zaczniesz świtać!

- Jak zrobi się jasno, zadzwonię do Maksa. I powiem mu, żeby przez jeden dzień sam pokierował firmą, bo ja idę spać. I tobie też daję wolne. Co ty na to?

- Świetnie.

Usiadł. Oficer dyżurny obrzucił go poirytowanym spojrzeniem, lecz Julian wcale się tym nie przejął. Po chwili wstał i znów zaczął się kręcić.

- Nikki, mogę iść do ciebie do domu? – spytał proszącym tonem małego dziecka.

- Idź.

Usiadł z powrotem, a kiedy spojrzała na niego pytająco, westchnął bezradnie.

- Nie, nie zostawię cię samej. Poczekam razem z tobą.

Dwa ciała leżały pod samym murem cmentarza. Zabitym zdjęto kominiarki, lecz ani Massey, ani Brent nie rozpoznali żadnego. Twarzy trzeciego, który próbował zastrzelić Nikki i Juliana, również nigdy przedtem nie widzieli. Oczywiście żaden nie miał przy sobie dokumentów.

Massey zaklął.

- Będzie afera na całego. Zasadzka, strzelanina, nic nie wiemy, za to mamy trzy trupy. Szefostwo da nam niezłe popalić.

- Strzelałem do tego. – Brent wskazał jedno z ciał. – Ale celowałem w rękę. I trafiłem.

- Jesteś pewien?

- Tak. Zabił go Haggerty. Testy balistyczne to potwierdzą.

- Kiedy tamci dwaj zaczęli do nas strzelać, krzyknąłem do Joulette'a i Haggerty'ego, że potrzebny nam świadek, ale nie wiem, czy mnie usłyszeli, zresztą w tych ciemnościach trudno było dobrze wycelować, sam mogłem któregoś zabić. – Massey zaklął dosadnie.

Brent był równie sfrustrowany.

- Że też żaden nie przeżył! Zamiast odpowiedzi zyskaliśmy kolejną zagadkę do rozwiązania.

- Mamy i odpowiedź – rozległ się znużony głos i po chwili stanął przy nich Joulette. – Piece są nafaszerowane narkotykami, oko by wam zbieleło, tyle tam towaru.

- W takim razie wszystko jasne – stwierdził z zadowoleniem Massey. – Tom Garfield wpadł na ich trop, a oni jakimś sposobem zorientowali się, że mają do czynienia z agentem i postanowili go sprzątnąć.

- Daj spokój, jakie wszystko? - zaprotestował Brent. - Jak wyjaśnisz dziwne zachowania Garfielda u Madame D'Orso, gdy widziały go Nikki i Andy? Przecież nikt mu nie wstrzyknął heroiny w kawiarni, i to w biały dzień.

- No, nie... Ale ktoś mógł mu ukradkiem dodać czegoś do kawy, żeby go trochę zamroczyć. Potem bez trudu zgarnęli go z ulicy, wykończyli i pozbyli się zwłok przy autostradzie - odparł Joulette.

- A jak wytłumaczysz śmierć Andrei Ciello?

Massey zaklął pod nosem. Joulette wbił wzrok w czubki swoich butów.

- Może dowiemy się czegoś, gdy uda się ustalić tożsamość tych trzech - mruknął.

- Przyznajecie więc, że te sprawy są ze sobą powiązane? I że zostało sporo do wyjaśnienia, zanim zamkniecie śledztwo?

- Tak - rzekł niechętnie Joulette. - Ktoś włamał się do mieszkania Ciello, dowiedzieliśmy się o tym już po twoim wyjściu. Wszystko wywrócone do góry nogami, na pierwszy rzut oka wygląda to na kradzież, ale nic nie zginęło. Oczywiście jutro chłopaki wezwą Nikki DuMonde, by to potwierdziła.

- Czyli ktoś czegoś szukał...

- Na to wygląda - zgodził się Joulette. - Dobra, dość gadania. Kończmy tutaj i wracajmy, czeka nas jeszcze wypełnianie papierków... Cholera, że też wszyscy zginęli!

- Lepiej oni niż my - zauważył Massey.

- Ba, pewnie. Ale i tak nieźle nam się dostanie...

- Na swoją obronę macie to, że udało wam się zastawić pułapkę na handlarzy narkotyków i przejąć ogromną ilość towaru - wtrącił Brent.

- Tylko ciekawe, jak to wytłumaczymy - sarknął Massey. - Już widzę te nagłówki w gazetach. Medium daje cynk policji! Dziennikarze i ekipy telewizyjne czekają pod bramą...

- Nie wspominajcie o mnie. Powołajcie się na niedawną napaść na Marie McManus. Turystka została zaatakowana w nocy na cmentarzu, na podstawie jej zeznań wyciągnęliście wniosek, że przypadkiem stała się świadkiem podejrzanym działań i dlatego próbowano ją zabić. Co wy na to?

- Nawet jeśli dziennikarze to kupią, i tak kiepsko to wygląda. Będą się czepiać starego Granta. Pod jego nosem grasują gangi narkotykowe, a on uważa się za jednego z najskuteczniejszych senatorów. Ma przechlapane.

- Dużo zależy od tego, na co położycie nacisk. Przedstawcie tę akcję jako dowód zdecydowanych działań policji za kadencji Granta - poradził. - Idź-

cie, powiedzcie im to, kto wie, może nawet dzięki temu zyska kilka punktów? Ja znikam, spotkamy się na posterunku.

Massey nadal się krzywił.

– Jak zjawi się Haggerty i poda im swoją wersję wydarzeń, to FBI zgarnie wszystkie zasługi, a my dostaniemy baty. Grant też.

– Moim zdaniem Haggerty wcale nic będzie pchał się przed kamery – ocenił Joulette. – On ma świra na punkcie ukrywania się. Zmył się od razu po tej strzelaninie. Właśnie, Blackhawk, chyba nie wyjdiesz przez bramę? Wiesz, jak się stąd wymknąć?

– Pewnie.

Idąc z cmentarza na posterunek, Brent rozmyślał intensywnie. Informacja o włamaniu do mieszkania Andy dała mu sporo do myślenia, ale przede wszystkim niepokoił go fakt, że jeden z zabitych na Saint Louis bandytów dokładnie wiedział, w którym grobowcu schowała się Nikki. Nie mógł ich wcześniej podglądać z ukrycia, ponieważ nie zdołałby znaleźć się na terenie cmentarza bez wiedzy Hueya, który przecież powiedział, że jeszcze nikogo nie ma. Ktoś więc musiał zdradzić niedoszłemu zabójcy, gdzie ukryła się Nikki. Z żywych wiedziały o tym jedynie dwie osoby – Brent i Julian.

Julian...

Koniecznym było iść z nimi. Jeśli faktycznie był współnikiem handlarzy, niczym nie ryzykował, jego by nie zastrzelili. Miał talent aktorski, udawał przerażonego, a w rzeczywistości...

Brent zawahał się. Jeśli to było przedstawienie, to godne Oscara, bo nawet on dał się nabrać. Co więcej, nadal mógłby przysiąc, że Julian rzeczywiście umierał ze strachu. W dodatku jeszcze coś sugerowało jego niewinność. Do mieszkania Andy weszła zapewne ta sama osoba, która była u niej wcześniej, tyle że tamtej feralnej nocy użyła klucza, a teraz musiała zerwać policyjne plomby. Julian praktycznie cały dzień spędził z Nikki, miał alibi. Alibi miał też Max, który przyjechał do Nikki na Lafayette, oraz Patricia, z którą widział się Brent. W takim razie pozostawał Nathan albo Mitch.

Mogło więc być inaczej. Ani Julian nie zdradził ich kryjówki, ani nie śledził ich ktoś ukryty na cmentarzu. Ten ktoś czekał przy ulicy, schowany w ciemnym miejscu i obserwował ich przez bramę.

Analizując kolejno wydarzenia całego dnia, Brent doszedł do tego momentu, kiedy Hrabina wyraźnie ostrzegła Nikki przed pójściem w nocy na cmentarz. Czyżby o czymś wiedziała i starała się ją ochronić? Kto tam wtedy był i wszystko słyszał?

Madame D'Orso, Max i Julian.

Brent przyspieszył kroku.

Chciał jak najprędzej znaleźć się na posterunku, upewnić się, że Nikki jest bezpieczna. I niech szybko zjawi się tam Massey lub Joulette i zaaresztują współnika morderców.

- Pani Nikki DuMonde? – upewnił się oficer dyżurny.

- Tak, to ona – odparł za nią Julian.

Sierżant łypnął na niego wymownie, po czym zwrócił się do niej:

- Właśnie dostałem wiadomość przez radio. Wygląda na to, że ten Blackhawk, na którego pani czeka, jeszcze długo nie wróci. Ma pani pójść z Julianem do domu. Rozumiem, że Julian to ten pan, który nie może usiedzieć na miejscu...

- Tak powiedział? Mam iść z Julianem do domu?

- Tak. Dam pani ochronę. – Skinął na dwóch umundurowanych policjantów, którzy właśnie weszli na posterunek, niewyspani i zmęczeni.

- Stevens! Hurst! Odwieziecie tych państwa. Upewnijcie się, że bezpiecznie weszli do mieszkania tej pani.

- Dziękuję, ale proszę nie robić sobie kłopotu – zaproponowała Nikki. – Mieszkam niedaleko, przejdziemy się.

- Powiedziałem, że dostanie pani ochronę – wycedził sierżant.

W tej sytuacji nie zamierzała obstawać przy swoim. Podziękowała raz jeszcze. Policjant, na którego odznace widniało nazwisko Hurst, otworzył przed nią drzwi posterunku, wyszli na ulicę. Radiowóz stał naprzeciw wejścia.

- O rany, nigdy nie miałem ochrony. Ale fajnie! – ucieszył się Julian.

Wsiedli. Nikki podała adres i zaledwie parę minut później zatrzymali się pod jej domem. Policjanci wysiedli razem z nimi.

- Odprowadzimy państwa – oznajmił Hurst.

- Nie ma potrzeby, to dwa kroki – odparł Julian.

- Mamy dopilnować, żeby bezpiecznie weszli państwo do mieszkania – przypomniał Hurst.

Nikki otworzyła więc furtkę, wpuściła policjantów na teren posesji. Stojąc przy ogrodzeniu, patrzyli, jak Nikki idzie z Julianem po werandzie, jak wkłada klucz do zamka, przekręca. Odwróciła się wtedy do nich, by im pomachać, pokazując, że bezpiecznie dotarła do domu.

Nie zdążyła tego zrobić. Usłyszała świst i coś twardego – jakby metalowy pręt – uderzyło ją w głowę. Poczowała przeszywający ból, potem ogarnęła ją ciemność.

Brent wpadł na posterunek.

- Wrócił już może Massey albo Joulette? – spytał oficera dyżurnego.
- Nie. Ale przekazali mi wiadomość od pana. Odesłałem pańskich przyjaciół do domu.
- Co?!
- No, dostałem wiadomość przez radio, że jeszcze wam tam trochę będzie, więc ci państwo mają wracać do pani DuMonde.
- Kto wydał to polecenie? – przerwał mu Brent ostrym tonem.
- Chyba Massey. Albo Joulette. – Sierżant nie umiał ukryć zakłopotania. – Nic słyszałem dokładnie, bo pod cmentarzem były syreny, ale to było na częstotliwości policyjnej, więc...
- I tak po prostu wypuścił ich pan stąd?
- Taki dostałem rozkaz. Ale są bezpieczni, na wszelki wypadek dałem im ochronę.

- Kogo?

Oficer spojrzał na Brenta, jakby ten był niespełna rozumu.

- Dwóch naszych ludzi. Odwieźli ich radiowozem.
- Gdzie są teraz?
- Nie wiem, ale zaraz sprawdzimy.

Sierżantowi po chwili zrzędła mina, bo chociaż wywoływał Hursta i Stevensa przez radio, nikt się nie zgłaszał.

- Pewnie poszli dopilnować, żeby ci dwoje bezpiecznie wrócili do domu. kazałem im to zrobić. Zadzwoń na komórkę Hursta...
- Nie! Proszę od razu wysłać tam radiowóz.
- Ale...
- Wyślij radiowóz! Natychmiast! – ryknął Brent i sekundę potem już był znów na ulicy.

Biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Na szczęście o tak wczesnej porze ruch był niewielki, lecz i tak parę osób znalazło się na jego drodze. Zwalił je z nóg, nie oglądając się na nie. W pewnym momencie usłyszał wycie policyjnej syreny, widać sierżant schował dumę do kieszeni i wykonał jego polecenie.

Brent wpadł na Bourbon Street, zobaczył stojący przed domem Nikki radiowóz. Za furtką potknął się o leżące ciało. Policjant. Brent pochylił się, pośpiesznie poszukał pulsu. Ogłuszony, lecz żywy. Skoczył ku drugiemu, leżącemu nieopodal. Spod włosów ciekła mu strużka krwi, ale żył.

Brent popędził wzdłuż werandy ku otwartym na oścież drzwiom.

– Nikki?

Gorączkowo sprawdził całe mieszkanie, chociaż wiedział już, że jest puste. Kiedy zbiegał na dół, w holu przy drzwiach próbowała się zmaterializować jakaś postać.

Andy.

– Dopadli ją! – krzyknęła, załamując ręce.

– Kto, Andy? Kto?

Przechyliła głowę, nasłuchując.

– Ten samochód... Mają ją... W tym samochodzie.

Usłyszał, jak jakiś silnik zawył na zwiększonych obrotach. Wypadł na zewnątrz, za furtką natknął się na wyskakujących z radiowozu dwóch policjantów.

– Stać! – zażądał jeden z nich, wyciągając broń.

– Za ogrodzeniem leży dwóch waszych, wezwijcie pogotowie!

– Stój, bo strzelam!

Brent znieruchomiał, uniósł ręce. Wiedział, że gdyby próbował biec dalej, tamci bez wahania strzeliliby do niego.

– Skontaktujcie się z oficerem dyżurnym. Nazywam się Blackhawk.

Kolejny samochód zatrzymał się przed domem, wysiadł z niego Massey.

– Co tu się dzieje? – zdumiał się.

– Ogłuszono dwóch policjantów, porwano Nikki i Juliana – wyrzucił z siebie Brent, wciąż trzymając ręce w górze. – Powiedz im, do diabła, kim jestem!

Przez moment panowało milczenie. Czyżby Massey był w zмовie z mordercami? Huey przecież ostrzegał przed jakimś policjantem... A może to Joulette? Albo nawet obaj?

– On jest z nami, wezwijcie pogotowie. – rozkazał Massey. – Blackhawk, wsiadaj!

Wskoczyli do wozu. Siedzący za kierownicą Joulette spytał:

– Gdzie teraz?

– Pierwsza w lewo i za samochodem, w którym jest Nikki – zażądał Brent, pamiętając, z której strony dobiegł go odgłos silnika.

- Za jakim samochodem? – spytał Massey.
- Ty mi powiedz – rzekł zimno Brent. – To ty kazałeś oficerowi dyżurnemu odesłać ich do domu.
- Nie ja.
- W takim razie Joulette.
- Nie, ja też nie – warknął Joulette, wyciągając rękę, by uruchomić syrenę.
- Nie włączaj! Po prostu skręcaj i jedź za samochodem.
- Ale za jakim samochodem? – zirytował się Joulette.

Brent zacisnął szczęki.

- Nie wiem – przyznał.

Skręcili i Brent aż jęknął w duchu, ujrawszy, ile samochodów jest przed nimi.

- Kieruj się na 1-10 – zdecydował Massey, sięgnął po radio, wezwał po siłki i odwrócił się do Brenta. – Przy autostradzie znaleziono ciało Garfielda – wyjaśnił.

Brent zamknął oczy, modląc się w duchu, by detektyw miał rację. Nagle poczuł przenikliwy ziąb i wiedział, że nie jest sam na tylnym siedzeniu policyjnego wozu. Spojrzał w bok.

Tom Garfield siedział wyprostowany jak struna, wpatrując się w drogę przed nimi.

- Pojechali na 1-10? – spytał cicho Brent.

Duch skinął głową.

Brent odetchnął. Jedna z jego modlitw została wysłuchana.

- Panowie, proponuję nakazać natychmiastowe aresztowanie Debry Smith znanej jako Madame D'Orso.

Massey obrócił się, ścigając brwi

- Za...?
- Za współudział w morderstwie.

Tom Garfield spojrział na niego pytająco. Tym razem to Brent skinął głową.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Obudził ją pulsujący ból w głowie.

Otworzyła oczy, lecz nic się nie zmieniło, nadal otaczała ją ciemność. I ci-sza.

Przez kilka sekund była kompletnie zdezorientowana, potem zaczęła sobie wszystko przypominać. Wróciła do domu... Nie, nie udało jej się. Otworzyła drzwi, obróciła się... I ktoś ją uderzył.

Julian? O Boże, nie, tylko nie Julian...

Jeśli nie on, to przestępca musiał czekać w mieszkaniu. Policjantów pewnie też zaatakowano, oczywiście o ile nie byli w zмовie z bandziorami. Nonsens, wtedy do spisku musiałby należeć również sierżant, który dał im obstawę. Nie, sierżant nie miał z tym nic wspólnego, ale i tak w sprawę był zamieszany ktoś z policji, kłóś, kto wydał polecenie, by wróciła do domu.

Poruszyła się, próbując odgadnąć, gdzie się znajduje. Przy najlżejszym ruchu głowa pękała jej z bólu, lecz Nikki zacisnęła zęby, starając się o tym nie myśleć. Miała bardzo mało przestrzeni wokół siebie, jakby zamknięto ją w skrzyni. Nie związano jej. Czyżby bandyci uznali, że umarła?

Naraz usłyszała jakieś głosy. Nie rozróżniała słów, lecz z tonu mogła wywnioskować, że toczy się jakaś kłótnia. W pewnym momencie ktoś odezwał się głośniejsz:

– Mówię ci, kurwa, za dużo ciał w jednym miejscu! Ktoś je tu w końcu znajdzie. Boże, jak ja nienawidzę tych bagien!

Błądzące w ciemności dłonie Nikki natknęły się na coś gumowego, potem na metal i nagle zrozumiała, że znajduje się w bagażniku stojącego gdzieś przy mokradłach samochodu. Musiała się wydostać. Zaczęła macać wzdłuż klapy, desperacko szukając zamka. Jeśli nie jest to bardzo stary model wozu, powinno dać się otworzyć bagażnik od środka.

Ręce jej się trzęsły. Nic dziwnego, że Andy nie wiedziała, kto ją zamordował. Bandyci atakowali bardzo sprawnie, ofiara nawet nie miała szans ich zobaczyć...

Jeśli to ty, Julian, to zemszczę się, przysięgam na wszystko. Będę cię drezczyć do końca twoich dni, nauczę się przesuwac przedmioty, doprowadzę do tego, że w końcu zwariujesz ze strachu...

Spokojnie, jeszcze żyje, jeszcze nie wszystko stracone. Nie pora myśleć o Julianie, nie pora myśleć o Andy, a zwłaszcza nie pora wpadać w panikę. Musi się skoncentrować, za wszelką cenę. Spokojnie...

Nadal nie mogła znaleźć żadnego zamka, szukała go coraz bardziej gorączkowo. Nie, tak jej się nigdy nie uda. Odpoczęła chwilę, nakazała sobie spokój i zaczęła badać klapę bagażnika bardziej metodycznie, chociaż kosztowało ją to ogromnie dużo wysiłku.

Spociała się ze strachu, miała wrażenie, że mijają całe godziny, choć w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka minut. Jeśli nie uda jej się znaleźć zamka, to po niej.

Kiedy wreszcie na niego trafiła, ze zdenerwowania nie potrafiła go otworzyć. Ponownie ogarnęła ją fala paniki i ponownie musiała nakazać sobie spokój. Trzeba spróbować inaczej, ponaciskać w różnych miejscach, spróbować coś przesunąć...

Rozległ się metaliczny trzask, kłapa podskoczyła.

Nikki bez chwili zwłoki chwyciła brzeg bagażnika, podciągnęła się i wygramoliła niezręcznie, lecz tak szybko, jak tylko potrafiła. W głowie jej się kręciło, więc straciła równowagę i upadła na częściowo zarośniętą trawę, a częściowo błotniste pobocze. Wiedziała, że bandyci musieli ją usłyszeć, wiedziała, że zaraz zaczną ją gonić, ale skoro już mieli ją zastrzelić, to niech przynajmniej zginie podczas próby ucieczki.

Adrenalina dodała jej sił. Potykając się, rzuciła się na oślep pomiędzy majaczące tuż obok drogi zarośla.

- Tam! - Wskazał Brent.

Ujrzeni stojącego na poboczu forda z otwartym bagażnikiem. Przy samochodzie nikogo nie było. Ledwo zdążyli się przy nim zatrzymać, z naprzeciwną nadjechał inny wóz, zahamował z wizgiem opon. Po chwili ze środka ktoś wyskoczył.

Joulette prychnął.

- Haggerty? A niech to!

- Ty tu skąd? - spytał Massey agenta, wysiadając szybko.

- Powiadomiono mnie przez radio. Rozdzielmy się, żeby przeszukać jak największy teren. Oby nie było za późno.

Brent go nie słuchał, nie potrzebował żadnych instrukcji, już przedzierał się przez zarośla. Musiał znaleźć Nikki - właśnie on i nikt inny. Któryś z tych trzech był po niewłaściwej stronie, a on wciąż jeszcze nie wiedział który.

- Nikki!

Dotarła do jakiejś zatoczki, ujrzała w oddali łodzie poławiaczy krewetek. Pospieszyła w tamtą stronę, by ukryć się na którejś z nich, przez cały czas pamiętając o tym, by trzymać się blisko zarośli. Powoli świtało, ktoś mógł ją dostrzec. Właśnie miała wskoczyć na łódź, gdy ktoś ją zawołał po imieniu.

Julian.

Błyskawicznie dopadła kępy drzew, ukryła się wśród nich, rozejrzała się gorączkowo. Wtedy go dostrzegła. Znajdował się zaledwie kilkanaście metrów przed nią. Odwróciła się i popędziła w przeciwnym kierunku. Co robić? Wracać na drogę, próbować zatrzymać jakiś przejeżdżający samochód czy lepiej szukać w miarę bezpiecznej kryjówki?

Potknęła się, upadła na kolana, trafiając wyciągniętymi rękami na leżący wśród wysokiej trawy kawałek grubej gałęzi. Chwyciła ją mocno. Usłyszała zbliżające się kroki Juliana, który popędził za nią. Wyprostowała się, obróciła i z całej siły zdzieliła go gałęzią.

Jęknął głucho, stracił równowagę. Nikki nie czekała, aż on upadnie, rzuciła się do dalszej ucieczki.

Massey biegł wzdłuż brzegu zatoki, a jego umysł przez cały czas pracował gorączkowo. Jak to się stało, że sprawy przyjęły taki zły obrót? Nic nie poszło po jego myśli.

Nagle usłyszał za sobą jakiś odgłos. Obrócił się, ujrzał nadbiegającego po drewnianym pomoście Haggerty'ego. Massey patrzył na niego przez ułamek sekundy, po czym rzucił się do przodu, wymierzając agentowi cios w brzuch. Upadli na deski. Walcząc ze sobą, przeturlali się i razem wpadli do wody.

Nikki słyszała odgłos pogoni, na pewno ścigało ją co najmniej dwóch ludzi. Ktoś biegł po jakimś twardszym podłożu, ktoś przedzierał się przez zarośla. Ujrzała przed sobą kolejną łódź, tym razem dużą, zacumowaną przy drewnianym pomoście. Może znajdzie tam bezpieczną kryjówkę? A może, co byłoby jeszcze lepsze, jakąś broń?

Popędziła w tamtą stronę i nagle wpadła wprost na ociekającego wodą mężczyznę, który właśnie wydostał się z zatoki, dysząc ciężko i zataczając się.

– Nikki... Jestem Haggerty, agent FBI... Chodź ze mną, szybko, to Massey chce cię zabić... Właśnie mnie zaatakował. Chodź, zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Odsunęła się, ponieważ nie ufała już nikomu.

– Co robisz? Nie ma czasu! – krzyknął i chwycił ją za rękę.

– Zostaw ją!

Obejrzała się. Z wody wychodził detektyw Owen Massey.

– Nie słuchaj go, on tylko udaje agenta FBI. To Haggerty zabił Garfielda i Andy, nie wiem jak, ale to on.

- Nikki, nie słuchaj go! Jak mógłbym przez tyle czasu udawać przed policją agenta FBI? Massey dostaje działkę od gangów narkotykowych i zaciera ślady przestępstw pod pozorem prowadzenia śledztwa.

Przeniosła spojrzenie z jednego na drugiego. Massey wycelował pistolet w Haggerty'ego, który pociągnął Nikki, by stanęła za jego plecami, i wycelował broń w Massey'a.

- Na pomoc!

Usłyszawszy ten słaby okrzyk. Brent zwolnił, obrócił się. Z wysokich traw podniósł się Julian, chwiejnie wykonał krok w jego stronę.

- Nikki... myślała, że ja... Tam pobiegła. - Wskazał i z jękiem zwałił się z powrotem na ziemię.

Brent doskoczył do niego, przykląkł, chwycił za koszulę na piersiach.

- Miałeś ją chronić - warknął.

Julian jęknął ponownie

- A gliny miały chronić nas... Nawet obstawa nie pomogła... Mnie trzymali na tylnym siedzeniu, ją w bagażniku... Wysiedli, zaczęli się kłócić, który nas zabije i gdzie porzucą nasze ciała...

- O Jezu! - wykrzyknął nagle z absolutnym przerażeniem.

- Co się stało?

- O Boże, ja leżę... leżę na trupie!

Brent przyjrzał się uważniej, ale to nie rozkładające się ciało przykuło jego uwagę.

Nad szczątkami unosiła się mglista postać.

Brent natychmiast rozpoznał rysy jej twarzy, widział je niedawno na zdjęciu.

Nikki usłyszała wycie policyjnych syren, lecz to nie dodało jej zbyt wiele otuchy, gdyż nie wiedziała, czy pomoc nie przybędzie za późno.

Nie miała pojęcia, któremu z dwóch mężczyzn może ufać. Na razie trzymali się w szachu, lecz lada moment któryś naciśnie spust. Jeśli zginie niewłaściwa osoba, to zaraz po niej zginie również Nikki.

- Rzućcie broń. Obaj - rozległ się ostry głos Brenta.

- Blackhawk! - zawołał z ulgą Massey. - Dzięki Bogu!

Haggerty przyciągnął Nikki do swego boku, otoczył ją mocno ramieniem.

- Blackhawk, mam dziewczynę, nic jej nie jest. Massey chciał ją zabić, zdołałem ją ochronić. A teraz...

Żaden nie opuszczał pistoletu.

- Rzućcie broń – powtórzył, a gdy nie doczekał się reakcji, z zadziwiającym spokojem wszedł pomiędzy nich. Obrócił się ku Haggerty'emu. – Przede wszystkim ty. W tej chwili.

Agent potrząsnął głową.

- Zabiję ją – zagroził.

- Nie uda ci się – odparł Brent, a w jego głębokim głosie zabrzmiał złowieszczy ton.

- Nie widzisz ich? Jeśli nie, to ci powiem. Garfield jest po twojej prawej stronie. Prawdziwy Haggerty, którego niedaleko stąd zostawiłeś martwego na bagnach, po lewej. Dwaj ludzie, których zabiłeś.

- Co ty chrzaniś! – wrzasnął Haggerty. – Nie mogą tu być, przecież nie żyją.

Nikki nie wiedziała, czy Haggerty coś poczuł, za to ona od razu wiedziała, że Brent mówi prawdę. Dookoła nich zrobiło się zimno, śmiertelnie zimno. Ona już się tego nie bała. Nadal nie poruszała się, by nie sprowokować Haggerty'ego, ale miała pewność, że jej obrońcy okażą się szybsi.

- Rzuć broń, w przeciwnym wypadku pozwolę im dobrać się do ciebie. Będziesz umierał długo i w męczarniach... A właściwie czemu nie? – zreflektował się nagle Brent. – To byli bardzo porządni ludzie, mieli tyle życia przed sobą, a ty... Naprawdę jeszcze nic nie czujesz? – zainteresował się.

- Jesteś pieprzniętym świrem – prychnął Haggerty, lecz nagle poleciał do przodu, jakby ktoś go uderzył.

Jakaś siła uwolniła Nikki, jednocześnie Brent rzucił się na agenta, przewrócił się razem z nim na ziemię, sam szybko się poderwał, ale nie zdążył nic więcej zrobić, gdyż tamten już wiał się, wymachując rękami, kopiąc powietrze i krzycząc... Był to krzyk śmiertelnie przerażonego człowieka.

Nikki nie widziała duchów Toma Garfielda i prawdziwego agenta FBI, ponieważ natychmiast znalazła się w ramionach Brenta, ale słyszała rozpaczliwe wrzaski, które zresztą znakomicie wskazały drogę przybywającym z odsieczą policjantom. Zarośla i brzegi rzeki zaroily się od nich, zrobiło się jasno jak w dzień, gdyż wszyscy nieśli silne latarki i reflektory.

Rzekomy Haggerty wciąż miotał się po ziemi, wyjąc z bólu i strachu, wreszcie zaczął wyrzucać z siebie nieskładny potok słów, wyjawiając wszystko, błagając w zamian o uwolnienie go od tych dwóch...

Nikki słuchała, nie wierząc własnym uszom. Teraz była pewna tylko jednego.

Żyła i miała przy sobie Brenta.

Następnego dnia wieczorem Brent wyjaśnił wszystko pozostałym. Oczywiście nie spotkali się w kawiarni „Madame D'Orso”, noga żadnego z nich nie powstałaby już nigdy w tamtym miejscu. Niedługo lokal i tak zapewne zmieni nazwę i właściciela, lecz dla nich jakby przestał istnieć. W kawiarni rzekomej Francuzki spotykali się handlarze narkotyków.

- Nie do końca rozumiem - rzekła Patricia, siedząc w objęciach Nathana. - To Madame tym kierowała?

Brent potrząsnął głową.

- Nie, służyła głównie jako pośrednik między kontrahentami i dostarczała informacji. Pomagała też znaleźć drobnych dealerów, gotowych rozprzecznić towar. Takich jak ci trzej, którzy ostatniej nocy zginęli na cmentarzu.

- Czekaj, cały czas nie wiem, skąd miałeś pewność, że to Haggerty jest winien, a nie Massey - wtrąciła nagle Nikki. - Czy to dlatego, że po odnalezieniu Juliana natknąłeś się na zwłoki?

Przyjaciel aż przewrócił oczami.

- Nie tylko dzięki mnie, ty też miałaś w tym spory udział... - przypomniał.

- Och, przecież wiesz, że nie chciałam... To znaczy, byłeś przy mnie, gdy dostałam po głowie, ale nie było cię, gdy ocknęłam się w bagażniku, więc pomyślałam...

- Nie było mnie w bagażniku, bo widać nie zmieściliśmy się razem, rzucili mnie na tylne siedzenie. Ja też odzyskałem przytomność i zwałem, kiedy stanęli, wysiedli i zaczęli się kłócić.

- Ale kto zaczął się kłócić? - dopytywał się Mitch.

- Powinienem być zostać u poławiacza krewetek - jęknął Max.

Brent uśmiechnął się niewesoło.

- A ja powinienem był rozgryźć to wszystko wcześniej... Zacznijmy od początku. Robert Greenwood, bo tak naprawdę nazywa się rzekomy Haggerty, postawił wszystko na jedną kartę. To on zabił Toma, zresztą przy współudziale Madame D'Orso. Zauważyła Toma w swojej kawiarni o kilka razy za dużo, nabrała podejrzeń, że coś wyniuchał. Tamtego dnia podała mu w kawie końską dawkę środka uspokajającego, odurzyła go. To stało się tuż przed tym, jak podszedł do Andy i Nikki. Zaraz potem Greenwood i jego ludzie zgarnęli go półprzytomnego z ulicy i wykończyli.

- Ten Greenwood zabił również Andy, tak? - upewnił się Mitch. - Ale dlaczego?

- Ja to mogę wyjaśnić - odezwał się znajomy głos i na taras kawiarni „U Sary” wszedł detektyw Owen Massey. - Garfield prawdopodobnie zdobył ważny dowód obciążający, być może zdjęcia, zapis wideo, nie wiem dokładnie. Ale nie znaleziono tego ani przy nim, ani w „Madame D'Orso”. To mogło oznaczać tylko jedno. Poczł działanie środka uspokajającego, zrozumiał, że ma kłopoty i przekazał obciążające dowody komuś innemu, a przed śmiercią rozmawiał jedynie z Nikki i Andrea.

- Czemu Greenwood zaczął od Andy?

Tym razem odpowiedział Brent.

- Bo to było łatwiejsze. W tym sensie, że nie wzbudzało podejrzeń. Wszyscy pomyśleliby, że Andy wróciła do nałogu i przedawkowała. Dzięki informacjom Madame wiedział o was absolutnie wszystko. Powtarzała mu również podsłuchane rozmowy policjantów, którzy zachodzili do jej lokalu, poznał dzięki temu nazwisko agenta FBI, który miał prowadzić na miejscu śledztwo w sprawie zamordowanego Garfielda. Dopadł prawdziwego Haggerty'ego, zabił, ciało porzucił na bagnach i podszył się pod niego.

- To nie było dla niego takie trudne, nie pierwszy raz przywłaszczył sobie czyjąś tożsamość - kontynuował opowieść Massey. - Obciął i ufarbował włosy, zmienił kolor oczu za pomocą szkieł kontaktowych. Pozostawało mu tylko liczyć na łut szczęścia. Poza tym prawdziwy Haggerty miał opinię samotnika, to też ułatwiało sprawę. - Massey westchnął. - W przeciwnym wypadku zorientowalibyśmy się wcześniej. Mielіśmy telefony od jego przełożonych, pytali, czemu się z nimi nie kontaktuje. Oczywiście wpadłby, gdyby trwało to jeszcze przez jakiś czas, ale on zaplanował szybką akcję.

- To znaczy? - spytała Patricia.

- Tylko do wygrania wyborów przez Banksa - odparł Brent.

Max wyprostował się, na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

- Co?

- Massey i Joulette utrafili w sedno, gdy stwierdzili ostatniej nocy, że ta afera zachwieje pozycją Granta. Kiedy Banks poznał Greenwooda i wszedł w świat handlarzy narkotyków, postanowił upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Z jednej strony zyskiwał środki na kampanię wyborczą, podczas której grzmiał, jak to on będzie zwalczał przestępczość, z drugiej wskazywał na nieskuteczność dotychczasowego senatora, który nie potrafił uporać się z gangami narkotykowymi.

Julian obrzucił Brenta wymownym spojrzeniem.

- A ty podejrzewałeś nas!

- Ponieważ musiał to być ktoś z otoczenia Nikki i Andy, ktoś, kto dużo o nich wiedział, mógł niepostrzeżenie ukraść klucze i zrobić duplikaty - wyjaśnił Brent.

- Ale czemu podejrzewałeś również mnie? - poskarżył się Max. - Przecież byłem daleko stąd.

- Billy Banks też nie wykonywał mokrej roboty osobiście, zlecał wszystko Greenwoodowi i jego pomocnikom. On tylko płacił, zresztą pieniędzmi pochodzącymi z nielegalnych źródeł.

- O, przepraszam, moje pieniądze pochodzą ze źródeł całkowicie legalnych!

- Wiem - stwierdził spokojnie Brent.

Max zrobił okrągłe oczy.

- Sprawdziłem cię - wyjaśnił Brent.

- Czekaście, czegoś tu nie rozumiem - wtrącił nagle Julian, który zastanawiał się nad czymś, ścigając brwi. - Chodzi mi o to samo, o co pytała Nikki. Zobaczyłeś zwłoki, które leżały na bagnach już od jakiegoś czasu i nagle wiedziałeś, że Haggerty nie jest prawdziwym Haggerty'm.

- Mógłbyś też wyjaśnić, czemu Greenwood rzucał się po ziemi, jakby dopadł go wygłodzony aligator - dodał Massey. - Nikt go nawet palcem nie tknął, a on wyśpiewał całą prawdę o Banksie.

Brent uśmiechnął się do niego.

- Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie - rzekł cicho.

Massey odwrócił wzrok.

- Do diabła, Blackhawk, wiem tylko tyle, że przez ciebie muszę iść na urlop i podleczyć nerwy. Joulette tak samo. A niech cię! Przez ciebie podejrzewaliśmy się nawzajem, każdy z nas myślał, że ten drugi daje cynk Haggerty'emu, a tymczasem jego informatorką była Madame.

- Ja z kolei nie rozumiem czego innego - włączył się Mitch. - Czego ten Hagger... przepraszam, Greenwood, szukał u Andy? Co było takie ważne, że zaryzykował napaść na Nikki, chociaż chroniła ją policja? Mówiliście, że Garfield zdobył dowody, ale przecież nie dał nic ani Nikki, ani Andy. O co więc chodziło?

- Tom Garfield mógł przechowywać zdjęcia lub filmy na mikrochipie, a kiedy poczuł się zagrożony, przypiął go którejś z nas, ponieważ tylko my znajdowałyśmy się wtedy w pobliżu. Tak przynajmniej podejrzewał Greenwo-

od – odparła Nikki. – Moja torebka jest teraz w policyjnym laboratorium, ale jeszcze nie wiadomo, czy ta hipoteza się potwierdzi.

– Jestem tego prawie pewien. Albo znajdą coś w torebce, albo na ubra-
niu, które tamtego dnia miałaś na sobie. To zresztą wyjaśnia, czemu jeden z
ludzi Greenwooda napadł cię wtedy w alejce. Kilka dni wcześniej wyrwał to-
rebkę kobiecie, która jest do ciebie podobna. W każdym razie zeznania, które
Greenwood tak ochoczo złożył... – tu Brent łypnął na Massey – ...te zeznania
wystarczą, nawet gdyby nie udało się odzyskać materiałów Garfielda.

Max popatrzył na Nikki.

– Zdajesz sobie sprawę, dziewczyno, jacy teraz staniemy się sławni,
prawda? Nasze wycieczki przyciągną tłumy turystów, trzeba będzie zatrudnić
więcej przewodników. Oczywiście, wzięwszy pod uwagę, przez co ostatnio
przeszliśmy...

– My?! – powtórzył z oburzeniem Julian. – Ledwie raczyłeś się zjawić.

Max nawet nie mrugnął okiem.

– Pewnie, że my. Przecież jesteśmy jedną wielką szczęśliwą rodziną.
Zważywszy więc ostatnie dramatyczne przejścia, odwołałem wycieczki w na-
stępnym tygodniu, wszyscy mają wolne i mogą odpocząć. Odtąd punkt zbior-
ki będzie tutaj, jeszcze omówię to z właścicielką kawiarni, ustalimy szczegó-
ły... – Przeniósł wzrok na Brenta i westchnął z rozczarowaniem. – Rozumiem,
że ty już dla mnie nie pracujesz?

Brent i Nikki wymienili spojrzenia.

– Od czasu do czasu możesz na mnie liczyć. Aha, na razie będziesz mu-
siał obejść się bez Nikki.

– Jak to? – zaniepokoił się Max.

– Brent zabiera mnie na Dziki Zachód, pojedziemy zobaczyć Wielki Ka-
nion.

– Aha, podróż śladami twoich przodków? – domyślił się Max.

Brent roześmiał się.

– Nie, poślubna.

Patricia aż zapiszczała z podekscytowania. Max im pogratulował. Julian
wymownie przewrócił oczami, a Massey obiecał eskortę policyjną podczas ce-
remonii ślubnej, o ile sobie tego życzą.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie wszyscy wiedzieli wszyst-
ko i przy stole zapadła cisza, ale była to ta przyjemna cisza, jaka czasem pa-
nuje między ludźmi, którzy czują się ze sobą dobrze i bezpiecznie.

Wreszcie Nikki i Brent wstali, tłumacząc, że muszą już iść. Poprosili Massey o towarzyszenie im.

- A dokąd się wybieracie?
- Na cmentarz Saint Louis.

Detektyw aż jęknął.

- Możesz poczekać na nas na zewnątrz – uspokoił go Brent.
- To po co w ogóle jestem wam potrzebny?
- Bo inaczej będziemy musieli wejść nielegalnie, chwilowo teren jest zamknięty. Co innego, gdy zjawimy się tam w asyście stróża prawa.

- W porządku, jestem ci winien przysługę. Ale tym razem nie życzę sobie gadania o żadnych duchach. Ostatniej nocy nic nie widziałem i nic tam nie było – oznajmił stanowczo. – To tylko ty masz jakiś niezwykły dar, więc udało ci się wmówić Greenwoodowi obecność jego ofiar. Dobre zagranie.

Brent położył mu rękę na ramieniu.

- Naprawdę nie musisz z nami wchodzić – zapewnił jeszcze raz.

Kiedy doszli do cmentarza, zaczęło się ściemniać. Massey został przy bramie. Nikki z Brentem weszli do środka, trzymając się za ręce.

- Huey! – zawołał cicho Brent.

Ujrzeni zbliżającą się ku nim postać byłego niewolnika.

- Dobrze, że jesteś, Indiańcu. Witam, panienko.
- Przyszedłem ci podziękować. Mam nadzieję, że gdy znowu poproszę cię o pomoc, nie odmówisz?

Stary Murzyn pokręcił głową.

- Chyba już mnie tu nie będzie... Dlatego czekałem teraz na ciebie.
- Jak to? – spytał Brent i po raz pierwszy w życiu ujrzał na twarzy Hueya szeroki uśmiech.

- Nie uwierzysz... Dziś przyszła tu znowu ta śliczna dziewczuszka. Marie.
- Ta, której przodkiem był Archibald McManus? – upewniła się Nikki.
- Ta sama. Znalazła moją pra... pra... Nie wiem, ile pra, ale ja też mam taką małą wnusię. Słodka jak aniołek. Panienska Marie przyprowadziła ją tutaj, i jej mamusię też. Pokazała im, gdzie mniej więcej leżę. Moja wnusia i jej mama są biedne, ale panienska Marie chce być dla mojej wnusi jak siostra, będzie płacić za jej lekcje muzyki.

- Świetnie – zgodził się Brent. – Tylko co to ma wspólnie...
- Widzisz, ostatniej nocy poczułem dumę. Przyłożyłem rękę do czegoś dobrego. To świństwo już nie trafi do ludzi, nikogo nie zniszczy. I słusznie byłem dumny, bo zobaczyłem przejście. Bardzo piękne. To było, jakbym zoba-

czył drogę, ale wiedziałem, że jeszcze nie czas. A dziś zobaczyłem wnuczkę... Już mogę ruszać w drogę. Czekałem tylko na ciebie. Teraz muszę poszukać światła. Ono znowu się pokaże. – Skinał brodą, pokazując, by obejrżeli się za siebie. – Wasi przyjaciele też są gotowi do drogi.

Odwrócili się, odgadując, kogo zobaczą. Na widok Andy i Toma Nikki nie poczuła ani zdziwienia, ani strachu. Nie przeszkadzało jej też odczuwane zimno, gdy przyjaciółka podeszła i uścisnęła ją. To był najdziwniejszy uścisk w jej życiu – zarazem rzeczywisty i nierzeczywisty. Lodowaty, a przy tym gorący. Potem Andy pocałowała ją w policzek.

- Dziękuję za wszystko.
- Och, Andy... – W oczach Nikki wezbrały Izy.
- Nie płacz. To przejście, o którym mówi Huey, jest... Nawet sobie nie wyobrażasz... Zresztą... – Przerzuciła włosy przez ramię i mrugnęła figlarnie. – Nie pójdę sama.

Tom Garfield wyciągnął ku niej dłoń i Andy z uśmiechem podała mu swoją. W następnej chwili cała trójka duchów znikła, zapewne wstępując na cudowną drogę, która na nich czekała, lecz Nikki już tego nie widziała.

- Nasza droga prowadzi gdzie indziej – szepnął Brent. – Chodźmy.

Opuścili cmentarz, cały czas trzymając się za ręce. Zaprosili Massey'a do miłej knajpki na drinka, ściągnęli tam też Joulette'a, a po spędzeniu z detektywami sympatycznego wieczoru, wrócili do mieszkania Nikki, gdzie kochali się długo, szczęśliwi, że wciąż mogą napawać się tym, co fizyczne, dotykalne i odczuwalne.

Gdy Nikki zasnęła, Brent wstał ostrożnie, by jej nie obudzić i wyszedł na balkon.

Rozpierała go radość. Wrócił do Nowego Orleanu na dobre. W końcu wrócił do domu.

To naprawdę wspaniałe miejsce. Co z tego, że pełne duchów?

W dodatku miasto oferowało cudowną muzykę, malownicze widoki, zdumiewające historie i niepowtarzalną atmosferę.

A nade wszystko była tu Nikki.